



lesiojot



CARTER DICKSON

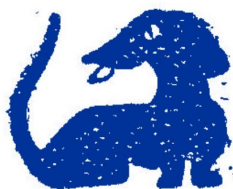
OSTRZEGAM CZYTELNIKA...

CZYTELNIK

CARTER DICKSON

OSTRZEGAM CZYTELNIKA...

Tłumaczyła
Krystyna Tomorowicz



CZYTELNIK • WARSZAWA • 1972

J.B. Priestleyowi

Część I

ZMIERZCH

Dotycząca spełnionej przepowiedni

LIST PANA LAWRENCE'A CHASE'A
DO DOKTORA JOHN SANDERSA

*81, Sloane Street
Lincoln's Inn Fields,
26 kwietnia 1938*

Mój drogi Johnie,

Co robisz podczas tego weekendu, 29 i 30 kwietnia? Nawet gdybyś już miał jakieś konkretne plany, mam nadzieję, że uda Ci się je zmienić. Chcielibyśmy bardzo, abyś przyjechał do Fourways; postaraj się również namówić sir Henry Merrivale'a na ten krótki wypoczynek.

Fourways, jak zapewne wiesz, należy do Sama i Miny Constable'ów. Samuel jest moim dalekim krewnym, no a o Minie musiałeś słyszeć. Prosił, abym serdecznie Was zaprosił w Ich imieniu. A wszystko to dlatego, że Mina wynalazła jakiegoś jasnowiedza...

Daję Ci uroczyste słowo honoru, że to nie jest bujda ani żart. Przygotuj więc swoją duszę naukowca na szok! Nasz jasnowiedz nie wywodzi się z music-hallu. Coś tam studiuje. Nie sądzę, aby był oszustem; w każdym razie (na tyle, na ile dyktuje mi moja, cokolwiek przytępiona, inteligencja) takie odniosłem wrażenie. Ale naprawdę odczytuje on cudze myśli w sposób, który Ci zjeży włosy na głowie! Wyznaje jakąś tam teorię, że Myśl to siła fizyczna, która może zostać użyta jako broń...

Będzie nas niewiele: Sam i Mina, nasz przyjaciel jasnowidz, Herman Pennik, Victoria Keen i ja. Vicky Keen to nowa znajomość, moja wielka sympatia – więc nie rób głupich kawałów, dobrze?

Zaintrygowałem. Cię teraz, co? Rozpoczynamy weekend w piątek, 29. Masz dobry pociąg o 17.20 z Charing Cross do Camberdene. Samochód będzie czekał przed stacją. Jeżeli będziesz mógł przyjechać, daj znać.

Twój

Lawrence Chase

P.S. Czy Twoja piękna pani, Marcja Blystone, nadal podróżuje dookoła świata ze swoimi rodzicami? Słyszałem, że nie wszystko układa się najlepiej między Wami; mam nadzieję, że nic poważnego?

LIST DOKTORA JOHNA SANDERSA
DO PANA LAWRENCE'A CHASE'A

*Institut Harrisa
Bloomsbury St., W.C.I,
27 kwietnia 1938*

Mój drogi Larry,

Ż radością zjawię się u Was w piątek. Niestety H. M. nie będzie mógł przyjechać. Wyjeżdża na północ w sprawach służbowych. Bardzo zainteresował go Wasz jasnowidz i przyrzekł być z powrotem tak, aby móc zajrzeć choć na krótko w niedzielę, jeśli nie będzie to dla Was za późno?

Zastrzegając sobie prawo do wydania własnej opinii po zapoznaniu się z faktami, muszę stwierdzić, że Wasz jasnowidz, o ile cytowałeś go dokładnie, z naukowego punktu widzenia wygłasza brednie!...

Serdeczne dzięki dla państwa Constable'ów. Wyjadą do Camberdene o 5.20 z Charing Cross.

Twój

John Sanders

P.S. Nie rozumiem Twoich aluzji na temat „głupich kawałów”, jak również, że „nie wszystko układa się najlepiej”. Tak, Marcja jest nadal w podróży. Jej ostatni list był z Honolulu, skąd udali się na Jamajkę. W czerwcu wracają do domu.

ROZDZIAŁ I

Doktor John Sanders przyjechał do Surrey w piątek po południu, 29 kwietnia.

Nie miał najmniejszego pojęcia, że znajduje się w przededniu sprawy kryminalnej, która przedwczesną siwizną pokryje włosy prawników, upodabniając je do srebrnych peruk noszonych na rozprawach w sądach brytyjskich oraz obali dotychczasowe precedensy w dziedzinie prawa i medycyny. A jednak Sanders był niespokojny. Nawet wspaniała, wiosenna pogoda z delikatnym wiatrem i pastelowo błękitnym niebem nie potrafiła ukoić jego naprężonych nerwów. Pociąg był przepełniony, nie mógł więc wyciągnąć z kieszeni listu od pewnej młodej osoby i przestudiować go dokładnie raz jeszcze, tak jak studiuje się interesujący okaz pod mikroskopem.

Oczywiście, nie miał powodu do zmartwień. Marcja Blystone, mimo że obecnie przebywała w Honolulu oddalonym o sześć tysięcy mil, była jego narzeczoną. Podróż dookoła świata stała się koniecznością wobec rozgłosu, jakiego nabrała sprawa morderstwa Hayea, w którą niewinnie został zamieszany jej ojciec. W rzeczywistości nie zależało jej wcale tak bardzo na tym wyjeździe, choć z drugiej znów strony Sanders nie mógł jej winić za radość, jaką wywołała w niej perspektywa podróży. Pisała często. Jej listy były pouczające i błyskotliwe; nieraz myślał sobie, że zbyt żywe. Wolałby coś bardziej sentymentalnego, a nawet namiętnego. Raz — kiedy Grecja nastroiła ją sentymentalnie — otrzymał taki list i chodził potem przez wiele dni z głową w, chmurach.

Ale to się nieczęsto zdarzało. A przy tym jego wyobraźnię zaczęło ostatnio gnębić coraz bardziej powtarzające się w listach nazwisko Kessler.

Początkowo aluzje były przypadkowe. „Towarzystwo na statku bardzo nieciekawe, poza jednym mężczyzną, który wydaje się całkiem znośny; nazywa się Kessler, czy coś podobnego.” I wkrótce: „Jest to już czwarta podróż morska

pana Kesslera tym samym szlakiem i dlatego jest nam bardzo przydatny”. I „szkoda, żeś nie słyszał, jak par Gerald Kessler opisuje swoje przygody z wielbłądem na pustyni Gobi”! Niech diabli wezmą Gobi razem z panem Geraldem! Zawsze pisała „pan”, a potem Gerald Kessler powiedział nam” i w końcu „Jerry powiedział”.

Sanders mógł śledzić przebieg tej znajomości w miarę oddalania się statku od macierzystej przystani równie wyraźnie, jak oficer marynarki oznaczający flagami na mapie mile przebyte z portu do portu. Prześladował go Kessler Jego rysy, mimo wspólnej fotografii z Marcją w Jokohamie, pozostały niewyraźne; wysoki, rozleniwiony, w białych portkach i z fajką w gębie. Wyobrażał go sobie jako człowieka o dużych możliwościach. Do chłodnej Anglii w okresie pomiędzy grudniem i marcem, przychodziły opowiadania o ciepłych morzach i kolorowych lampionach pod kwitnącymi migdałowcami. Doktor Sanders — lekarz patolog zatrudniony w charakterze konsultanta w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych — coraz częściej poddawał się depresji. Beztwarzowy Kessler. Teraz są w Honolulu. Wyobrażenia Sandersa o Honolulu były bardzo niejasne, dotyczyły głównie gitar i ludzi zarzucających sobie wzajemnie wieńce na szyje. Obawiał się, że skutki tego wszystkiego mogą być fatalne dla dziewczyny takiej, jak Marcja Blystone.

Kessler, Kessler, Kessler! A co z tym drugim facetem, no z tym, którego zaledwie wymieniła? A może Kessler jest tylko zasłoną?

Przychodziły również okresy, kiedy zastanawiał się, czy jego zainteresowanie Marcją nie słabnie. Widok listu zaadresowanego jej ręką nie zawsze wywoływał objawy wzruszenia. Czasami przy czytaniu błyskotliwych i egzaltowanych opisów Marcji korciło go, żeby powiedzieć z ironią: „Światło mojego życia, zejź z tego konia”. Sumienie surowo wypominało mu to; no, ale fakty pozostawały faktami...

Taki więc był stan jego umysłu, kiedy jechał na weekend do Fourways, wiejskiej posiadłości Samuela Constable’a. Nastrój ten mógł się częściowo przyczynić do późniejszych wydarzeń —

nigdy nie był zupełnie tego pewien.

O godzinie szóstej piętnaście wysiadł z pociągu na stacji Camberdene, pogrążonej w głębokiej ciszy wieczoru. Odpowiadała mu ta cisza; odpowiadała samotność; po raz pierwszy poczuł się odprężony. Niebo było czyste o ciemnym odcieniu i odbłasku lśniącego szkła. W świetle tym wszystko wydawało się wielkie, świeże i umyte. W powietrzu unosił się zapach wiosny. Nie przysłano po niego samochodu, ale nie zmartwił się tym. Zawiodowca, którego głos odbijał się echem po pustym peronie, poinformował go, że nie ma żadnego środka transportu i że Fourways znajduje się pół mili w górę szosy. Zwawo wyruszył w drogę dźwigając ciężką walizkę.

Fourways, kiedy wreszcie je odnalazł, nie sprawiło na nim wrażenia perły architektury. W najlepszym razie można by na temat tej budowli powiedzieć, że była potężna i zwarta. Wiktoriański gotyk albo, ściślej mówiąc, wyciągnięta w górę gładka płaszczyzna ciemnoczerwonej cegły, która dopiero w szczytowej swej części wypuszczała pędy w postaci małych kruzganków, wieżyczek i ozdobnych kominów. Budowlę tę wraz z obszernym, sześć czy siedmio akrowym parkiem kształtu trójkąta, utworzonego przez zbiegające się drogi, otaczał wysoki mur, który już sam musiał w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia kosztować fortunę.

Ten, kto zbudował Fourways, pragnął odosobnienia i osiągnął je w pełni. Poza murami, przy skrzyżowaniu dróg, znajdowała się budka służby drogowej Automobil- -Klubu, a nieco dalej jej funkcjonariusz regulował ruch. Ale wewnątrz, tuż za zakrętem ścieżki, wszystko się kryło za drzewami aż do momentu, gdy oczom przybysza ukazywały się witraże okienne i maleńkie balkoniki.

Doktor Sanders — głęboko zaintrygowany — powędrował przy odgłosie swoich własnych kroków podjazdem wysypanym piaskiem. Z kamiennego baseniku dla ptaków ustawionego przed wejściem dobiegał trzepot skrzydeł, a głośny świergot wróbli unosił się nad całym frontonem Fourways. Sanders nic nie wiedział na temat Samuela czy Miny Constable'ów. poza tym, że byli wielkimi przyjaciółmi Lawrence'a Chase'a; nie miał

najmniejszego pojęcia, dlaczego chcieli go poznać. Chase, sympatyczny, ale raczej roztrzepany młody adwokat, zwykle opierał się na założeniu, że wszyscy wszystko wiedzą. Potężny dom Constable'ów wywarł jednak na młodym lekarzu duże wrażenie.

Uniósł ciężką, żelazną kołatkę u drzwi i załomotał. Odpowiedział mu jedynie wzmożony szebiot ptaków.

Po chwili zapukał ponownie, ale i tym razem nikt nie wyszedł na spotkanie. Z wnętrza domu nie dobiegał żaden szmer ani jakikolwiek odgłos życia. Wszystko to razem — łącznie z brakiem samochodu na stacji — zaniepokoiło trochę Sandersa, sugerując szereg możliwości: pomyłka w dacie, nieporozumienie, zagubiony list. Zawahał się, postawił walizkę i poszedł w kierunku prawej strony domu.

Całe skrzydło składające się z jednego wielkiego pomieszczenia dobudowano do środkowej części tej strony budynku. Była to oranżeria taka, jakie stawiano w dziewiętnastym wieku; rozległa sala o drewnianej konstrukcji z wysokimi witrażami okiennymi sięgającymi aż do ziemi i kopulastym, szklanym dachem. W dzisiejszych czasach wyglądało to przesadnie, bogato i archaicznie. Jeden z witraży był do połowy uchylony i ku swojej wielkiej uldze Sanders usłyszał kobiecy głos unoszący się przed szmerem cicho płynącej gdzieś wody.

— On musi stąd wyjechać! Koniecznie przekonaj Minę, żeby go odesłała, Larry, bo inaczej będą kłopoty. Czy nie rozumiesz tego?

Słowa te wypowiedziane były z taką nutą napięcia, że Sanders mimowolnie przystanął. Ktoś inny roześmiał się i usłyszał głos Lawrence'a Chase'a.

— O co ci chodzi? Obawiasz się, że odczyta twoje myśli?

— A wiesz, że chyba tak — przyznała.

Doktor zakaszłał i zaszurał nogami na wysypanym piaskiem podjeździe. Następnie przeszedł pas trawnika oddzielający oranżerię od ścieżki, zapukał w szybę i wetknął głowę przez okno.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Chase odwracając Dziewczyna

w ciemnej sukience powstała szybko z kamiennej krawędzi małej fontanny.

Wewnątrz było cieplej i duszniej, niż Sanders przypuszczał. Skąpe światło przedostawało się poprzez szklaną kopułę dachu o grubo złożonych krawędziach. Ogromne, tropikalne rośliny, rozłożyste paprocie i palmy pogłębiały półmrok. Drobne jak pył krople wody opadały z cichym szmerem z fontanny. Kamienna posadzka była częściowo pokryta puszystym dywanem. Na tym staromodnym tle nowoczesny, przenośny piecyk elektryczny żarzył się, odbijając pomarańczowoczerwonym blaskiem od posadzki, kropel wody i szklanego dachu.

— To stary Sanders — stwierdził jakby z niedowierzaniem Chase. — Na Boga, słuchaj, przykro mi z powodu samochodu. Wygląda na to, że rozpoczęliśmy ten weekend dosyć podle. Ale, ale, pozwólcie, że przedstawię: doktor Sanders — panna Victoria Keen,

Rzucił na Sandersa znaczące spojrzenie: „i-bez-głupich-kawałów, rozumiesz?” Jego twarz, dosyć długa z natury, wydłużyła się jeszcze bardziej nabierając uroczystego wyrazu. Lawrence Chase był wysokim, szczupłym młodym człowiekiem o flegmatycznym usposobieniu i prawdziwym talencie prawniczym. Słowa wprost same płynęły mu z ust. W okresie, kiedy dom ten budowano, modne było powiedzenie, które dokładnie określało Chase’a: „wygląda tak, jakby dopiero co wyjęto go z pudełeczka”. Obecnie jednak powaga przede wszystkim cechowała zachowanie młodego człowieka.

— Niestety, wszystko jest zdezorganizowane — tłumaczył. — Dlatego nikt po ciebie nie wyjechał. Mieliśmy wypadek.

— Wypadek?

— Tak. Mina, Victoria, Sam i ja przyjechaliśmy pociągiem. To samo zrobił nasz jasnowidzący przyjaciel, Pennik. Służba — cała czwórka — jechała z naszymi rzeczami samochodem Sama. Walizki odesłano nam, ale, bardzo mi przykro, bez służby.

— Bez służby? Dlaczego?

— Cóż, nikt tego dokładnie nie wie. Hodges, szofer Sama, podobno próbował wziąć zakręt na wzgórzu za szybko i uderzył w ciężarówkę. Zupełnie tego nie rozumiem, bo Hodges jest

najostrożniejszym kierowcą, z jakim kiedykolwiek jeździłem.

— Chcesz powiedzieć, że im się coś poważnego...

— O nie, nikt nie jest poważnie ranny. Potłuczenie i szok w najgorszym wypadku, ale to wystarczy, żeby zatrzymano ich w szpitalu na całą noc. W ten sposób nie mamy nikogo, kto potrafiłby usmażyć choćby jajko. Bardzo kłopotliwe. Oczywiście, dużo bardziej kłopotliwe dla nich, biedaków... — dodał pośpiesznie.

— Dużo bardziej — przyznała Vicky Keen. — A poza tym, ja potrafię usmażyć jajka. Dzień dobry, panie doktorze!

Sanders czekał na to, aby móc dopełnić formalności powitalnych. Skłonił głowę i spojrzał z zainteresowaniem na dziewczynę. Chociaż była mniej więcej w jego wieku, około trzydziestki, łagodna i ciepła żywotność sprawiała, że wyglądała dużo młodziej: żywotność ciała, myśli i nawet głosu. Nie robiła przy tym wrażenia osoby wydelikaczonej. Nie należała do kobiet pięknych, nie posiadała bowiem klasycznych rysów piękności. Jej niebieskie oczy i ciemnobrązowe, krótko przycięte włosy były tak konwencjonalne, że nie zwróciłoby się na nią uwagi, gdyby nie ogromny wdzięk bijący od całej postaci. Ale, spojrzawszy raz, trudno było oderwać od niej oczy. Ponadto Sandersowi rzadko kiedy zdarzyło się spotkać osobę o większej swobodzie towarzyskiej i tak opanowanych ruchach. Siedziała na krawędzi fontanny w ciemnej i prostej sukience; ale nie zapominało się o jej obecności.

A przy tym miała bardzo przyjemny uśmiech.

— Dziwne — mówił dalej w zamyśleniu Chase — jak samotny wydaje się dom bez służby. Dziwne, cała nasza szóstka zamknięta tutaj przez cały weekend, i nikogo, kto mógłby poprowadzić ten statek!

— Tak? — zaciekała się Vicky. — Co w tym jest dziwnego?

Chociaż przeciwstawiła mu się natychmiast, Sanders wyczuł tę samą atmosferę, której i Chase nie mógłby najprawdopodobniej zdefiniować; tak jak gdyby kurtyny Fourways odgrodziły ich od świata. Z pokoju przylegającego do oranżerii dobiegało miarowe bicie zegara. Chase zawahał się przez moment.

— Hmm, sam nie wiem. Może ulegam ogólnej skłonności do metapsychiki? A poza tym, stary, biedny Sam dostanie ataku, jeżeli zabraknie jego nieocenionego Parkera. Kto przygotowuje mu kąpiel lub wsadzi spinki do mankietów? Victoria — dodał, szybko i płynnie zmieniając temat — jest w jednej branży z nami. Pracuje w Urzędzie Prokuratury Publicznej. Ona przygotowuje materiały dla prawników; ty krajesz; ja bronie lub oskarżam. Jak Bóg da! Jesteśmy dobranym stadem sępów, co?

— Masz rację — zgodziła się z całą powagą Vicky. Zwróciła się do Sandersa. — Pan jest przyjacielem sir Henry Merrivale'a, prawda?

— Tak, w każdym razie jednym z wielu.

— Podobno przyjeżdża tu w niedzielę?

— Chyba tak.

— Vicky obawia się, że będą jakieś kłopoty z naszym przyjacielem jasnowidzem — zauważył Chase. Wyrażał się z jakąś wylewną czułością, tak jak gdyby tłumaczył coś małej dziewczynce.

— Oskarżana jestem o fantazję, bziki i urojenia — Vicky przyglądała się z zainteresowaniem swoim paznokciom. — Pozwólcie, że zapytam o coś, chcę wam przedstawić hipotetyczny wypadek. Przypuśćmy, że Pennik posiada zdolności, na które się powołuje, i przy odpowiednim wysiłku może odczytać każdą myśl, która przyjdzie nam do głowy. Nie zakładam z góry, że mamy tu do czynienia z autentycznym jasnowidzem, chociaż na żadnym tego rodzaju przedstawieniu nie czułam się tak... tak nieswojo. Ale, przypuśćmy, że posiada tego rodzaju dar. Czy zdajecie sobie sprawę, co to może mieć za znaczenie?

Twarz Sandersa musiała zdradzać niewiarę, bowiem Vicky odbiła jego spojrzenie w tak nieuchwytny sposób, jak szermierz parujący cios; w rzeczy samej jej umysł posiadał właściwości mistrza szermierki. Uśmiechnęła się.

— Pan doktor nie wierzy w jasnowidzów?

— Sam nie wiem — przyznał się Sanders szczerze. — Ale niech pani mówi dalej. Jeżeli przyjmiemy pani hipotezę, jakie

wynikają z tego logiczne konsekwencje?

Wpatrywała się w fontannę.

— Mówiłam z Larry'm na temat sztuki „Niebezpieczny zakręt”. Myśl przewodnia sztuki, może pan pamięta, polega na tym, że we wszystkich rozmowach z przyjaciółmi lub krewnymi każde, najbardziej nawet banalne słowo może zamienić niewinną pogawędkę w absolutną klęskę. Przeważnie omijamy te niebezpieczne zakręty, nieraz jednak koła ześlizgują się przypadkowo. Wychodzi wówczas na jaw jakaś tajemnica. Ale kiedy już raz znalazłeś się na tym zakręcie, musisz dalej zjeżdżać drogą w dół. Ujawnienie jednego sekretu prowadzi do ujawnienia następnego, dotyczącego innej osoby, aż po kolei najskrytsze, wewnętrzne życie każdego zostanie wyciągnięte na światło dzienne. Nie najpiękniejszy widok.

Ten zakręt jest wystarczająco niebezpieczny. Ale to tylko zakręt, wzięty przypadkowo lub na skutek zbiegu okoliczności. Z drugiej strony, przypuśćmy, że jest ktoś, kto uczynił to rozmyślnie, ponieważ wiedział, gdzie był ten zakręt i do czego może on doprowadzić? Przypuśćmy, że jest taka osoba, która posiada zdolności odczytywania myśli? I może znać najbardziej ukrytą myśl? Lepiej w ogóle nie zastanawiać się nad tym, do czego mogłoby to doprowadzić. Życie stałoby się wprosi nie do zniesienia; to wszystko. Może nie mam racji?

Mówiła spokojnie, jak gdyby tłumacząc, bez kładzenia nacisku na słowa. Pod koniec uniosła jedynie oczy. Twarz Lawrence'a Chase'a wyrażała zdziwienie, powątpiewanie i trochę poirytowania.

— To zbyt teoretyczne dla mnie...

— Nie, Larry. Sam wiesz, że nie.

—. A poza tym zaczynam podejrzewać, moja panno, że za bardzo uogólniasz.

— Może tak. Szczerze mówiąc, sama nie wiem. Ale zauważyłam, że ludzie zawsze oskarżają oponenta, że coś nie jest w porządku z jego rozumowaniem, kiedy zmusza on ich do wysiłku myślowego.

— Miałem na myśli, że idziesz zbyt daleko w swoich uogólnieniach — powiedział Larry. Dotychczas mówił lekkim

tonem, rzucając spojrzenia na Sandersa, tak jak gdyby kazał mu słuchać uważnie dziewczyny. Teraz wyprostował się tak gwałtownie, że jego ostre łopatki zarysowały się wyraźnie poprzez marynarkę. — Masz rację. Będziemy śmiertelnie poważni. Weźmy sztukę, o której mówiłaś: jeśli dobrze pamiętam, zanim zakończyli odgrzebywanie sekretów, wyszło na jaw, że bohaterowie sztuki popełnili prawie wszystkie przestępstwa przeciwko Dziesięciu Przykazaniom. A niech to diabli! Nie sugerujesz chyba poważnie, że to się odnosi do jakiegokolwiek grupy ludzi?

— Przesłuchania! — Vicky uśmiechnęła się. — Zadam ci pytanie. Przypuśćmy, że każda myśl, która ci przyjdzie do głowy w przeciągu jednego dnia, zostanie spisana, a następnie odczytana przed grupą twoich przyjaciół...

— Niech Bóg broni!

— Nie byłbyś tym zachwycony, co?

— Już raczej wolałbym, żeby mnie gotowali w oleju — oświadczył Chase.

— A przecież nie popełniłeś żadnego przestępstwa, oczywiście, mam na myśli prawdziwe przestępstwo?

— Nie. W każdym bądź razie nic takiego, co by mnie niepokoiło.

Zapadła cisza.

— I jeszcze jedna rzecz — ciągnęła z błyskiem przekory w błękitnych oczach. — Zostawmy przestępstwa na boku. Możemy nawet wyeliminować wasze męskie podboje albo zamierzone podboje. Nie musisz się nawet przyznawać do takich grzeszków, jak: poznałeś jakąś dziewczynę, spodobała ci się, zaprosiłeś ją gdzieś i myślałeś sobie: „udało mi się, to będzie łatwe”, kiedy tak naprawdę nic o niej nie wiedziałeś. Ludzie mówią o sekretach, ale zwykle mają na myśli sekrety na temat przeżytych lub nie przeżytych przygód miłosnych...

— Jak zawsze masz rację — przyznał Chase z całą bezstronnością. Ale nawet w mroku można było zobaczyć ciemny rumieniec, który zalał mu policzki.

— No i co? Eliminując przestępstwa i wszystkie sprawy związane z seksem, czy zgodziłbyś się, żeby...

— Zaraz, zaraz! — przerwał Chase. — To już idzie za daleko. Mieliśmy prowadzić teoretyczną dyskusję, a nie grać w „Prawdę”. Poza tym, dlaczego właśnie moje przywary i słabotki mają być wyciągane? A czy ty chciałabyś, żeby wszystkie myśli, które przyjdą ci do głowy w ciągu dnia, były wystawione na widok publiczny?

— W żadnym wypadku — odparła Vicky gwałtownie.

— Aha! Nawet odrzucając przestępstwa i seks, masz myśli, które nie chciałabyś, aby były znane?

— Tak.

— W rzeczywistości myślałaś nawet o przestępstwach i seksie?

— Oczywiście.

— Tak, no to wszystko w porządku — powiedział ułagodzony Larry. — Wicie, zostawmy lepiej ten temat w spokoju, zanim dojdzie do awantury.

— Nie możemy tego zrobić. Na tym właśnie cała rzecz polega, zrozumiałaś wreszcie? Widzisz, jak to łatwo rozpocząć taką historię, a trudno zatrzymać... I to nie dlatego, że jesteśmy przestępcami, ale dlatego, że wszyscy jesteśmy ludźmi. Oto powód, dla którego musimy przekonać Minę, żeby pozbyła się Pennika.

Chase zawahał się z odpowiedzią, a Vicky zwróciła się do Sandersa:

— On narobi masę kłopotów.. Wcale przy tym nie uważam, że ma złe intencje i według mnie nie jest typem intryganta. Nie. Wręcz przeciwnie, jego intencje są dobre i jego nieśmiałość ma dużo czaru...

— To czym się przejmujesz? — zapytał od niechcienia Chase, chociaż nie miał przy tym wcale beztróskiego wyrazu twarzy.

— Bo na tym właśnie polega cała trudność. On naprawdę wierzy, że posiada dar jasnowidzenia, a nie wydaje mi się, żeby był szarlatanem. Robi wrażenie łagodnego człowieka, ale pod tą maską kryje dziki upór, żeby przekonać — zmusić ludzi do wiary w niego, jasnowidza z Bożej łaski! Szczególnie od czasu, kiedy pan Constable...

— Sam.

— Niech będzie Sam. Szczególnie od czasu, kiedy Sam przeciwstawiał mu się przy każdej okazji. Pamiętasz, do czego doprowadziły jego „występy” w londyńskim mieszkaniu Constable’ow? Możesz sobie wyobrazić, jakie będą skutki, jeżeli on zademonstruje swoje umiejętności przed taką grupą ludzi jak my? Albo wśród jakichkolwiek ludzi na święcie? Co pan o tym myśli, panie doktorze?

W szklanym dachu oranżerii odbijało się ciemne niebo zapadającego szybko zmierzchu. Krople wody tryskające z fontanny spadały z cichym szmerem na kamienną posadzkę, a rośliny zamieniły się w dziwaczne cienie. Pomarańczowoczerwony kwadrat elektrycznego piecyka stanowił jedyne oświetlenie. Sanders wreszcie zrozumiał, na czym polegało zaproszenie na weekend do Fourways.

Sporządził na Chase’a.

— Powiedz mi, czy to był twój pomysł, żebyśmy wspólnie z sir Henry Merrivalem przeprowadzili śledztwo w sprawie tego faceta? Żebyśmy ostatecznie wyjaśnili, czy on jest oszustem, czy też nie?

Larry poczuł się urażony.

— Nie stawiaj tego w ten sposób. W żadnym wypadku! Oboje, Mina i Sam, bardzo pragnęli ciebie poznać.

— Dziękuję. Ale zanim dalej zapuścimy się w to wszystko, gdzie są nasi gospodarze? Chciałbym wreszcie ich poznać. Wpakowałem się tutaj...

— Nie ma ich w domu. Pojechali do Guildford odwiedzić służbę, no i przy okazji wynaleźć kogoś, kto mógłby przygotować szybki posiłek i dojrzeć wszystkiego. Ta sytuacja rozstroiła Minę. Musiało się to zdarzyć właśnie teraz z następną książką w drodze...

— Z czym w drodze? — przerwał Sanders.

— Z książką. Rozumiesz, o co chodzi... — Chase przerwał, otworzył szeroko oczy i uderzył się kilkakrotnie zaciśniętą pięścią w czoło. — Dobry Boże, nie chcesz chyba powiedzieć, że nie wiesz. Myślałem, że każdy wie.

— Nie każdy, jeżeli tobie powierzono przekazywanie informacji.

— Mina Constable — tłumaczył Larry — w rzeczywistości jest Miną Shields — pisarką... no wiesz. I nie śmieję się.

— Dlaczego, do diabła, mam się śmiać?

— Nie mam pojęcia — przyznał ponuro Chase — poza tym, że dla jakiegoś specjalnego powodu wszystkie kobiety parające się piórem wywołują ogólną wesołość. Mina to współczesna Maria Corelli¹. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest pompatyczna czy pomyłona, nie prawi również kazań. Mina to równa babka, przekonasz się. Może sobie pisać romanse na temat reinkarnacji w Egipcie czy też o „Szatanie z przedmieścia”, a mimo to jest bardzo rozsądna. Kiedy chciała napisać powieść na temat świątyni położonej w głębi francuskich Indochin, nie opierała się na wydanych już książkach. O nie! Pojechała do Indochin! Ta podróż o mało co nie wykończyła Sama, nie mówiąc już o Minie. Oboje zapadli na malarię. Samuel do tej pory nie może się z tego wygrzebać. Jest zawsze zmarznięty. Dlatego w każdym pokoju mają rozżarzone piecyki elektryczne i cały dom jest rozgrzany jak piec. Nie otwieraj za wielu okien, bo narazisz się Samowi.

— Tak. Co do tego zgadzam się w zupełności — powiedziała Vicky z pewnym napięciem w głosie, spoglądając na mgiełkę wody unoszącej się nad fontanną.

— Zaraz, zaraz!

— Pani Constable to wspinała kobieta — kontynuowała. — Ogromnie ją lubię. Ale pan Constable — nie, nie będę do niego mówiła Sam — brrr!

— Nonsens. Sam to porządny chłop. Typowy produkt brytyjskich klubów i, prawdę mówiąc, trochę małostkowy.

— Jest co najmniej dwadzieścia lat starszy od niej — wtrąciła Vicky beznamiętnie — i nie zauważyłam, żeby był w jakikolwiek sposób atrakcyjny. Jak on nią dyryguje, zmywa głowę przy obcych ludziach! Nigdy bym nie pozwoliła, aby jakikolwiek mężczyzna odnosił się w, ten sposób do mnie. To już lepiej połknąć truciznę...

¹ Maria Corelli (Minnie Mackay) 1864–1924. Pisarka angielska, autorka pretensjonalnych książek o sentymentalnej tematyce. (Przyp. tłum.)

Chase rozłożył bezradnie ręce.

— Mina jest po prostu głęboko do niego przywiązana. Traktuje go jak bohatera ze swoich powieści. Kiedyś był bardzo interesującym mężczyzną, zanim porzucił pracę i skoncentrował się na własnej osobie.

— Na .co nikt z nas nie może sobie pozwolić — mruknęła gorzko Vicky.

— No, dobrze... — przerwał Larry, i widać było, że nie chce dokończyć zaczętego zdania. — Przestańmy plotkować na ich temat w ich własnym domu. — Znowu się zawahał. — Słuchaj, John, nie ma co ukrywać: ataki malarii zmieniły trochę Minę, ale przede wszystkim wpłynęły na Samuela. Wścieka się nieraz, ale nie można go nie lubić. Sam już nie wiem, czy chcę, żeby okazało się, że ten jasnowidz jest zwykłym oszustem, czy też facetem o jakichś bliżej nie określonych zdolnościach. Mina go „odkryła” i wydaje się, że jest dumna z niego; chociaż czasami mam wątpliwości, czy nie jest w to zaangażowane jej poczucie humoru. Natomiast Samuel nie cierpi protegowanego swojej małżonki i mam wrażenie, że zanosí się na wielką awanturę. Atmosfera jest strasznie napięta. Sprawa polega na tym, czy ty i ten twój słynny przyjaciel H. M. nam pomożecie?

ROZDZIAŁ II

Sanders odzyskał wreszcie pogodę ducha. Jego próżność została przyjemnie polechtana i po raz pierwszy od wielu tygodni wpadł w wesoły nastrój.

— Oczywiście, ale...

— Ale co?

— Sądzę, że się pomyliłeś co do mnie. Nie jestem de-tektywem. Zajmuję się medycyną sądową. I nie bardzo widzę, w jaki sposób moja wiedza czy też umiejętności mogą być użyteczne w stosunku do tego człowieka. A zarazem...

— Ostrożny łapiduch — skomentował Chase.

— A zarazem trudno przewidzieć, jaka gałąź nauki albo raczej pseudonauki znalazłaby zastosowanie do osoby waszego jasnowidza, gdyby okazało się, że on nie jest zwykłym szarlatanem. Jaką posiada wiedzę? Na jakich zasadach pracuje, czy też udaje, że pracuje?

— Nie bardzo rozumiem, staruszk.

— Większość jasnowidzów z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia, wywodziła się z music-hallów. Kobieta siedzi z zawiązanymi oczyma, a mężczyzna spaceruje pomiędzy publicznością: „Co trzymam w ręku?” i tak dalej. Albo, inny rodzaj, facet, który pracuje samotnie: każe coś pisać na kawałku papieru, który wkłada do koperty, zakleja ją, a następnie odczytuje treść. Przeważnie jest to tak oczywisty blagier, że wystarczą elementarne wiadomości na temat tego rodzaju trików, aby faceta przyłapać na gorącym uczynku. Jeżeli wasz jasnowidz należy do jednego z tych dwóch gatunków, to mogę wam pomóc. W jakiej grupie go umiejscowicie?

— Wielki Boże, w żadnej!

— Dlaczego tak gwałtownie zaprzeczasz?

Vicky skrzywiła się. — Larry chciał przez to powiedzieć — tłumaczyła — że nasz jasnowidz ma masę naukowych tytułów. Dyplomy prawie z całego świata. To mi specjalnie nie

imponuje, ale nie można zaprzeczyć, że posiada pewną wagę. Potwierdza, w pewnym sensie, jego autentyczność. Poza tym jest krańcowo różny od typów, które pan opisał.

— To co on takiego robi? A może patrzy w oczy i obwieszcza z powagą: „Myślisz o małym domku kąpielowym leżącym na skraju plaży w Southend”, co?

— Wreszcie trafił pan w sedno! — przytaknęła Vicky.

W gęstniejącym mroku coraz bardziej zacierały się dziwaczne cienie palm i tylko pomarańczowoczerwony kwadrat rozżarzonych spiralek odbijał się ostro od ciemnego tła. Pomimo to zauważyli wyraz twarzy Sandersa.

— Aha! — wykrzyknął Larry uśmiechając się z satysfakcją. — Wstrząsnęło tobą, co? Dlaczego?

— Bo to jest niemożliwe. Naukowy bełkot. — Doki or zawahał się przez sekundę. — Nie przeczę, że w przeszłości przeprowadzono z pewnym nawet, sukcesem sporo eksperymentów, w dziedzinie telepatii. Jej wyznawcami do pewnego stopnia byli William James, Hegel, Schelling i Schopenhauer. Ostatnio to wszystko utknęło na martwym punkcie, bo nikt się już nie zajmował badaniami w tej dziedzinie. Kłopot polega na tym, że nie można uznać za fakt naukowy niczego, co nie znajdowałoby swojego potwierdzenia w codziennej praktyce, przy powtarzającym się stale tym samym mechanizmie działania. No, a w wypadku telepatii doświadczenia naukowe na ogół spalają na panewce. Wyobraźcie sobie jegomościa, który prowadzi doświadczenie i narzeka, że nie jest w nastroju lub że warunki są nieodpowiednie"! Może to być nawet całkiem uczciwie, ale nie ma nic wspólnego z podejściem naukowym. Ale wracając do waszego jasnowidza. Kto to jest? Co o nim wiecie?

Zanim Vicky odpowiedziała, minęło kilka chwil przynębiającej ciszy.

— Tak naprawdę to nic, poza tym, że sprawia wrażenie dosyć zamożnego i że nie zyska grosza na tej całej historii. Mina spotkała go w drodze powrotnej z Indochin. Powiedział nam, że prowadzi badania naukowe.

— W jakiej dziedzinie?

— W dziedzinie myśli ludzkiej, którą można użyć jako siłę fizyczną, czy coś takiego. On to panu musi sam wytłumaczyć. A przy tym — ciągnęła Vicky i jej miękki głos wyraźnie się zaostrzył — stale wydaje mi się, że coś z nim jednak nie jest w porządku. I nie ma to nic wspólnego z tym, czy jest oszustem, czy też nie; raczej z czymś, co tkwi uparcie w jego podświadomości. Nieśmiałość? Kompleks niższości? Odnosi się wrażenie, że odczytywanie myśli traktuje jako drobne preludium do... och, sama nie wiem! Niech pan z nim porozmawia, jeżeli on się zgodni, oczywiście...

— Sprawi mi to wielką przyjemność — odezwał się niespodziewanie obcy głos.

Zaszeleściła trawa. Szare światło zmierzchu padało poprzez górne witraże. W cieniu uchylonych drzwi stała jakaś postać.

W zapadającym zmroku można było dostrzec tylko kontury sylwetki. Przybysz — mężczyzna poniżej średniego wzrostu — miał szeroką klatkę piersiową i lekko pałakowate nogi. Pochylił głowę i pomimo ciemności wszyscy odnieśli wrażenie, że uśmiecha się. Głos miał głęboki i przyjemny, mówił powoli.

— Światło. Zapalmy światło — rzucił pośpiesznie Larry — i Sanders mógłby przysiąc, że z głosu jego przebijała ukrywana panika.

Chase przekreślił kontakt. Z każdego narożnika szklanej: kopuły kiście elektrycznych kul rozkwitły jak świecące owoce. Było to modne pod koniec dziewiętnastego wieku oświetlenie: jaskrawe i wulgarne; podkreślało krzykliwość złocień, palm i kolorowych witraży.

— Dziękuję — powiedział nowo przybyły. — Doktor Sanders?

— Tak. Pan...?

— Pennik. Herman Pennik.

Wyciągnął rękę. Trudno byłoby znaleźć bardziej bezpretensjonalną postać niż Herman Pennik. Przed wejściem do oranżerii dokładnie oczyścił podeszwy z błota o próg. Zanim podał rękę, jeszcze raz obejrzał swoje buty, aby upewnić się, że nie zabrudzi dywanu.

Był to mężczyzna po czterdziestce. Mocno sklepioną czaszkę pokrywały piaskowego koloru włosy; szeroka, pociemniała od

słońca twarz, z głębokimi bruzdami po obu stronach szczęki; szeroki nos i jasne oczy pod piaskowymi brwiami. Twarz bez śladu intelektu, raczej pospolita i z gruba ciosana. Ale osobliwość Pennika polegała między innymi na tym, że wydawał się on bardziej niepozorny, niż był w rzeczywistości.

Mówił tonem przepraszającym, lekko poruszając ramionami.

— Witam pana. I przepraszam. Nie moja wina, że usłyszałem część rozmowy.

Sanders odpowiedział równie kurtuazyjnie.

— Wydaje mi się, że byłem zbyt szczery. Mam nadzieję, że pana nie uraziłem?

— Ależ nie. Widzi pan, ja sam nie wiem, dlaczego tu jestem, nie posiadam specjalnych talentów towarzyskich. Ale pani Constable życzyła sobie, żebym przyjechał, no więc jestem.

Uśmiechnął się i doktor odczuł dziwną reakcję psychiczną. Mimo wewnętrznego sprzeciwu, reputacja, jaką zdobył sobie Pennik, sprawiła, że Sanders poczuł się nieswojo. Otaczała ona Pennika jak aura; trzeba się było szybko z niej otrząsnąć; zakłócała równowagę i spokój. Budziła podstępny myśl: a jeżeli naprawdę ten facet może odczytać moje myśli? Atmosfera w pokoju zdecydowanie się zmieniła.

— Usiądziemy? — zaproponował niespodziewanie Pennik. — Można przynieść pani krzeselko? Na pewno będzie pani dużo wygodniej niż na krawędzi tej fontanny.

— Całkiem mi wygodnie, dziękuję.

— Jest pani pewna, że...

— Zupełnie pewna, dziękuję.

Doktor wyczuł, że ona również — mimo uśmiechu na twarzy — niemile była zaskoczona zachowaniem Pennika. Kiedy mówił do niej, zmieniał się zupełnie: nie potrafił sklecić poprawnie jednego zdania i zachowywał się jak mały, zażenowany chłopiec. Usiadł nerwowo na wiklinowym krześle.

Szybko się opanował, chociaż Sanders zauważył, że wciągnął głęboko powietrze.

— Właśnie opowiadaliśmy doktorowi — zaczął Chase przeczesując palcami rzednące włosy — o niektórych pańskich wyczynach.

Pennik uczynił odzegnujący gest dłonią.

— Dziękuję panu. I jaka była reakcja doktora?

— Mówiąc prawdę, wydaje mi się, że był trochę zaszokowany.

— Rzeczywiście? A można wiedzieć, dlaczego?

Sanders poczuł się trochę nieswojo; tak jak gdyby on, a nie Pennik, był w defensywie. I żeby chociaż ten facet nie wpatrywał się w niego tak dociekliwie swoimi przekłętymi oczami. A niech diabli wezmą całą podświadomość! Przez cały ten czas starał się pochwycić spojrzenie Vicky; irytowało go to, patrzył więc w inną stronę i znowu wracał do niej spojrzeniem.

— Nie nazwałbym tego szokiem — odpowiedział sucho. — Raczej zdziwieniem. Człowiek, który ma do czynienia z tak konkretną nauką, jak anatomia...

— O, o — przerwał Larry. — To nieuczciwy chwyt.

— Zgoda, ale każdy naukowiec przeciwstawia się eksperymentowi, które... — Przerwał, chciał powiedzieć: eksperymentom, które burzą porządek natury, zdał sobie jednak sprawę, że brzmiałoby to pompatycznie i mogło wywołać uśmiechy. — No, tego typu roszczeniom — dokończył niezgrabnie.

— Rozumiem — powiedział Pennik. — I dlatego nauka odmawia prowadzenia badań w tej dziedzinie, ponieważ rezultaty mogą okazać się niewygodne?

— Nic podobnego.

Pennik zmarszczył czoło, ale w oczach zapaliły mu się wesołe ogniki.

— Przyznał pan sam przecież, że w przeszłości przeprowadzono z powodzeniem niektóre eksperymenty w dziedzinie telepatii?

— Do pewnego stopnia. Ale bardzo odległe jest to od osiągnięć, do których pan się przyznaje.

— Czy ma pan coś przeciwko temu, abym czynił postępy? Naprawdę, drogi panie, to jest tak nierozsądne, jak stwierdzenie, że należało zaniechać doświadczeń nad radiem i telegrafem, ponieważ pierwsze badania, chociaż udane, były niekompletne.

(Muszę uważać. Rozłoży mnie na obie łopatki, jak tak dalej

pójdzie. Uciekanie się do argumentów fałszywej analogii jest starym chwytem.)

— Właśnie do tego zmierzałem. Telegraf bez drutu oparty jest na zasadach, które można wytłumaczyć. A czy może pan wytłumaczyć zasady, na których opiera pan swoje teorie?

— Odpowiedniemu słuchaczowi.

— Ale nie mnie?

— Drogi panie — twarz Pennika miała szczerzy wyraz, mówił z pewnym wysiłkiem — proszę mnie zrozumieć. Uważa pan, że ja rozumię fałszywie, ponieważ opieram się na porównaniach. Ale kiedy jakaś rzecz jest zupełnie nowa, jak można inaczej argumentować niż za pomocą porównań? Jak inaczej mogę przedstawić panu tok mojego rozumowania? Przypuśćmy, że staram się wytłumaczyć dzikusowi z Azji Środkowej zasady, na jakich pracuje telegraf bez drutu! Bardzo pana przepraszam. Porównanie może nie najszcześniejsze. Albo przypuśćmy, że ten sam problem stawiam przed wysoce cywilizowanym Rzymianinem z pierwszego wieku naszej ery. Dla niego same zasady będą brzmiały równie tajemniczo, jak rezultaty; powiedziałbym nawet, że zasady będą brzmiały równie niewiarygodnie, jak rezultaty. Jestem więc w niezręcznej sytuacji, kiedy ludzie domagają się podania formułki.

Gdybym miał więcej czasu, potrafiłbym to panu wytłumaczyć. Zasada, w ogólnym zarysie, polega na tym, że myśl, albo to, co my nazywamy falami myślowymi, posiada siłę fizyczną podobną do dźwięku. Ale jeżeli zrozumienie podstaw działania telegrafu bez drutu zajęłoby wykształconemu Rzymianinowi pięć tygodni czasu, proszę się nie dziwić, że nie może pan pojąć zasad telepatii w przeciągu pięciu minut.

Sanders zlekceważył ostatnią uwagę.

— Pan utrzymuje — indagował dalej — że fale myślowe mają podobną siłę fizyczną jak dźwięk?

— Tak.

— A przecież siłę dźwięku, wraz z jego fizycznymi właściwościami, można naukowo zmierzyć.

— Naturalnie. Fale głosowe mogą rozbić szkło, a nawet zabić człowieka... To samo, oczywiście, odnosi się do myśli.

Mówił z mozolną jasnością. Sanders zdał sobie sprawę, że jego pierwsze wrażenie — iż ten człowiek to wariat — było niesłuszne.

— Pomińmy na chwilę pytanie — powiedział — czy mógłby pan zabić człowieka posługując się jedynie myślą, tak jak to podobno czynią czarownicy z plemienia Bantu. Zamiast tego przejdźmy na prosty język, taki jaki człowiek o mojej ograniczonej inteligencji może zrozumieć. Co w końcu pan robi?

— Pokażę panu na przykładzie — odpowiedział po prostu Pennik. — Jeżeli skoncentruje pan swoje myśli na czymś, cokolwiek, a szczególnie na osobie czy idei, która ma poważne znaczenie w. pana życiu, powiem panu o czym pan myślał.

Było to coś w rodzaju wyzwania.

— Twierdzi pan, że mógłby to pan zrobić z każdym?

— Prawie z każdym. Oczywiście, jeżeli nie będzie pan współdziałał ze mną i starał się ukryć swoje myśli, powstaną dodatkowe trudności. Ale i z tym można sobie dać radę.

Prostolinijność Pennika wstrząsnęła Sandersem. Myśli w panice rozbiegły mu się po głowie. Podświadomie bronił się przed swoim przeciwnikiem.

— No, więc jak — powiedział z udaną swobodą — sprawdzimy pana umiejętności?

— W każdej chwili.

— Doskonale, niech pan zaczyna — mruknął doktor, starając się opanować niepokój.

— Skoro więc pan... nie, nie, nie! — krzyknął Pennik opryskliwie. — Nic z tego nie będzie.

— Z czego nic nie będzie?

— Starał się pan uwolnić swój umysł od wszelkich istotnych myśli. Proszę się mnie nic bać, nic skrzywdzę pana. Teraz, na przykład, postanowił się pan skoncentrować na marmurowym popiersiu jakiegoś naukowca, chyba to Lister, które stoi na gzymsie kominka w czyjejs bibliotece.

Była to absolutna prawda.

Są takie uczucia, które trudno jest opanować, ponieważ u

podłoża ich leży całkowite zaskoczenie. Być „złapanym” na jakiejś myśli — to niezbyt przyjemne, być złapanym przez przyjaciela, który dużo wie na nasz temat, a reszty może się domyślić, budzi niechęć i pewną bezsilność. Ale zostać „odczytanym” w chwili, kiedy przyszła nam na myśl pierwsza lepsza błahostka, i do tego przez zupełnie obcego człowieka o spojrzeniu psa aportującego patyk...

— Nie, nie — protestował Pennik gestykulując z przejęciem. — Musi mi pan dać większe możliwości. Popiersie Listera nie ma dla pana żadnego znaczenia. Równie dobrze mógłby to być posąg Achillesa czy piecyk kuchenny. Spróbuje pan jeszcze raz?

— Chwileczkę — przerwała Vicky z:e swojego miejsca przy fontannie. Jej ręce ścisnęły kurczowo chusteczkę. — Czy odgadł?

— Tak.

— A niech to... — mruknął Lawrence Chase. — Proszę, aby kobiety i dzieci opuściły salę sądową. Napisałem ci w moim liście, że nie wydaje mi się, aby mógł to być zwykły trik. Nie notowałeś przecież swoich myśli na kawałkach papieru, czy coś w tym rodzaju...

— Trik, trik, trik — przerwał półzartobliwie Herman Pennik. Sanders jednak odniósł wrażenie, że jest to poza, którą Pennik stara się pokryć ogromny wysiłek myślowy; jego nadmierna wiara w siebie została urażona. Mówiąc po prostu „popisywał się”. I istniała obawa, że nadal będzie się popisywać. — Trik, trik, trik! To jest właściwie wszystko, o czym wy, Anglicy, myślicie. Cóż, doktorze, spróbuje pan jeszcze raz?

— Dobrze. Niech pan jedzie dalej.

— Wobec tego spróbuję... o... teraz dużo lepiej — zawyrokował Pennik. Zakrył oczy palcami i spomiędzy nich przyglądał się swojej ofierze. — Gra pan uczciwie, bo skoncentrował się pan na obiekcie, który wywołuje u pana silne emocje.

I prawie bez najmniejszego wahania zaczął opowiadać o Marcji Blystone i jej podróży dokoła świata z panem Kesslerem.

Było to dziwne uczucie. Sanders odczuwał prawie fizyczny

ból, tak jak gdyby wrywano mu bez znieczulenia zęb po zębie.

— Ja... hm... mam nadzieję, że pan się nie gniewa — zaczął usprawiedliwiać się Pennik. — W zasadzie, nie powinienem być tak szczery. Moim mottem była zawsze dewiza królowej Elżbiety: video et taceo: „widzę i milczę”. Ale sam pan chciał, żebym powiedział, na czym pana myśli są skoncentrowane. Możemy to ciągnąć dalej. Są również rzeczy, które stara się pan ukryć przede mną... — zawahał się chwilę. — Czy mam mówić dalej?

— Tak — wycedził Sanders przez zaciśnięte zęby.

— Wolałbym...

Tak!

— Ooo, nowy obiekt zainteresowań. — Spojrzenie Pennika miało w sobie coś z satyra. — Panna Keen od pierwszej chwili wywarła na panu ogromne wrażenie, najprawdopodobniej jest to reakcja emocjonalna. Urok tej młodej osoby działa na każdego. Zastanawiał się pan, czy nie jest ona bardziej odpowiednia dla pana niż panna Blystone.

— Wiedziałem, że tak będzie! — wykrzyknął Chase, zrywając się na równe nogi.

Vicky milczała; zachowywała się tak, jak gdyby nic nie słyszała. Wpatrywała się bez przerwy w tryskającą z fontanny strużkę wody. Światło lśniło na jej gęstych, ciemnobrązowych włosach i podkreślało łagodną linię szyi. Nagle spojrzała na zebranych; a zdumienie widoczne na jej twarzy wywołane było bardziej tonem niż słowami Pennika.

— Zgadza się, panie doktorze? — zapytał Pennik głosem równie bezbarwnym jak na początku ich rozmowy.

Sanders nie odpowiedział.

— Przyznajesz się więc? — warknął Larry. — No dobrze, panie jasnowidzu, a o czym ja myślę?

— Wolałbym na to pytanie nie odpowiadać.

— Taaak? A może mi ktoś powie, dlaczego ja zawsze jestem oskarżany o nieprzyzwoite myśli? Dlaczego zawsze się przypuszcza, że ja myślę tylko o...

— Nikt tego nie powiedział — starał się załagodzić Sanders. — Na tym polega nieporozumienie tego całego eksperymentu.

Sumienie nas zdradza.

— Tak, to może pan nam powie, o czym myśli Victoria? — rzucił Chase wyzywająco. — Jaki jest jej sekret, który starała się ukryć przez cały okres naszej znajomości?

Na szczęście przerwano im w tym momencie. Z ciemnego wnętrza domu poprzez szklane drzwi osłonięte pluszową zasłoną dobiegał stukot pośpiesznych kroków i czyjś zadyszany głos. Mała, uśmiechnięta kobieta w przekrzywionym kapeluszu na głowie wpadła do oranżerii. To mogła być tylko pani domu i Sanders powitał jej obecność z widoczną ulgą. Zaczynał sobie zdawać sprawę, że tej zabawy w „czytanie myśli” nie należy zbyt długo przeciągać, bo może mieć nieobliczalne skutki. A jednak, z przewrotnością wypływającą z ludzkiej natury, każdemu zależało, aby prowadzić ją dalej. Na tym polegał cały kłopot. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie: co się może wydarzyć, zanim ten weekend dobiegnie końca?

ROZDZIAŁ III

— Przykro mi, że zostawiłam was samych — usprawiedliwiała się Mina Constable. — Wszystko zdezorganizowane i sama już nie wiem, co robić.

Sandersowi spodobała się od razu: przywracała poczucie rzeczywistości. Promieniowała od niej życzliwość, szczerść i wdzięk. Drobną, o szybkich ruchach, sprawiała wrażenie kobiety o niespożytej energii. Miała duże, ciemnobrązowe, marzycielskie oczy, smagłą cerę i ciemne, krótko przycięte włosy. Ubrana była z niedbałą elegancją, a zawadiacko przekrzywiony kapelusz dodawał jej uroku. Sanders dojrzał jednak ślady ciężkich ataków malarii: w zwięzionych żrenicach i drzeniu rąk.

Spojrzała szybko za siebie.

— Przybiegłam pierwsza — ciągnęła dalej, tym samym lekko zadyszonym głosem. — I chciałam was prosić, żebyście nie zwracali uwagi na Sama, jeżeli będzie w jednym ze swoich nastrojów. Biedaczysko, miał dzisiaj podły dzień; samochód rozwalony i nikogo nie dostaliśmy do pomocy w domu. Dzięki Bogu, służba czuje się dużo lepiej. Wesolutcy aż miło, chociaż sam wypadek nie należał do przyjemności. Można sobie wyobrazić...

Przerwała gwałtownie, kiedy spojrzenie jej zatrzymało się na Sandersie. Chase dokonał prezentacji. I może dlatego, że był wytracony z równowagi, wykazał niezwykły brak taktu.

— Nie masz co się łudzić, Mina — powiedział pocieszającym tonem obejmując ją ramieniem. — Masz przed sobą faceta, który nigdy o tobie nie słyszał. Nie jesteś tak popularna, jak przypuszczałaś.

— Nigdy tego nie przypuszczałam — odrzekła Mina z opanowaniem i uśmiechnęła się życzliwie do doktora.

— On nigdy nie słyszał — ciągnął Larry uparcie — o „Lady Ishtar” czy „Szatanie z przedmieścia”, a nawet — nie wiem, czy wiecie, że nasza Mina napisała kiedyś powieść kryminalną!

Nadal twierdę, że to nie, było udane. Uważam za absolutnie nieprawdopodobne, aby jakiś facet mógł jeździć ze zwłokami po całym Londynie, a potem przekonać wszystkich., że truposzek przez cały czas był żywy i umarł dopiero w Hyde Parku. Poza tym twoja główna bohaterka to tuman, bez przerwy traciła głowę. Z drugiej znów strony, gdyby nie była tumanem, nie byłoby powieści. A więc wszystko jest w porządku.

To dotknęło Sandersa do żywego.

— Proszę mi wybaczyć, czy to pani napisała „Podwójne alibi”? Oczywiście, nazwisko pani jest mi znane. I absolutnie nie zgadzam się z Larry’em. Najprawdopodobniej pytano już panią o to setki razy, ale jak pani wpadła na pomysł tej trucizny? Całkiem nowy pomysł i oparty na naukowych podstawach.

— Sama nie wiem — odpowiedziała wymijająco. — Poznaje się ludzi i opowiadają różne rzeczy. — Sprawiała wrażenie, jak gdyby koniecznie chciała zmienić temat rozmowy. — Bardzo miło, że pan do nas przyjechał, ale obawiam się, że weekend nie będzie najlepszy. Jak się panu podoba Fourways? Śliczny dom, prawda? — zapytała z odcieniem szczerzej dumy w głosie. — Od najwcześniejszego dzieciństwa marzyłam o takim domu jak ten. Wiem, wiem, ludzie się z niego śmieją, ale mnie on odpowiada. Lubię atmosferę tego domu. Sam również, on rozumie tego rodzaju rzeczy. Larry, bądź dobrym chłopcem i przynieś nam coś do picia. Dla mnie cocktail, a Sam na pewno będzie chciał gin z wermutem. Zgadłam, mój drogi?

Odwróciła się z pogodnym uśmiechem. Do oranżerii wszedł Sam Constable.

Pan Samuel Hobart Constable zaczął coś mówić, ale przerwał gwałtownie na widok nieznanego. Oddychał ciężko, a sposób, w jaki wstrzymywał się od mówienia, był pełen ostentacji, tak jak gdyby chciał pokazać, że dobre maniery każą mu milczeć. Robiono z niego tyrana, ale Sanders zobaczył po prostu tęgawego mężczyznę, zbliżającego się do sześćdziesiątki, którego twarz zdradzała drażliwość i zarozumiałstwo. Chociaż niewysoki i już niemłody, był jeszcze wyjątkowo przystojnym

mężczyzną. Tweedowy garnitur leżał na nim idealnie, bez żadnej zmarszczki. Po chwili uroczystego milczenia obejrzał się gwałtownie i zobaczył otwarte okno. Równym krokiem ruszył przez oranżerię i dokładnie je zamknął.

— Miło mi pana poznać — zwrócił się do Sandersa, ostentacyjnie ignorując resztę towarzystwa.

— Wszystko w porządku, mój drogi — powiedziała Mina poklepując go wesoło po ramieniu. — Larry przyniesie nam drinka i zaraz pocujemy się lepiej. A poza tym pani. Chichester przyrzekła przygotować nam coś do zjedzenia i...

— Słyszał pan chyba, co się stało. Cóż, młody człowieku, będzie pan szczęśliwy, jeżeli otrzyma pan cokolwiek do zjedzenia. Niejaka pani Chichester łaskawie przejęła nadzór nad naszym domem: nie potrafi ugotować porządnej kolacji, ale może przygotować „trochę zimnej wołowiny” i „smaczną sałatę”. — Przy ostatnich słowach na jego żółtawą cerę wystąpiły rumieńce. — To mi nie odpowiada. Nie chcę kawałka zimnej wołowiny ani. smacznej sałaty. Chcę zjeść solidną kolację. I od czasu...

— Sam, naprawdę bardzo mi przykro — Mina ściągnęła kapelusz i rzuciła na wiklinową ławeczkę. Była coraz bardziej zdenerwowana. — Rozumiem cię doskonale. Ale dzisiaj wcześniej zamykają sklepy i poza zimnymi potrawami niczego nie ma w domu.

Sam zwrócił się do niej z nieco pompatycznym gestem kurtuazji.

— Czy to moja wina?

— Nie, ale bez służby...

— To już mnie nie obchodzi. Chyba nie należy do moich obowiązków chodzenie na zakupy, po mięso czy coś tam innego. Postaraj się być rozsądna, Mino. Jeżeli potrafiłaś bez żadnego prawie przygotowania do podróży ciągnąć mnie przez, osiemset mil malarycznych mokradeł — szkoda, że nie widzisz w tej chwili swoich oczu — to na pewno nie wymagam za wiele, jeżeli chcę, aby nasz dom był odpowiednio zaopatrzony. Ale nie kłóćmy się w obecności naszych gości.

— Ja mogę przygotować kolację — zaofiarował się Herman

Pennik.

Było to tak niespodziewane, że wszyscy wybałuszyli na niego oczy. Nawet Chase zatrzymał się w drodze po trunki i wysunął głowę zza krzaka paproci. Samuel po raz pierwszy bezpośrednio zwrócił się do Pennika:

— Pan jest kucharzem, przyjacielu? — dopytywał się wzgardliwym tonem człowieka, który dawno się wszystkiego domyślił. — To jest, poza innymi umiejętnościami...?

— Potrafię bardzo dobrze gotować. Oczywiście, nie mogę zrobić gorącej kolacji, ale za t-o przygotowuję wam zimne dania godne królewskiego podniebienia.

Vicky roześmiała się; był to spontaniczny śmiech, otrząśnięcie się spod przygniatającego ciężaru. Wstała z krawężnika fontanny.

— Och, znakomicie! Brawo! Niech pani wreszcie usiądzie i odpocznie — zachęciła Minę. — A szczerze mówiąc, czy nie uważacie, że nie ma co robić takiej tragedii z powodu jednego posiłku? Gdybyście byli bez forszy tak jak ja, jedna kolacja nie miałyby dla was żadnego znaczenia. Pan Pennik przygotowuje kolację, a ja ją podsm...

— Nie, nie! — Herman był wyraźnie zaszokowany tą sugestią. — Pani poda? Nie mogę na to pozwolić. Proszę wszystko mnie zostawić.

— Zawojowała go pani całkowicie! — Samuel wyrażał się z nieporadną galanterią. Wpadł nagle w znakomity humor. Sanders zastanawiał się, co wywołało taką zmianę nastroju: czy rozśmieszył go pomysł „jasnowidz w roli kucharza”, czy też ucieszyła wizja Vicky w roli kelnerki. Minę — rozglądającą się dotąd bezradnie, tak jak gdyby chciała się upewnić, że mimo drobnych potknięć wszyscy nadal uważają jej męża za znakomitego faceta — ogarnął znowu marzycielski nastrój.

— No, to wszystko w porządku — oznajmiła. — Zdaje mi się, że Dumas ugotował kiedyś kolację dla smakoszy francuskich? Szkoda, że ja nie umiem. Gdzieś w kuchni powinna być czapka kucharska, wie pan, taka wysoka, biała... Może się to panu przydać.

— Będzie mu w tym do twarzy — powiedział Sam poważnie.

— Ale musi nam pan dać słowo, że nas nie otruje. Dobrze?

Dalszą wymianę słów przerwało pojawienie się Larry'ego. Pchał przed sobą wiklinowy stolik z tak drażniącym zgrzytem po kamiennej posadzce, że twarz Sama aż poczerwieniała. Po chwili Chase postawił na stole tacę z butelkami, szklankami i miseczką lodu.

— On nas nie otruje — zapewnił wszystkich. — Cokolwiek by się stało, nie zrobi tego. Nie będzie mu to potrzebne.

— Nie będzie mu to potrzebne?

— Nie. Po prostu pomyśli o nas, i — hop! Gin z wermutem czy zrobić cocktail?

— O czym ty mówisz, do diabła?

— Święta prawda — kontynuował Larry szybko rozlewając trunki. — Głosujemy? Nie chcesz cocktailu? W porządku. Co pijesz, Mino?

— Wszystko jedno, Larry. Może być gin z wermutem.

— Pan Pennik — ciągnął Chase — powiedział, że fale myślowe są siłą fizyczną. Zgoda, wiemy o tym. Ale powiedział również, że odpowiednio użyte mogą zabić człowieka.

Na twarzy Sama, kiedy wziął do ręki szklankę z trunkiem, pojawił się wyraz rozpacz. Jak gdyby chciał powiedzieć: „Znowu coś. Zawsze coś musi mnie gnębić i trapić. Dlaczego wszystkie kłopoty zwalają się na moją głowę?”

— Naprawdę? — zdziwił się, głośno przemykając trunek. — Znowu zabawialiście się w odczytywanie myśli?

— Zapytaj pana doktora. No, zapytaj go! Pan Pennik powiedział, o czym on myślał, i trafił od pierwszego strzału. I nawet odgadł, kiedy John starał się ukryć swoje myśli o...

— Innych sprawach — wtrąciła Vicky przyglądając się z zainteresowaniem fontannie.

— Zastanawiam się, czy trafiłem na odpowiedniego człowieka? — powiedział Sam obserwując bacznie Sandersa. — Młody człowieku, pan jest lekarzem, prawda?

— Tak.

— I tak jak mnie poinformowano, pracuje pan jako patolog w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych?

— Tak.

— I pan się zgadza z tymi wszystkimi bredniami?

— Nie muszę się zgadzać z czymkolwiek. Ale przyznaję, że pan Pennik dał znakomity pokaz swoich umiejętności... tak, to jest chyba najwłaściwsze określenie.

Pan domu zerwał się na równe nogi.

— Mino, na Boga! Przestań wreszcie trząść tą szklanką. Zachowujesz się jak stare babsko ciągnące gin w, knajpie. Jeżeli ręce ci tak dygocą, że nie możesz utrzymać porządnie szklanki, postaw ją na brzegu stołu i dopiero wtedy pij. To będzie znacznie przyzwoitsze niż robienie z siebie widowiska.

Przerwał, zażenowany własnym wybuchem. Najprawdopodobniej nie miał na myśli nic złego. Ale był w tym ślad okrucieństwa, bowiem, jak sam wiedział, drżenia rąk po ataku malarii nie można opanować.

Mina nie odezwała się.

— No, dobrze, dobrze, przepraszam — mruknął. Wypił zawartość szklanki do dna i usiadł ciężko. — Ale doprowadzacie do tego, że czuję się jak stary dziad. Miejcie trochę litości. Często powtarzam, że Mina mnie jeszcze kiedyś uśmierci przez to swoje wieczne upuszczanie przedmiotów. Nerwy. Nie mogę tego wytrzymać. Tak, ale wracając do poprzedniego tematu, ta cała historia z odczytywaniem myśli to bzdura. To jest amoralne, to... — żyły wystąpiły mu na czole — ... to jest przeciwne wszystkiemu, czego się kiedykolwiek uczyłem. Przeciwno naturze.

— Nie podniecaj się, Sam — prosiła Mina. Oczy jej błyszczały. — Ale musisz przyznać, że to jest fascynujące. I wiesz dobrze, że pan Pennik powiedział ci dokładnie, o czym myślałeś. A ty nie dałeś mu dokończyć i wrzeszczałeś „nieprawda”! Potem już nie zgodziłeś się na żadne próby.. Bardzo mi przykro, mój drogi, ale wiesz, że tak było.

Samuel popatrzył na nią.

— Może zmienimy temat? — zaproponował z wielką uprzejmością. Wyciągnął z kieszonki zegarek i studiował go z namaszczeniem. — No właśnie! Zbliża się pół do ósmej. Odpowiedni czas na kąpiel i przebranie się...

— Daj spokój, Sam, dzisiaj chyba nie przeberzemy się do

kolacji?

— Oczywiście, że tak, moja droga. Czy możesz mi podać jakieś istotne przyczyny, dla których mielibyśmy zmienić nasze zwyczaje? Jeżeli przebierałem się do kolacji pośród gromady przeklętych Murzynów, mam chyba prawo przebrać się do kolacji we własnym domu?

— Naturalnie, jeżeli masz ochotę.

— Mam ochotę... dziękuję ci bardzo. Parker akurat dzisiaj noc musiał sobie wybrać na wylegiwanie się w szpitalu. Jedyny człowiek, który umie właściwie przygotować moje rzeczy. Ale tak się nieraz wszystko układa. Będziesz musiała go zastąpić, moja droga, jeżeli nie jest to zadanie ponad twoje siły. — Zwrócił się do Pennika: — Chciałbym podziękować, przyjacielu, za pana ofertę w związku z kolacją. Czy zdąży pan przygotować ją na godzinę ósmą?

— Jak pan sobie życzy — odpowiedział zagadnięty. Zastanowił się chwilę. — Myślę jednak, że nie będzie pan jadł kolacji.

Constable wyprostował się na krześle.— Nie będę jadł kolacji? Dlaczego, do diabła, nie miałbym zjeść kolacji?

— Dlatego, że nie będzie pan już wówczas żył — odparł Pennik.

Minęła chwila, zanim znaczenie tych słów dotarło do słuchaczy i dużo więcej czasu upłynęło, nim ktokolwiek się odezwał.

Podczas całej tej wymiany zdań Pennik siedział tak spokojnie, że zapomniano o jego obecności. I nagle zwrócił na siebie uwagę wszystkich.

Wyglądał bardzo godnie w ciemnym garniturze. Pochylił się do przodu, skrzyżował nogi, a ręce zacisnął tak mocno, że na paznokciach ukazały się niebieskawe półksiężyce. W ciszy, jaka panowała w oranżerii, każdy odgłos gwałtownie się potęgował: woda tryskająca z fontanny, szuranie butów o posadzkę. W dusznym, przegrzanym pomieszczeniu powiało chłodem.

Przeciągające się milczenie przerwał tonem pełnym dzieciennego niedowierzania Sam; wszyscy się ożywili.

— O czym pan mówi?

— Mówiłem, że nie sądzę, aby pan dożył kolacji.

Lawrence Chase zerwał się na równe nogi.

— Atak serca? — domagał się wyjaśnienia zaniepokojony gospodarz domu.

— Nie.

— To może uprzejmie wytłumaczy mi pan, co pan miał na myśli? Takie straszenie... — Constable ugryzł się w język, rozejrzał podejrzliwie dokoła i uniósł w górę swoją szklankę. — A może ktoś zatrul mój cocktail, to pan chciał powiedzieć? — dodał z głębokim sarkazmem.

— Nie, nie to chciałem powiedzieć.

— A ja wam powiem, co on miał na myśli — odezwała się spokojnie Vicky. — Czy może pan powiedzieć, albo raczej, czy sądzi pan, że może nam powiedzieć, o czym każdy z nas myśli?

— Prawdopodobnie.

— I w czyjej głowie zrodził się pomysł zabicia pana Constable'a? Zgadłam?

— Prawdopodobnie.

Zapadła cisza.

— Oczywiście — podkreślił Pennik, jeszcze silniej zaciskając dłonie — nie twierdzę, że na pewno tak się stanie. Ja... cóż... są powody. Nakryję dla pana przy stole, ale najprawdopodobniej nie zasiądzie pan do kolacji. — Spojrzał Samowi w oczy. — Skoro tak wielkie znaczenie przykładu pan do tego, co nazywamy „sportowym podejściem”, proszę przyjąć to jako moje ostrzeżenie.

— Bzdury! — wybuchnął Chase. — Słuchajcie...

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Samuel nie spuszczał oczu z Pennika. Wysunął do przodu podbródek, a z twarzy jego przebijał wisielczy humor. Wzbudziło to w Sandersie podziw dla starszego pana.

— No cóż — odezwał się gospodarz domu. — Dziękuję panu bardzo za ostrzeżenie. Będę uważał. Ale kto chce mnie zamordować? Moja żona? I będzie to przypominało upozorowany wypadek, o którym tyle pisała prasa? Ostrożnie, Mino. Pamiętaj, że mówisz przez sen i możesz się wygadać. I choćby tylko to zmusi cię do cnotliwego życia. — Strącił

łokciem szklanke, która z brzękiem rozbiła się o kamienną posadzkę. — O Boże, co za idiotyczne głędzenie! Idę na górę przebrać się. Pójdziecie ze mną?

— Sam, on nie żartuje! — denerwowała się Mina.

— Czy czujesz się zupełnie dobrze, moja droga?

— Sam, powtarzam ci, że on nie żartuje!

— Wpadłem na czyjąś walizkę przed frontowymi drzwiami — kontynuował niewzruszenie pan domu. — Pana własność, doktorze? Dobrze. Przeniesiona została do frontowego hallu. Proszę ze mną, zaprowadzę pana do jego pokoju. Mino, wskaż panie Kenn jej sypialnię. Larry, bądź tak dobry i pokaż panu Pennikowi, gdzie się mieści kuchnia i... i inne pomieszczenia. Brrr, ale zrobiło się zimno!

— Właśnie — przytaknął Pennik. — Chciałbym zamienić parę słów z panem Chase'em.

— Sam!... — Mina prawie krzyczała.

Zacisnął mocno palce na jej ramieniu i wyprowadził ją za drzwi. Sanders podążył za nimi i kątem oka jeszcze spostrzegł Pennika i Larry'ego, stojących przy wiklinowym stoliku, pośrodku cieplarnianej dżungli. W tym momencie Pennik coś powiedział; Chase zachwiał się i bacznie rozejrzał wokół. W szklanej kopule oranżerii głuchym echem odbiły się oddalające kroki. W hallu zaczął głośno wydzwaniać zegar. Była godzina siódma trzydzieści.

ROZDZIAŁ IV

Była dokładnie za piętnaście ósma, kiedy Sanders usłyszał z przyległego pokoju przytłumiony krzyk.

Rezydencja Fourways kojarzyła się w jego umyśle ze statkiem. Aby dostać się do głównego hallu, trzeba było przejść przez kilka saloników o grubo obitych ścianach. Z głównej klatki schodowej wiodły na górę schody przylegające do wysokiej ściany składającej się niemal całkowicie z kolorowych witraży. Z kryształowych żyrandoli i kandelabrow z brązu padało elektryczne światło. Na pierwszym piętrze znajdowało się sześć pokoi sypialnych, których drzwi wychodziły na czworokątny podest. Było to małe, słabo oświetlone pomieszczenie, wyłożone grubym dywanem. Jego główny element dekoracyjny stanowił staroświecki zegar. Na każdej z trzech ścian znajdowały się drzwi do dwóch pokoi sypialnych. Czwarta strona podestu wychodziła na klatkę schodową. Doktorowi przydzielono pokój sąsiadujący z sypialnią Victorii Keen. Constable'owie zajmowali dwie sypialnie znajdujące się naprzeciwko schodów. Chase i Pennik zostali najprawdopodobniej ulokowani w dwóch pozostałych pokojach.

Sypialnia Sandersa była urządzone podobnie jak i cały dom. Okna zawieszono ciężkimi zasłonami, opadającymi w falbanach, jak staroświeckie spódnice; łóżko wielkie, mosiężne, a na stole, tuż pod oknem, stała nie zapalona porcelanowa lampa. Fourways nie posiadało centralnego ogrzewania, lecz ten brak nowoczesnego komfortu został zastąpiony dużą ilością łazienek. Jedna z nich należała do Sandersa.

Aby nie prażyć się w dusznej atmosferze domu, wyłączył piecyk i otworzył na oścież oba okna. Nie umiał dać sobie rady z odsłonięciem zasłon. Pozostawił je więc tak, jak były. Jedno z okien wychodziło na niewielki, bezużyteczny balkonik. Zaczerpnął głęboko powietrze, wziął chłodną kąpiel i pośpiesznie się ubrał. Przed włożeniem marynarki zapalił jeszcze papierosa i pogrążył się w zamyśleniu. Pomimo tej całej

historii z odczytywaniem myśli, czy rzeczywiście Pennik był...?

Co to?

Mógłby przysiąc, że usłyszał słaby krzyk. Poprzez grube ściany trudno było się zorientować w jego pochodzeniu, był jednak przekonany, że docierał z sąsiedniego pokoju. Zatrzymał się, wsłuchany w odgłosy podobne do szeptów i skrzypienia okien. Nagle kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Ciężkie rypсовe zasłony wybrzuszyły się, przybierając formę dzwonu; ktoś próbował je odsłonić. Mały stolik przechylił się, z jego lśniącej powierzchni zsunęła się porcelanowa lampa i uderzyła z takim hałasem o podłogę, że musiano to usłyszeć na dole. Spod zasłony wyłonił się najpierw czarny satynowy pantofelek, beżowe pończochy, ciemnoniebieska suknia i Vicky oddychając ciężko wpadła do pokoju. Była bliska zemdlenia, a przerażenie zamieniło jej twarz w bezbarwną maskę.

Z wielkim wysiłkiem starała się zapanować nad sobą.

— Przep... przepraszam za najście. Ale nie miałam innej rady. Ktoś jest w moim pokoju!...

— Ktoś jest w pani pokoju? Kto?

— Przedostałam się przez okno — tłumaczyła z drobiazgową dokładnością świadczącą o wielkim zdenerwowaniu. — Tam jest balkonik. Muszę usiąść na chwilę, nie... nie chcę robić z siebie widowiska...

Od pewnego już czasu starał się uchwycić cechę, która najbardziej podkreślała jej osobowość. I dopiero teraz, w momencie silnego podniecenia, cecha ta zarysowała się wyraźnie: przesadna dbałość o wygląd zewnętrzny. Przebijało to z jej całej postaci; gładkich pleców, ramion, oczu, czoła i chłodnego koloru skóry. Jedno ramięczko jej sukni opadło czy też rozluźniło się; szybko je podciągnęła. Na ramionach i rękach miała smugi brudu i kiedy spostrzegła je, miał wrażenie, że wybuchnie płaczem. Usiadła na brzegu łóżka.

— Już dobrze, dobrze! — uspokajał ją. — Co się stało? Co tak panią przerażyło?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi.

Vicky podskoczyła nerwowo.

— Niech pan nie otwiera! — błagała. — Nie, nie! Niech pan nie otwiera... — Przerwała z westchnieniem ulgi na widok Constablea, który bez niczyjzego zezwolenia otworzył drzwi. Ubrany był w szlafrok i ranne pantofle.

— Co to za awantura? — domagał się wyjaśnienia. — Myślałem, że dom się wali. Nie można nawet przebrać się w spokoju?

— Przepraszam — powiedział doktor. — Nic się takiego nie stało, lampa spadła na podłogę.

Ale ich gospodarz nie był zainteresowany lampą. Obrzucił bystrym, dociekliwym spojrzeniem Vicky i Sandersa, otworzył szeroko oczy i wyciągnął własne konkluzje.

— Słuchajcie... — zaczął powoli.

Vicky była już doskonale opanowana.

— Nie, proszę pana. Niech pan zbyt szybko nie wyciąga wniosków. To nie to, o czym pan myśli.

— A można wiedzieć, proszę pani — powiedział Sam mentorskim tonem — o jakie wnioski pani mnie podejrzewa? Czy prosiłem o jakiegokolwiek wyjaśnienia? — Jego poczucie godności zostało głęboko urażone. — Przyszedłem, żeby sprawdzić, co to za hałas. Znalazłem cenną pamiątkę rodzinną w kawałkach i dwoje z moich gości w sytuacji, którą za czasów mojej młodości określano by jako „podejrzaną”. Ale czy zadałem w związku z tym jakieś pytanie?

— Panna Keen mówiła właśnie... — zaczął Sanders.

Przerwała mu.

— Coś było w moim pokoju i przeraziło mnie. Dostałam się tutaj przez balkonik. Proszę spojrzeć na moje ręce, jeżeli nie wierzy pan moim słowom. Bardzo mi przykro z powodu tej lampy, przewróciłam ją, kiedy wchodziłam przez okno.

— Nie ma najmniejszego znaczenia — twarz Sama przybrała chytry wyraz. — Żałuję bardzo, że coś panią przeraziło. Myszy?

— Nie... nie wiem.

— A więc nie myszy. Jeżeli pani sobie przypomni, proszę mi powiedzieć, to się tym zajmę. Wybaczcie mi, państwo, nie będę już dłużej przeszkadzał.

Sanders, zorientowawszy się, że jego tłumaczenia wzbudzą tylko podejrzliwość pana domu, wstrzymał się od komentarzy.

— A jak tam z przepowiednią, proszę pana — zmienił temat.

— Nikt pana nie próbował zamordować?

— Jeszcze nie, doktorze. Jeszcze nie. Album nadal leży na półce. Do zobaczenia przy kolacji!

Sanders patrzył zdumiony na znikającego za drzwiami Sama.

— Co on chciał przez to powiedzieć?

— Przez co?

— Album nadal leży na półce...

— Nie mam zielonego pojęcia — szepnęła Vicky. — I nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Jak dotąd, wygląda, że wpada pan z jednej ambarasującej sytuacji w drugą.

— Och, to nie ma znaczenia, ale jeżeli już o tym mówimy, to w jakiej ambarasującej sytuacji znajdowała się pani kilka minut temu?

Była już zupełnie spokojna, chociaż szok zestawiał na niej bardzo wyraźne ślady. Co chwila dreszcze wstrząsały całą jej postacią.

— To nieważne. Czy mogę się umyć w pana łazience? Nie chciałabym jeszcze wracać do mojego pokoju.

Wskazał ruchem ręki drzwi, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Nagle zjawienie się Victorii, jej wygląd zaniepokoiły go z wielu względów. Kiedy wróciła z łazienki i to bardzo szybko, zauważył wyraz zdecydowania na jej twarzy.

— Tak naprawdę, to chciałam mieć parę chwil na zastanowienie — tłumaczyła. — I proszę się nie gniewać, doktorze, ale niczym się z panem nie mogę podzielić poza moim osobistym wrażeniem: ta cała sytuacja prowadzi do katastrofy. Nie chcę do niej dodawać jeszcze moich drobnych kłopotów. Nic się nie stało...

— A jednak coś się musiało stać! Mówiąc po prostu, czy ktoś miał jakieś hm... zamiary względem pani?

— Nie rozumiem.

— Naprawdę?

— Ach, nie to, co pan ma na myśli. Coś zupełnie innego. — Wzdrygnęła się. — To trochę za dużo, jak na moje nerwy.

Przecież spojrzeniem nie można zabić, prawda? — Usiadła w miękkim fotelu; podał jej papierosa i zapalił. W zamyśleniu puszczała kółka dymu. — Czy mam panu powiedzieć, na czym polega kłopot z nami wszystkimi i dlaczego to się skończy niezbyt wesoło?

— Koniecznie.

— Kiedy miałam siedem lat, dostałam książkę z ulubionymi bajkami. Niektóre z nich były przerażające. Ukazywały świat, w którym można mieć wszystko, zakładając, oczywiście, że zdobyło się przyjaźń jakiejś wróżki czy czarnoksiężnika. Jedna z nich była o latającym dywanie. Czarnoksiężnik powiedział chłopcu, któremu podarował dywan, że zanieś on go wszędzie — pod jednym warunkiem. W czasie lotu nie wolno mu nawet przez sekundę pomyśleć o krowie. Jeśli o niej pomyśli, dywan natychmiast opadnie na ziemię. Nie było najmniejszego powodu, dla którego miałby myśleć o krowie. Z chwilą jednak, kiedy powiedziano mu, żeby tego nie czynił, nie mógł pozbyć się myśli o krowie, a szczególnie wtedy, kiedy patrzył na swój zaczarowany dywan. Nie, nie zwariowałam. Nie rozumiałam wówczas psychologicznego znaczenia tej bajki; po prostu jej nie lubiłam. Ale zawiera ona prawdę. Wystarczy, żeby ktoś powiedział: „ten człowiek potrafi odczytywać myśli”, a o niczym innym nie możesz myśleć, tylko o tym, czego nie chcesz ujawniać przed innymi.

I właśnie na tym koncentrujesz całą swoją uwagę. Nie ma na to rady.

— Cóż z tego?

— Och, niech pan nie udaje takiego niewiniątka!

— Bóg świadkiem, że wcale nie udaję. Po prostu wydaje mi się, że pani przesadza trochę. Zgodziłbym się raczej z Larry'm: byłoby to diabelnie nieprzyjemne, gdyby wszystkie nasze myśli mogły być znane, ale nie jesteśmy przecież bandą kryminalistów!

— Nie? Nawet potencjalnie? Mam macochę, której nienawidzę. Pragnęłabym, żeby umarła. I co pan na to?

— Tylko tyle, że to nie jest jakiś straszliwy sekret.

— Chcę jej pieniędzy — ciągnęła Vicky nieprzejednanie. —

Albo raczej pieniędzy mojego ojca, które jej zapisał w dożywocie. Prawdziwe dożywocie, bo wyszła za niego za męża, kiedy był w wieku pana Constable'a. Jest niewiele starsza ode mnie i twarda jak żelazo. Ja powoli robię się taka sama... Proszę mi powiedzieć: co pan myśli o naszym jasnowidzu?

— Błagier.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i dziwnym niepokojem. W jej oczach była również ulga i mieszanina emocji, których nie umiał odczytać. A jednak wiedział, że w jakimś zakątku jej duszy ukryte są przesady, które sprawiają, iż wierzy w nadprzyrodzone siły Hermana Pennika.

— Dlaczego pan tak mówi? Przecież odczytał pana myśli?

— Tak by się wydawało. Ale zastanawiałem się nad tym. Nie wiem jeszcze, jak to się dzieje, ale wydaje mi się, że odpowiedź na to pytanie jest związana z Larry'm Chase'em.

— Z Larry'm! W jaki sposób?

— Chyba pani wie, jaki z niego gaduła. Interesuje się ludźmi. Najpierw opowie historię życia jakiegoś człowieka, a później twierdzi z całym przekonaniem, że nie powiedział ani słowa na ten temat. Właśnie przypomniało mi się, że on coś wiedział albo podejrzewał, że wie, na temat Marcji Blystone i... i spraw, o których nie chcę mówić. Wspomniał o tym w liście do mnie. Jeżeli Pennik jest ekspertem w wyciąganiu informacji, a następnie tuszowaniu tego...

— Ale to nie tłumaczy, skąd Pennik mógł wiedzieć, kiedy pan będzie myślał o tym?

— Nie jestem wcale tego pewien. Załóżmy, że jest znakomitym psychologiem. To jest podstawą pracy każdego wróżbity.

— A co z tym popiersiem Listera! I... — zawahała się. — Proszę mi wybaczyć, że o tym wspomina, a inne sprawy, o których mówił Pennik? Ta ostatnia?

— Przyznaję, że historii z popiersiem Listera nie rozumiem. A to, co pani nazywa „ostatnią sprawą”, mógł odczytać z mojej twarzy. Wszystko się na niej odzwierciedla. Nie umiem długo utrzymać kamiennej maski.

Zapadło milczenie. Vicky wrzuciła wygasły papieros do

pustego kominka i nerwowym krokiem zaczęła spacerować po dywanie.

— Pozostała jeszcze przepowiednia. Że Sam... wie pan.

— Pan Constable — odpowiedział z wyszukaną grzecznością Sanders — jak dotąd jeszcze nie umarł. Nawet, jeżeli Pennik umie odczytywać myśli, niech mnie powiesz, a nie uwierzę, że potrafi przepowiadać przyszłość.

— Jeżeli ta cała historia jest jednym wielkim oszustwem...

— Tego nie powiedziałem. Nie wykluczam, że Pennik posiada pewne właściwości telepatyczne. Ale jak to się, zdarza niejednemu uczciwemu człowiekowi, pomaga sobie drobnymi oszustwami i wybitnymi zdolnościami dedukcyjnymi.

— Nie uwierzył więc pan, że myśl może zostać użyta jako siła czy broń fizyczna?

— Do końca życia będę temu zaprzeczał.

Z sypialni oddalonej o dwa pokoje rozległ się przeraźliwy krzyk Miny. Zegarek Sandersa wskazywał dokładnie za minutę ósma.

Był to zwierzęcy krzyk, pełen fizycznego bólu i przerażenia. Krzyczała i prawie równocześnie mówiła coś; mogli odróżnić jedynie powtarzane wciąż imię jej męża. Vicky wpatrywała się w doktora z wyrazem zabobonnego przerażenia; obawiał się, że za chwilę i ona zacznie krzyczeć.

Otworzył drzwi do hallu. I zobaczył scenę, którą tylokrotnie później opisywał.

Sam Constable ubrany do kolacji stał oparty o poręcz — krok od schodów. Cały tułów miał niebezpiecznie przechylony do przodu; jedną ręką przytrzymał się o filar. Uniósł drugą rękę, spazmatycznie rozkurczając palce, i przez sekundę Sanders myślał, że upadnie ciężko przez poręcz na parter. Ale był już zbyt bezwładny. Groteskowo przekrzywione ciało osunęło się w dół obok słupków balustrady, a jedna ręka uderzyła z głuchym łomotem o dywan: Głowę miał przekrzywioną na bok, tak że Sanders zobaczył jego twarz, dopiero kiedy Constable przewrócił się na plecy.

Krzyki ustały.

Mina, szarpiąc zębami chusteczkę, stała bez ruchu w pół-

otwartych drzwiach jednego z pokoi naprzeciwko klatki schodowej.

Teraz, kiedy zapanowała cisza, łatwiej było myśleć. Sanders podbiegł i ukląkł koło Sama. Przez sekundę wyczuł leciuteńkie drgania pulsu, który zamarł pod jego dotykiem. Samuel Constable nie żył.

Doktor, jeszcze na klęczkach, rozejrzał się wokoło. Przewodzące do hallu drzwi z sypialni Miny, jego pokoju i Vicky były otwarte. Ze swojej pozycji mógł zajrzeć pod krzesło, łóżko i nawet pod toaletkę ustawioną przy ścianie w pokoju Vicky. I właśnie pod tym ostatnim meblem wzrok jego zatrzymał się na jakiejś jasnej plamie.

Była to biała czapka kucharska.

Staromodny zegar w hallu wybił melodyjnie godzinę ósmą.

ROZDZIAŁ V

Sanders kątem oka zauważył, że, w hallu, poza nim, były jeszcze trzy osoby. Mina nadal stała w półotwartych drzwiach; podbródek jej trząsał się spazmatycznie. Vicky zrobiła dwa kroki w kierunku schodów, i zatrzymała się. Po drugiej stronie hallu Larry otworzył właśnie drzwi od swojej sypialni. Nikt z nich się nie poruszył.

W rogu, koło starego zegara, paliło się kilka przyciemnionych żarówek. Światło ich padało na słupki balustrady, które rzucały cień na twarz i ciało Sama Constable'a. Doktor pochylił się nad nim i metodycznie zbadał zwłoki. Wyniki oględzin sprawiły mu olbrzymią ulgę. A jednak...

Wyczuł raczej, niż zobaczył Chase'a, starającego mu się zajrzeć przez ramię. Nie odwrócił się mimo to aż do chwili, kiedy Larry gwałtownie chwycił go za łokieć. Był bez marynarki i kołnierzyka, sztywna koszula wydymała mu się pomiędzy szelkami, a szczupłą szyję przekrzywił w bok. W drugiej ręce trzymał kołnierzyk.

— Słuchaj — szeptał ochryplym głosem — on żyje, co? Powiedz, on żyje, prawda?

— Nie.

— Sam nie żyje?

— Możesz sprawdzić.

— Ale to niemożliwe! — Chase trzymał Sandersa jedną ręką, a drugą wymachiwał mu kołnierzykiem przed nosem. — To nieprawda! On nie miał na myśli nic takiego... nie mógł!

— Kto nie miał czego na myśli?

— Nieważne. Powiedz mi tylko jedno: jak on umarł? Co to było?

— Uspokój się! Nie szarp mnie, bo wypadnę przez poręcz. Odsuń się, do diabła...! Atak serca, tak to przynajmniej wygląda.

— Atak?

— Tak, a może zawał. Kiedy serce jest słabe, po prosta w

pewnym momencie wysiada. Odsuń się, dobrze? — Sanders odepchnął od twarzy rękę z kołnierzykiem. — Słyszałeś przecież, że on sam mówił o ataku. W jakim stanie było jego serce?

— Jego serce? — powtórzył Larry z olbrzymią ulgą w głosie. — Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej bardzo słabe. Chyba tak. Biedny, stary Sam. Zapytaj Miny, ona musi wiedzieć. Zapytaj Miny!

Vicky spokojnie dołączyła się do nich.

— Słuchajcie uważnie i zróbcie, co wam każę. Zostańcie przy nim, nie dotykajcie go i nie pozwólcie nikomu go dotknąć. Wrócę za chwilę — zwrócił się do nich Sanders.

Podszedł do Miny, łagodnie wprowadził ją do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Nie opierała się, ale kolana zaczęły się pod nią uginać tak, jak gdyby były z plasteliny. Wsunął ręce pod jej ramiona i delikatnie ułożył w fotelu. Nie była jeszcze przebrana do kolacji; szeroki, różowy szlafrok owijał ją całą od stóp do głowy. Dłonie miała kurczowo zaciśnięte, a jej blada, nieprzytomna twarz w obramowaniu ciemnych włosów robiła wrażenie tragicznej maski. Na jednym z rękawów szlafrocka widoczne były plamy, podobne do wosku. Cała żywotność Miny ulotniła się. Usta miała sine i bardzo szybki puls. Ale dopiero w momencie, kiedy dotarło do jej świadomości, że Sanders nie dopuszcza jej do własnego męża, zaczęła gwałtownie walczyć.

— Spokojnie, proszę pani. Nic już nie możemy zrobić.

— To nieprawda, on żyje! Żyje! Sama widziałam...

— Niestety...

— Pan przecież musi wiedzieć! Pan jest lekarzem. Pan wiedziałby, gdyby...

Sanders skinął głową.

Po dłuższym milczeniu, drżąc na całym ciele, opadła w głęboki fotel. Tak jak gdyby przerażenie ustąpiło miejsca bólowi. Starła się opanować; lzy powoli napęłniły jej wielkie, pełne smutku oczy.

— Miał słabe serce?

— Co pan powiedział?

— Miał słabe serce, prawda?

— Tak, on zawsze — nie, nie, nie! — krzyknęła Mina odzyskując przytomność i patrząc na doktora. — Miał serce silne jak koń. Zaledwie tydzień temu stwierdził to doktor Edge. Myślę, że mało osób miało tak zdrowe serce jak Sam. Ale co to ma za znaczenie teraz? Nie dałam mu dwóch czystych chusteczek. To była ostatnia rzecz, o którą mnie prosił...

— Ale co się stało?

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem!

— Dlaczego pani krzyczała?

— Proszę mnie zostawić samą.

Sanders starał się opanować wzbierające w nim uczucie litości. Łagodnie położył rękę na jej ramieniu.

— Bardzo mi przykro, proszę pani. Ale są pewne sprawy, którymi trzeba się zająć. Musimy posłać po lekarza, najlepiej jego domowego lekarza, i należałoby również zawiadomić policję. — Pod palcami wyczuł nagle naprężenie mięśni.

— Jeżeli pani opowie mi, co się stało, zajmę się tym wszystkim.

— Tak, ma pan rację — starała się opanować drżenie szczęk, ale łzy zalewały jej twarz. — Jest pan bardzo dobry dla mnie. Powiem panu wszystko.

— Co się stało?

— Sam był w moim pokoju...

Sypialnia Miny, w której oboje się teraz znajdowali, mimo wielu drobiazgów, miała dosyć surowy charakter; wrażenie to podkreślały bardzo skromne meble. Niewielka łazienka łączyła jej pokój z sypialnią męża. Wszystkie drzwi były otwarte. Mina wyprostowała się, przetarła czoło dłonią i drżącymi palcami wskazała w kierunku sypialni Sama.

— On był tam. Właśnie skończył się ubierać. Ja siedziałam przy toalecie w moim pokoju. Nie byłam jeszcze gotowa, bo musiałam mu pomóc. Wszystkie drzwi były otwarte. Sam zawołał: „Schodzę na dół”. To były jego ostatnie słowa. Odpowiedziałam: „Dobrze, mój drogi”. — Wspomnienie to wywołało nowy paroksyzm łez, chociaż oczy jej były nieruchome.

— Tak?

— Usłyszałam skrzypnięcie zamykanych drzwi, tych, które prowadzą z jego pokoju do hallu.

Znowu się zawahała.

— I co dalej?

— Nie byłam pewna, czy przygotowałam mu dwie czyste chusteczki, o które prosił. Wie pan, jedna do kieszonki, a druga do normalnego użytku...

— Tak?

— Chciałam go zapytać. Wstałam z krzesła i założyłam szlafrok — każdą czynność ilustrowała gestami — podeszłam... tam... i otworzyłam drzwi do hallu. Myślałam, że już jest na dole. Ale nie. Stał koło klatki schodowej, odwrócony do mnie plecami. Jakby tańczył i zataczał się.

Minęło dobrych parę sekund, zanim zmusiła się do mówienia.

— Tańczył i zataczał się?

— Tak wyglądało. Potem upadł. Na poręcz. Myślałam, że przeleci przez nią. Zaczęłam krzyczeć. Wiedziałam, że umiera.

— Skąd mogła pani o tym wiedzieć?

— Czuję pewne rzeczy.

— I co dalej?

— To wszystko. Pan wybiegł ze swojego pokoju. Usłyszałam, co pan powiedział do Larry'ego...

— Dziękuję pani. Resztą ja się zajmę. Proszę się położyć na chwilę. Ale, ale, czy widziała pani jeszcze kogoś w hallu?

— Nie.

— Ile czasu mogło upłynąć od ostatnich słów pani męża do momentu, kiedy zobaczyła go pani w hallu?

— Około minuty. Dlaczego pan chce to wiedzieć?

— Po prostu zastanawiam się, jak długo to mogło trwać.

Sanders odniósł wrażenie, że myśli Miny zaczynają płynąć jakimś ukrytym nurtem. Nie mógł zrozumieć zmian przebiegających w wyrazie jej twarzy: pogarda dla siebie samej? Dojrzewanie jakiejś decyzji? Narastanie gwałtownych uczuć doprowadziło do następnego wybuchu. — Nie mogę leżeć! — Ikała. — Nie chcę leżeć! Chcę być przy nim! I myśleć. O

Boże, pomóż mi!

— Chwileczkę, proszę pani. O tak. Teraz będzie pani dużo wygodniej.

— Nie będzie...

— Już dobrze — łagodnie powiedział Sanders. Ściągnął z łóżka kapę, po czym okrył nią Minę. — Zaraz wracam.

Zastanawiał się, gdzie może znaleźć tabletki nasenne lub uspokajające. Przy wybijającej wyobraźni Miny, która przeistaczała ją okresowo w kłębek nerwów, takie rzeczy musiały znajdować się w domu. Chciał, aby zażyła jakiś środek, zanim zacznie myśleć o Hermanie Penniku.

Wszedł do łazienki i zapalił światło. Było to maleńkie, trochę wilgotne pomieszczenie: wanna, wieszak na ręcznik, umywalnia i apteczka. W apteczce, zapchanej buteleczkami i medykamentami, znalazł kartonowe pudełko zawierające morfinę. Na wierzchu naklejona była recepta z podpisem doktora J. L. Edge'a.

Wziął dwie tabletki.

Zamknął apteczkę i nagle zobaczył odbicie własnej twarzy w lustrze.

— Nie! — powiedział głośno. Włożył z powrotem tabletki do pudełka, odstawił je na miejsce i wrócił do sypialni. Mina leżała spokojnie; jej oczy, podkrążone ciemnymi kołami, były półotwarte.

— Będę tu obok — zapewnił ją. — Czy może mi pani podać nazwisko doktora pani męża?

— Nie... tak. Miejscowego? — Starła się mówić rozsądnie, z opanowaniem. — Doktor Edge. Może pan do niego zadzwonić. Grovetop 62.

— Grovetop 62. Zgasić światło przy łóżku?

— Nie!

Cofnął gwałtownie rękę, ale nie miało to nic wspólnego z podniesionym głosem Miny. Zauważył coś, co zaostrzyło jego podświadomy strach przed zaordynowaniem jakiegokolwiek leku znajdującego się w domu państwa Constable'ów. Koło łóżka stał nocny stolik. Obok biurko z lampą, pod którą leżał blok do pisania, szereg zaostrzonych ołówków i kilka

wyrwanych arkuszy papieru. Końce wszystkich ołówków były pogryzione i nosiły ślady ostrych zębów. Pod stolikiem i bezpośrednio za nim — w odległości niecałego ramienia od łóżka — stało kilka małych półek z książkami. Pomiedzy słownikiem Oxfordzkim, słownikiem synonimów i grubym notesem wycinków prasowych, Sanders zauważył wyższy od innych, cienki, oprawiony w imitację skóry album; wzdłuż grzbietu naklejona była nalepka z niewyraźnie wypisanym tytułem: „Nowe sposoby popełniania morderstw”.

Cicho wyszedł do hallu. Vicky i Larry — opanowani już — czekali na niego, plecami odwrócenii do postaci nieruchomo leżącej przy balustradzie.

— No i co? — zapytał Chase. W lewej ręce trzymał pognieciony kołnierzyk koszuli.

— Wiesz, gdzie się wszystko znajduje w tym domu. Idź do telefonu, połącz się z doktorem Edge'em, numer Grovetop 62, i poproś go, żeby przyjechał tu jak najszybciej. Policji jeszcze nie zawiadomimy.

— Policja? Co właściwie masz na myśli, stary?

— Och, nigdy nic nie wiadomo. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co mam na myśli... i jeżeli już o tym mówimy, gdzie jest Pennik?

Spojrzeli na siebie z niepokojem.

W całym domu, poza tykaniem zegara i urywanym, spazmatycznym płaczem Miny, nie słyhać było żadnego szmeru.

— Pójdę do niej — nerwowo zaproponowała Vicky; ale Sanders zatrzymał ją.

— Chwileczkę. Powinniśmy zrobić naradę wojenną, bo zanosii się na to, że każdy z nas będzie musiał odpowiedzieć na szereg pytań. Wydawałoby się, że krzyk Miny mógłby martwego z trumny wyciągnąć. Gdzie jest Pennik?

— Dlaczego na mnie patrzysz? — rozłościł się Larry. — Skąd, do diabła, ja mam wiedzieć, gdzie on się podziewa?

— Dlatego, że ty zostałeś z nim na dole, kiedy myśmy poszli się przebrać.

— Ach, o to ci chodzi! Byłem z nim tylko kilka minut i od tego

czasu minęło prawie pół godziny. Zaprowadziłem go do kuchni i powiedziałem, żeby wziął się do roboty. Następnie poszedłem do swojego pokoju i siedziałem w nim aż do tej pory. Jaki to był numer? Grovetop, ile? Sześćdziesiąt, dwa. Dobrze. Doktor Edge. Zaraz do niego zadzwonię.

Odwrócił się i omal nie potknął o ciało Sama Constable'a. Stał kilka sekund bez ruchu i nagle długimi susami pomknął schodami w dół. Vicky patrzyła przed siebie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Zrobiła krok naprzód i po raz drugi Sanders zatrzymał ją.

— Czy nie będzie lepiej, jeżeli pozwoli mi pan iść do Miny? Ta nieszczęsna kobieta zapłacze się na śmierć ..

— Proszę posłuchać — powiedział z naciskiem. — Wcale nie zamierzam Danią komenderować, ale niech mi pani wierzy, byłem już niejednokrotnie zamieszany w sprawy kryminalne — tak naprawdę to jeden, jedyny raz, pomyślał, ale wspomnienie tego prześladowało go aż do chwili obecnej — i wiem, że jeżeli nie mówi się prawdy od samego początku, wynika z tego masa różnych nieprzyjemności. Czy odpowie mi pani na jedno proste pytanie?

— Nie.

— Ale...

— Nie, nie odpowiem! Idę do Miny... — przerwała, jej niebieskie oczy rozjaśniły się uśmiechem na widok zgnębionej miny doktora. — No, dobrze. Co to za pytanie?

— Kiedy wpadła pani do mnie do pokoju... co panią tak przeraziło? Pennik? Był w pani pokoju?

— Ależ nie!

Sanders odetchnął z ulgą.

— No, to wszystko w porządku.

— A skąd panu przyszło do głowy, że Pennik był w moim pokoju?

— To nie ma znaczenia. Tak mi się wydawało.

Twarz Vicky pokryła się ciemnym rumieńcem. — Właśnie, że ma znaczenie. Na przekór temu, co pan myśli, to ma poważne znaczenie. Dlaczego podejrzewał pan, że Pennik był w moim pokoju? Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów ja,

właśnie ja, wzbudzam zawsze najgorsze podejrzenia wśród ludzi. Najpierw Larry, potem Sam, a teraz pan.

— My nie podejrzewamy pani. Podejrzewamy samych siebie.

— Nie bardzo rozumiem?

— Przepraszam, że o tym mówię. W tych okolicznościach...

— Och, Sam nie usłyszy pana. Nie żyje.

— Chcę tylko powiedzieć...

— To ja przepraszam — przerwała mu zmienionym głosem. Uniosła zaciśniętą pięść do ust i przygryzła zębami wskazujący palec. Po tych wszystkich wydarzeniach nerwy zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa i była na granicy łez. Sanders jednak z uporem obstawał przy swoim.

— Muszę, u diabła... muszę wiedzieć, co panią tak przeraziło. Najprawdopodobniej ma to powiązanie z tym — wskazał głową w kierunku nieruchomej postaci Constable'a. — On nie żyje i nie może nas usłyszeć, jak to pani sama powiedziała,

— Wiem, pan uważa, że jestem twardą dziewczyną, prawda?

— zapytała Vicky spokojnie patrząc mu prosto w oczy. — Zapomniał pan, gdzie ja pracuję. I zapomniał pan również, że ja prawdopodobnie wiem tyle samo, co pan, na temat wypadków gwałtownej śmierci. Na pewno nie zwróciłby pan na mnie uwagi; jestem tylko jedną z szeregowych pracownic, które pomagają wielkim prawnikom w przygotowaniu spraw kryminalnych. Ale nie chcę nic o tym wiedzieć. Nie chcę!

Dotknęła jego ręki.

— Dlaczego zapytał pan, czy Pennik był u mnie?

— Przejdźmy tutaj — Sanders zaprowadził ją do otwartych drzwi jej pokoju. — Proszę się pochylić i zajrzeć pod toaletko. Widzi pani, co leży na podłodze? Biała czapka kucharska.

— No to co?

— Pani Constable ofiarowała właśnie taką czapkę Pennikowi i powiedziała, że powinien ją założyć. Zastanawiałem się więc... — przerwał, Vicky spoglądała bowiem na niego z takim wyrazem twarzy, jak gdyby nie dowierzała własnym uszom. — Najprawdopodobniej to nic nie jest. Jedna z moich zagmatwanych teorii. Jeżeli twierdzi pani, że Pennika nie było w pani pokoju, to nie ma o czym mówić.

— Ten skromny, mały człowieczek?

— To jest pani opinia. Ciekawe, gdzie się teraz znajduje ten skromny, mały człowieczek?

Gruby dywan tłumił odgłos kroków Larry'ego, pędzącego po dwa stopnie naraz. Ciężko oddychał.

— Wszystko w porządku — zapewnił ich. — Doktor Edge zaraz przyjedzie. — Zacisnął długie, silne palce na filarze. — Słuchaj, John, może to jest niczym nieuzasadnione panikarstwo, ale wydaje mi się, że powinniśmy wezwać policję.

— Nie ma się co spieszyć. Dlaczego tak uważasz?

— Po pierwsze, doktor Edge powiedział, że Sam miał zdrowe serce. A po drugie, Pennik...

— Widziałeś go?

— Jeżeli mam się ściśle trzymać faktów — Chase mocniej zacisnął palce na filarze — nie widziałem. Nie obawiajcie się jednak, jest tam, na dole. I nie powinniśmy brać zbyt serio jego nonsensownej gadaniny. Zajrzałem do stołowego. Drzwi od kuchni są uchylone, ale Pennik jest w kuchni, słyszałem, jak gwizdał i mieszał sałatę w drewnianej misce, czy coś takiego. Taak — stołowy przygotowany: wszystkie światła zapalone, najlepsza porcelana i srebra, ulubione irlandzkie serwety Miny i kwiaty w wazonie. Ale stół jest nakryty tylko dla pięciu osób.

Część II

CIEMNOŚĆ Dotycząca śmierci w eterze

PRASA

„EAST SURREY MORNING MESSENGER”

30 kwietnia 1938

ŚMIERĆ PANA S. H. CONSTABLE’A

Wszystkim licznym przyjaciółom pana Samuela Hobarta Constable’a z Fourways koło Grovetop przynosimy smutną wiadomość o jego nagłym, zgonie. Pan Constable, według posiadanych przez nas informacji, uległ atakowi serca w momencie, gdy udawał się na kolację.

Pan Constable, lat pięćdziesiąt sześć, był synem sir Lawrence’a C. Constable’a właściciela zakładów tekstylnych. Studiował w Hartonby oraz w college’u Simona Magusa w Cambridge. Pod koniec pierwszego roku studiów postanowił poświęcić się służbie państwowej. Kariera jego, chociaż nie olśniewająca, oparta była na najlepszych tradycjach naszego Imperium. Po śmierci ojca w 1921 roku wycofał się z aktywnej pracy. W roku 1928 ożenił się z panną Wilhelminą Wright, lepiej znaną szerokiej rzeszy jej czytelników pod pseudonimem Miny Shields. Nie zostawił po sobie potomstwa.

„LONDON EVENING GRIDDLE” (ostatnie wydanie sobotnie)
30 kwietnia 1938

**TAJEMNICZA ŚMIERĆ MEŻA AUTORKI
POWIEŚCI SENSACYJNYCH!
CO BYŁO PRZYCZYNĄ ZGONU?
POLICJA STOI WOBEC ZAGADKI**

Nasz specjalny sprawozdawca, Ray Dodsworth, donosi:

Sam Constable, bogaty małżonek pisarki powieści sensacyjnych, Myny Shields, stracił przytomność i zmarł wczoraj wieczorem na oczach licznych przyjaciół, zgromadzonych w jego wiejskiej rezydencji w Surrey.

Co go zabiło?

Początkowo jako przyczynę podawano zawał serca. Dr J. L. Edge odmówił jednak wydania świadectwa zgonu. Koroner zarządził sekcję zwłok, która została dokonana dzisiaj rano przez dra Edge’a w asyście znanego patologa, dra Johna Sandersa. Następnie obaj doktorzy udali się na konsultację, która trwała około siedmiu godzin.

Dlaczego?

Podobno nie można było znaleźć przyczyny zgonu. Żaden z organów wewnętrznych zmarłego nie wykazał uszkodzenia.

„Czy w związku z tym lekarze mają jakąś teorię?” — zwróciliśmy się z tym pytaniem do szefa policji w Surrey, pułkownika F. G. Willow.

„To zagadkowy wypadek — przyznał pułkownik. — W tej chwili nie mam nic więcej do dodania.”

„Ale czy może człowiek umrzeć bez żadnej przyczyny?”

„W tej chwili nie mam nic więcej do dodania” — powtórzył pułkownik Willow.

Nie pozwolono dziennikarzom zwrócić się z pytaniami do gości, przybyłych na weekend do Fourways — spowitej smutkiem rezydencji wiejskiej, w której zaszedł tajemniczy wypadek śmierci.

„LONDON EVENING GRIDDLE” (w tym samym numerze)

Z OSTATNIEJ CHWILI!

W związku z tajemniczą śmiercią Samuela H. Constable’a udaje się do Grovetop w Surrey, nadinspektor Scotland Yardu – Humphrey Masters.

ROZDZIAŁ VI

W niedzielę rano, kiedy nawet przyroda zdawała się budzić później i senne światło wpadało przez otwarte drzwi gospody „Czarny Łabędź”, położonej między Guildford a Grovetop — doktor Sanders siedział przy otwartym oknie saloniku, pijąc kawę i mrużąc oczy od słońca. W ciszy porannej wyraźnie dochodziły z podwórka za gospodą odgłosy ptactwa domowego. Nagle hałaśliwie zajechał samochód i Sanders odczuł ogromną ulgę na widok szerokiej, dobrodusznej twarzy nadinspektora Mastersa.

— Halo, sir — Masters z impetem wpadł do saloniku i zaczął potrząsać ręką Sandersa z widocznym zadowoleniem. — Dzień dobry, dzień dobry! Piękny poranek, co?

— Dużo to nam pomoże.

Mimo że nadinspektor za wszelką cenę usiłował zachować dobry humor, usiadł trochę przygaszony tym powitaniem.

— Kawa? Z przyjemnością. Jak Boga kocham, doktorze, wygląda pan na wykończonego.

— I chyba jestem.

— Damy sobie z tym radę! — pocieszał Masters. Przyniesiono kawę i zaczął ją mieszać z wielkim wigorem. — A co słyhać u pana, sir? Są jakieś wiadomości od panny Blystone? Dobrze się czuje?

— O ile wiem, czuje się znakomicie — warknął Sanders, spoglądając na Mastersa tak lodowato, że ten aż wybałuszył oczy i na czole wystąpiły mu ceglaste plamy. Nadinspektor obrzucił swojego towarzysza bystrym spojrzeniem i podjął nagłą decyzję; przysunął się bliżej z krzesłem i zaczął mówić konspiracyjnym tonem:

— O co chodzi, sir? Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan mnie tak obciął, kiedy zapytałem o pannę Blystone, wiem, że to nie mój interes, wycofuję pytanie...

— Przepraszam. Nie chciałem pana urazić...

Masters popatrzył na niego uważnie.

— W porządku... Przejdźmy do sprawy najważniejszej: co z tą wiadomością, którą pan mi przesłał? Chciał pan, żebym tu przyjechał, no i przyjechałem. Ale pan dobrze wie, doktorze, lepiej niż ktokolwiek inny, że ja mam swój obowiązek do wypełnienia. A moim obowiązkiem jest pojechać do Grovetop i natychmiast zameldować się u komisarza policji. Takie są prawidła gry — gorąco perswadował. — Dlaczego więc zależało panu na tym, aby się ze mną przedtem spotkać?

— Bo nie chcę, żeby pana trafił szlag na miejscu — powiedział wprost Sanders. — I tak będzie panem ciskało... Pomyślałem, że przyda się małe ostrzeżenie...

— Aż tak źle?

— Tak.

— Jak Boga kocham, znowu wpadliśmy w lepszą kabałę — mruknął Masters. — A zresztą, wszystko mi jedno, po prostu wszystko mi jedno. Za dużo widziałem przez ostatnich sześć czy siedem lat i jeżeli pan sądzi, że coś mnie jeszcze zadziwi, to się pan pomylił. — Widać jednak było, jak ogarnia go coraz większy niepokój. — Poza tym, o co ta cała awantura? Z tego, co słyszałem, nie ma powodu do alarmu. Żona pana Constable'a widziała, jak jej małżonek wyszedł z sypialni i udał się w kierunku schodów. Pośrodku hallu chwycił go atak, upadł i w przeciągu kilku minut zmarł. Zgadza się?

— Jeżeli chodzi o fakty, tak.

— A jeżeli... — Masters przerwał i spod oka obserwował swojego rozmówcę. — Czy może mi pan powiedzieć coś więcej?

— Niedużo. I to wcale nie jest skomplikowane... W piątek wieczorem w Fourways znajdowało się sześć osób: pan i pani Constable, panna Victoria Keen, pan Lawrence Chase, pan Herman Pennik i ja. Tuż przed śmiercią Samuela Constable'a każdy z nas był gdzie indziej. Pan stable przebierał się do kolacji w swojej sypialni, która poprzez łazienkę łączy się z sypialnią jego żony. Pani Constable przebierała się w swoim pokoju. Pan Chase robił to samo u siebie. Panna Keen i ja rozmawialiśmy w mojej sypialni. Pokoje, które wymienilem, znajdują się na tym samym piętrze, po trzech stronach

czworokątnego hallu. Ostatni gość, Herman Pennik, był w kuchni, przygotowywał tam dla nas coś do zjedzenia.

Za jakieś dwie minuty ósma Constable zawołał do swojej żony, że jest już ubrany i schodzi na dół. Kiedy zamykał drzwi za sobą, pani Constable uprzytomniła sobie, że nie jest pewna, czy dała mu dwie czyste chusteczki, o które prosił. Otworzyła drzwi do hallu.

Ich pokoje znajdują się naprzeciwko schodów. Samuel Constable stał w hallu odwrócony tyłem do żony. To znaczy, właściwie nie stał. Mina Constable określiła to: „tańczył i zataczał się”.

Masters wyciągnął notes i rozłożył go na stole. Jego małe oczka były pełne skupienia. Czuł przez skórę, że ostatnie zdanie kryje w sobie jakieś inne znaczenie, ale nie bardzo wiedział, jakie.

— Tańczył i zataczał się? No, no... ale co ona chciała przez to powiedzieć?

— Nie mogła albo może nie chciała określić tego dokładniej.

— Tak. I co dalej, doktorze?

— Upadł ciężko do przodu na poręcz zabezpieczającą schody i Mina zaczęła krzyczeć. Wybiegłem do hallu w parę sekund potem. Constable wił się na poręczy, przez lewą rękę uniesioną do góry przebiegały spazmatyczne skurcze i sprawiał wrażenie, jak gdyby lada chwila miał przelecieć przez poręcz. Upadł na podest i skonał w chwilę potem, kiedy już byłem przy nim.

— Na co? — rzucił ostro nadinspektor.

— Początkowo myślałem, że na serce. Bardzo charakterystyczne objawy: nagły ból, upadek, skurcze, gwałtowne obniżenie ciepłoty i wilgotność ciała. Poprzednio, tego samego wieczoru, Constable powiedział coś na temat ataku serca, tak jak gdyby żył w obawie przed nim. Ale nie spodobało mi się rozszerzenie źrenic. Spytałem więc pani Constable, jaki był stan serca jej męża. Ona jednak nie mogła odpowiedzieć nic rozsądnego. Tak wyglądała sytuacja — dosyć prosta, zgodzi się pan chyba — dopóki nie porozmawiałem z doktorem Edge'em, pod którego opieką był pan Constable.

— Aha... i co powiedział?

— Ze serce nieboszczyka było tak zdrowe, jak pana czy moje. Po prostu hipochondryk. Ale to nie koniec. Przy sekcji zwłok okazało się, że wszystkie organy zmarłego są w doskonałym stanie: nie znaleźliśmy niczego, co by wskazywało na przyczynę śmierci.

— Ale znajdziecie, prawda, doktorze?

— Nie rozumiem pana.

— Fiu, fiu... — Masters gwizdnął z niedowierzaniem. — To może wygląda źle, zgoda; ale nie widzę powodu do wpadania w panikę. Lekarze zawsze tak kręcą. Roztrząsają, co spowodowało śmierć...

— Powtarzam panu, że nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby spowodować śmierć. Jak się panu dom zawali na ten uparty łeb, to może wreszcie zrozumie pan, dlaczego to, co mówię, jest takie ważne! No, a poza tym — lekarze nie kręcą!

— A co pan myśli o truciznie? — zasugerował Masters takim tonem, jakby stawiał uczciwą, handlową propozycję.

— Nie!

— Nie? Na pewno?

— Tak. Chyba że ma pan jakąś tajemniczą, nie znaną nauce truciznę, na co ja się nie nabiorę. — Na przekór samemu sobie Sanders roześmiał się. — Inspektorze, mogę się założyć o co pan chce, że przyczyną śmierci Constable'a nie był żaden rodzaj trucizny: w płynie, w postaci stałej czy też gazu. Doktor Edge i ja męczyliśmy się nad tym wiele godzin i jeżeli istnieje jeszcze jakaś metoda badania, którą ominęliśmy, bardzo chciałbym o niej usłyszeć. Nic z tego.

Nadinspektor drapał się w zamyśleniu w podbródek. Miał podejrzliwy wyraz twarzy i był wyraźnie zaniepokojony-

— Coś tu nie jest w porządku — oświadczył. — Prawda? Zawsze zostaje jakiś ślad w organizmie. Coś przecież w końcu musiało uśmiercić tego faceta. Człowiek nie może ni z tego, ni z owego paść trupem.

— A właśnie, że może — powiedział spokojnie Sanders.

— Chyba źle pana słyszałem, doktorze!

— Całkiem dobrze. Mogę panu podać co najmniej trzy wypadki, w których kompletnie normalna i zdrowa osoba może

umrzeć bez jakiegokolwiek widomej przyczyny zgonu: wewnętrznej czy też zewnętrznej.

– Niemożliwe!

– Dlaczego nie?

– Dlatego... bo, jak Boga kocham! – wybuchnął Masters. Wstał i nerwowo podrzucając monety w kieszeni zapatrzył się w zalane słońcem okno. – Ładnie byśmy wyglądali! Pytam pana, co by się stało z policją, gdyby ni stąd, ni zowąd ludzie zaczęli wymierać bez najmniejszego, zakichanego śladu, co ich wykończyło...

– Aha, coraz cieplej, coraz cieplej, Masters. Nie utrafiłszy jeszcze w sedno, ale jesteście bliżej. Jeżeli sytuacja stanie się za gorąca, przepisałem oświadczenie, które może pan podać do prasy. Zaznaczam, że to nie moje oświadczenie, ale kogoś, kto stanowi autorytet w tych sprawach. Jest to cytat z Taylora, może więc pan wyzbyć się swoich wątpliwości.

Pochylił się nad arkuszem papieru pokrytym jego starannym pismem.

„Wśród osób nie mających przygotowania naukowego w tej dziedzinie panuje przekonanie, że nikt nie może zginąć śmiercią gwałtowną, o ile organizm danej osoby nie odniesie śmiertelnej rany — tzn. widocznego, mechanicznego uszkodzenia któregoś z organów lub naczyń krwionośnych niezbędnych dla życia. Jest to pojęcie błędne, ponieważ śmierć może nastąpić na skutek zakłócenia funkcjonowania niezbędnego dla życia organu bez konieczności naruszenia w sposób widoczny jego budowy.”²

Odsunął od siebie arkusz.

– Ma pan tu wszystko, krótko i węzłowato. Powtarzam, mogę panu podać co najmniej trzy wypadki, w których człowiek może umrzeć śmiercią gwałtowną, bez jakiegokolwiek śladu przyczyny zgonu: wewnętrznego czy zewnętrznego.

Masters rzucił się na niego jak terier.

– Chwileczkę! Powiedział pan „śmiercią gwałtowną”. To znaczy — morderstwo?

² Taylor: „Teoria i praktyka medycyny sądowej”, wydanie VII, 1920, tom I, str. 381 (Londyn, wyd. J. i A. Churchill).

— Tak.

— Aha — mruknął po chwili nadinspektor. Usiadł sztywno no krześle. — Nie zamierzam ukrywać, że z minuty na minutę uczę się wielu rzeczy. Tylko że kiedy rozmawiam z panem lub z sir Henry’em Merrivale’em, zawrże wyskakują takie sprawy, z których bym chętnie zrezygnował. Trzy sposoby, co? W porządku, doktorze, słucham!

— Pierwszy. Znane są wypadki prawie natychmiastowego zgonu, kiedy śmierć następuje jako rezultat niespodziewanego ciosu w górną część żołądka lub jamę brzuszną. Działa to na system albo ośrodek nerwowy. A jednak nie pozostawia żadnego znaku czy rany zewnętrznej ani też fizycznego obrażenia wewnątrz organizmu; czyli nie ma jakiegokolwiek śladu przyczyny zgonu.

— Niech się pan zatrzyma na moment — Masters wiercił się nerwowo. — Nie chce pan chyba powiedzieć, że można wykończyć kogoś przez niespodziewane rąbnięcie w żołądek?

— Cóż, ja osobiście nie opierałbym się na tym, jako niezawodnej metodzie. Może się udać albo i nie. Chodzi mi o to, że tego rodzaju wypadki zdarzały się. Jeżeli dokona pan takiej „operacji” bez świadków i ofiara umrze, nic i nikt na świecie nie wyjaśni prawdziwej przyczyny zgonu.

— Tak więc to wygląda? — Masters przeżuwał usłyszane wiadomości. — A jaki jest drugi sposób?

— Zdarza się, że ludzie umierają na wstrząs mózgu bez pozostawienia śladu przyczyny zgonu. Gwałtowne uderzenie w głowę i ofiara pada martwa na miejscu lub umiera trochę później nie odzyskawszy przytomności. Oczywiście, może pozostać znak uderzenia lub zdarcie naskórka na czaszce — ale może też i nie być żadnego śladu. Bywają też wypadki, kiedy po tego rodzaju uderzeniu w mózgu nie nastąpiło uszkodzenie czy też pęknięcie naczyń krwionośnych, a pozostałe narządy zmarłego są w jak najlepszym stanie. A jednak człowiek ten zginął śmiercią gwałtowną.

— Taaak. Trzeci sposób?

— Szok nerwowy spowodowany czymś niespodziewanym lub na skutek przerażenia. W większości wypadków przypisywany

blżej nieokreślonego zastopowaniu funkcji serca. Niech pan nie parska: to fakt, mający solidne podstawy naukowe, w oparciu o które można rozłożyć zdrowego człowieka jak niemowlę, bez żadnych zewnętrznych czy wewnętrznych śladów.

Jest jeszcze wiele innych sposobów; ale żaden z nich nie da się zastosować do naszego wypadku³. Na przykład: ludzie umierają od szoku elektrycznego i nie pozostawia to żadnych śladów. Oczywiście, to jest pierwsza rzecz, która nasuwa się na myśl w domu zapchanym instalacjami elektrycznymi. Ale Constable nie znajdował się w zasięgu tego rodzaju instalacji, a zresztą, siła prądu była zbyt słaba, aby móc kogokolwiek śmiertelnie porazić. Cały problem z elektrycznością polega na tym, że jeżeli zabija, to zabija w ułamku sekundy. Poza tym są pewne preparaty, insulina na przykład — bardzo trudna do wykrycia przy zastrzykach podskórnych. Myślę jednak, że przy sekcji nie przeoczyliśmy takiej czy temu podobnej możliwości. Nie chcę, żeby pan miał błędne pojęcie na ten temat. Tyle przynajmniej mogę zrobić dla pana, zanim wybiję godzina burzy. Ładnie powiedziane, co?

Od kilku już minut Masters spod zmrużonych powiek spoglądał niepewnie na swojego rozmówcę. Ceglasty rumieniec zalał mu twarz.

— Proszę się nie gniewać, doktorze — mówił uspokajającym tonem. — Ale czy czuje się pan zupełnie dobrze?

— Mniej więcej.

— Bardzo mnie to cieszy, bo nie mam zielonego pojęcia, co pana gryzie. Jak Boga kocham, wyjaśnił pan już przecież dokładnie tę całą historię. Czego pan więcej chce? Sprawdźmy tylko, czy dobrze wszystko pojąłem. Pan Constable mógł umrzeć od uderzenia pięścią w żołądek. Albo od uderzenia

³ Przejrzawszy te notatki doszedłem do wniosku, że nie postąpiłbym uczciwie, gdybym nie uzupełnił ich informacją, że pan Constable nie został zabity za pomocą jakiegokolwiek urządzenia mechanicznego, działającego pod nieobecność mordercy. Obecność osoby winnej śmierci była konieczna dla skutecznego posłużenia się tą konkretną metodą. Czytelnik został ostrzeżony. — J. S.

tęym narzędziem w głowę. Albo od szoku — ktoś się wychylił z kąta i krzyknął: „buuu!”. Jeżeli pan pozwoli — mówił głosem pełnym sarkazmu — posłużmy się terminologią naukową i ten ostatni przypadek nazwijmy: zastopowanie funkcji serca z powodów bliżej nie określonych. W każdym bądź razie wyliczył pan trzy osoby, które mogły spowodować śmierć Samuela Constable’a. Zgadza się?

— Tak.

— No, właśnie. I sądzi pan, że został on zamordowany z premedytacją?

— Jak najbardziej.

— Uwaga! — Nadinspektor wycelował w Sandersa wskazujący palec. — Żadnych decyzji. Poczekamy na fakty, młodzieńcze. Ale podyskutować możemy. Starszy pan powiedział swojej żonie, że idzie na kolację, i wyszedł do hallu?

— Tak.

— Ile czasu minęło od chwili, kiedy pani Constable ostatni raz mówiła z mężem, a momentem, kiedy otworzyła drzwi i ujrzała go chwiejącego się na nogach?

— Ona mówi, że około minuty.

— Około minuty. Czy jakaś inna osoba wyjrzała do hallu, zanim pani Constable zaczęła krzyczeć?

— Nie.

— Tak więc przez całą minutę był sam?

— Słusznie.

— Przypuśćmy — kontynuował Masters — że morderca czekał tam na niego. Przypuśćmy, że dopadł Constable’a, kiedy ten wyszedł z pokoju. Uderzył go w żołądek albo w głowę. Chyba to była wystarczająca ilość czasu dla mordercy, żeby szybko ześliznąć się w dół schodami lub wpaść z powrotem do jednego z pokoiów sypialnych, zanim pani Constable wyjrzała do hallu?

— Tak, na pewno.

— W takim razie...?

— Widzi pan — tłumaczył Sanders — zbliżamy się właśnie do sedna sprawy. Wszystko to może być prawdą. Proszę sobie wybrać teorię, która panu najbardziej odpowiada. I nawet

zakładając, że jest ona słuszna, jak pan tego dowiedzie?

Zapanowała cisza. Masters usiłował podnieść się z krzesła i coś powiedzieć; jednakże zdołał zapanować nad sobą. Miał skupione spojrzenie.

— Czy rozumiał pan, o co mi chodzi? — nastawał doktor. — Problem polega na tym, że nie ma niczego, co by wskazywało, w jaki sposób spotkała go śmierć. Jest zupełnie możliwe, że od uderzenia w żołądek lub w głowę, co z kolei mogło być spowodowane niefortunnym upadkiem, kiedy był sam w hallu. Przyjmując którąkolwiek z tych wersji, nie ma pan żadnych podstaw do twierdzenia, że umarł w ten a nie inny sposób. Jego zgon równie dobrze mógł być spowodowany szokiem nerwowym. Nie ma chyba w medycynie nic bardziej zagadkowego i nieobliczalnego niż szok nerwowy, z którego pan przed chwilą pokpiwał. Są wypadki znane w świecie lekarskim, kiedy ludzie umierali na widok katastrofy kolejowej, po wysłuchaniu wiadomości radiowych lub w wyniku „głupich kawałów”! Nawet na samą myśl, że ktoś ich atakuje, kiedy w pobliżu nie ma żywego ducha. Ale ponieważ nie mamy najmniejszego pojęcia, w jaki sposób umarł Samuel Constable, nigdy nie będzie pan w stanie dowieść czegokolwiek. Jeżeli to jest morderstwo, morderca jest wolny od odpowiedzialności wobec prawa.

Znowu zapanowała cisza.

— Ale to się nie zgadza ze zdrowym rozsądkiem! — kłótliwie zaprotestował Masters.

— Nie. Kłopot jednak polega na tym, że nieraz tak się zdarza.

— Cóż, panie doktorze, zobaczymy, co będzie można zrobić — Masters wysiłał się na wesołość. — Tak, ale muszę przyznać, że nie podoba mi się ta cała historia z brakiem dowodów...

— Och, to jest najmniejszy z pana kłopotów.

Nadinspektor przyglądał się swojemu towarzyszowi z pewnego rodzaju podejrzliwością. — Chwileczkę, doktorze. Gdybym nie znał pana tak dobrze, niech mnie diabli wezmą, jeżelibym nie myślał, że w tym wszystkim kryje się coś dziwnego. Czy jest pan pewien, że nie znajduje się pan na złym tropie? Morderstwo? Z tego wszystkiego, co mi pan powiedział,

mógł to być również wypadek. No co, może nie? To dlaczego pan szpikuje mnie podejrzeniami, że Constable nie zmarł śmiercią naturalną?

— Ponieważ „jasnowidz” o nazwisku Herman Pennik przepowiedział, że Constable umrze w. piątek wieczorem, około godziny ósmej — mruknął Sanders. — A ja nie wierzę w jasnowidzów.

Zbliżało się południe i na dworze słońce coraz mocniej przygrzewało. Przed nimi główną ulicą przesunął się w zwolnionym niedzielnym tempie autobus i ze zgrzytem hamulców zatrzymał się na przystanku. Sanders spojrzął na zegarek. Nadinspektor, który obserwował go bacznie, wciągnął głośno powietrze w płuca i wyszedł z pokoju. Doktor usłyszał jego głos, słodki i przymilny — brzmiący tak, jak gdyby usiłował wkupić się w czyjeś łaski.

— Panienko — zapytał — otwarty jest u was bar w niedzielę?

Oburzony kobiecy głos odpowiedział, że tak.

— Ach — westchnął z zadowoleniem Masters — dwa kufle jasnego piwa, jeżeli pani tak uprzejma.

W tym momencie Herman Pennik wysiadł z autobusu na przystanku znajdującym się przed hotelem. Sandersowi trudno byłoby powiedzieć, dlaczego jego postać wydawała mu się tak nie na miejscu na uliczce małego miasteczka w spokojne niedzielne południe. A ponadto owładnęło nim uczucie, które gnębiło go od chwili śmierci Samuela Constable’a, że z każdą godziną indywidualność Pennika rosła i potężniała jak drzewo mangowe wypuszczające wciąż nowe pędy podobne do macek.

Nadinspektor powrócił z dwoma kufkami jasnego piwa. Zachowywał się ze sztuczną beztroską.

— Coś na pragnienie, doktoru — powiedział. — O co to ja chciałem się zapytać, aha, widział pan ostatnio „Starego”? Wie pan, sir Henry Merrivale’a?

— Przyjedzie tutaj po południu.

— Taak? Zna już tę całą sprawę?

— Jeszcze nie.

— Aa... — sapnął Masters z bezbożną rozkoszą, której nie można było w stu procentach przypisać smakowi piwa. — A

więc nie wie? Taka mała niespodzianka? No, no, no! Wszystkiego najlepszego!

— Najlepszego. A tymczasem znalazł się tu ktoś, kogo chciałbym panu przedstawić. Halo, proszę pana! — zawołał Sanders do Pennika. — Tędy! To jest — ciągnął — pan Masters, nadinspektor ze Scotland Yardu. Masters, to jest pan Pennik, jasnowidz -fenomen, o którym panu opowiadałem. Poprosiłem, żeby zajrzał tu do nas.

Zadowolenie nadinspektora było krótkotrwałe. Rzucił na Sandersa pełne wyrzutu spojrzenie, odstawił pośpiesznie kufel i odwrócił się do Pennika — jak zwykle, pozornie łagodny.

— Przepraszam, ale chyba niedokładnie usłyszałem...

— Ja jestem, jak to doktor Sanders nazywa, jasnowidzem — powiedział Pennik, nie odrywając oczu od swojego rozmówcy. — Doktor Sanders poinformował mnie, że pan będzie prowadził tę sprawę.

Masters potrząsnął głową.

— To jeszcze nie zostało ustalone. Niewiele wiem na temat tej całej historii. Jednakże — mówił głosem wzbudzającym zaufanie — gdyby zechciał pan podzielić się ze mną swoimi poglądami na tę sprawę, ściśle poufnie i między nami, oczywiście, pomogłoby mi to na pewno. Proszę bardzo, może pan usiądzie? Czego się pan napije?

Sanders, który dobrze znał nadinspektora, wiedział, że kiedy ten ostatni przybierał maskę nadmiernej uprzejmości, należało się go wystrzegać jak kobry.

— Dziękuję — powiedział Pennik. — Nigdy nie piję. I to nie dlatego, że mam jakieś specjalne obiekcje, po prostu alkohol źle działa na mój żołądek.

— Wielu ludzi wyszłoby na tym lepiej, gdyby nie piło — przytaknął Masters, oglądając z zadowoleniem swój kufel. — Wracając do poprzedniego tematu, widzi pan, powiedzmy, że nie ma żadnej sprawy. Jeżeli więc podniesiemy wielki krzyk, a potem okaże się, że Constable umarł śmiercią naturalną, to wpakujemy się w lepszą kabałę...

Pennik zmarszczył się lekko, kierując na Sandersa przyjazne, ale pełne zdziwienia spojrzenie. I znowu Sandersowi nasunęło

się porównanie z drzewem mangowym, wysuwającym z ukrycia macki; nie było to przyjemne uczucie.

— Doktor Senders widocznie mało panu powiedział o tej całej sprawie — zdecydował Pennik. — Oczywiście, że Constable nie umarł śmiercią naturalną.

— Pan w to również wierzy?

— Naturalnie. Widzi pan — ja wiem.

Masters roześmiał się.

— Pan wie? — dopytywał się. — To w takim razie może pan również wie, kto go zabił?

— Oczywiście — odpowiedział Pennik uderzając się lekko ręką w pierś. — Ja go zabiłem.

ROZDZIAŁ VII

Właśnie ten gest, a nie słowa, sprawił że Sanders zaczął go obserwować z nowo rozbudzoną uwagą. W wyglądzie Pennika było tego dnia coś nieuchwytnego; coś, co sprawiało wrażenie rozkwitu tej raczej niepozornej postaci. Ale co to takiego było? Jego tweedowe ubranie było równie solidne i nie rzucające się w oczy, jak garnitur Sama Constable'a. Miękki, filcowy kapelusz i bambusową laskę położył obok siebie na stole. Zachowywał się tak powściągliwie, że aż nienaturalnie. Ale na małym palcu u lewej ręki połyskiwał krwawym światłem pierścień z rubinem.

Nic nie mogło stworzyć większej groteski niż kontrast pomiędzy tym klejnotem a otoczeniem: wiejska gospoda, niedzielny pejzaż z kurami, promienie słońca padające przez czyste firanki na krągłą głowę Pennika. To pierścień go zmieniał — rozświeczał.

Sanders był tak zaabsorbowany tym spostrzeżeniem, że nie zauważył wyrazu twarzy Mastersa. Ale wystarczył mu ton jego głosu.

— Co pan powiedział?

— Powiedziałem: ja go zabiłem. Czy doktor Sanders nie poinformował pana o tym?

— Nie, nic mi nie mówił. To dlatego pan tutaj przyjechał? — Masters wyprostował się. — Herman Pennik, czy chce pan złożyć zeznanie w związku ze śmiercią pana Constable'a?

— Jeżeli pan sobie życzy.

— Chwileczkę! Muszę pana ostrzec, że nie jest pan zobowiązany do składania zeznań, ale jeżeli pan je złoży, cokolwiek...

— Wiem, wszystko będzie w najlepszym porządku, inspektorze — - uspokoił go Pennik. Sanders zauważył wyraz ogromnego rozbawienia malujący się na spokojnej dotąd twarzy Pennika. W oczach jego jednak można było dostrzec rozdrażnienie. — Nie rozumiem tylko, czemu doktor Sanders

nie poinformował pana o tym. Jak również nie rozumiem przyczyny całej tej wrzawy. Doktor Sanders może zaświadczyć, iż ostrzegłem pana Constable'a w obecności jego żony i przyjaciół, że będę starał się go zabić. Oczywiście, nie powiedziałem, że śmierć jego jest stuprocentowo pewna, ponieważ nie byłem przekonany, czy uda mi się przeprowadzić ten eksperyment. Oświadczyłem tylko, że zamierzam spróbować. Trudno mi zrozumieć, dlaczego wynikło z tego powodu nieporozumienie. W żadnym wypadku nie roszczę sobie prawa do posiadania nadprzyrodzonych sił; i nikt, jak dotąd, o ile się orientuję, nie był w stanie przepowiedzieć przyszłości. Ostrzegłem, że będę starał się go zabić i zabiłem. Po co więc to całe zamieszanie?

— Na Boga... — wysapał Masters z trudem łapiąc oddech. — Proszę mi pozwolić wtrącić słowo! Muszę pana ostrzec, że nie jest pan zobowiązany do składania zeznań, ale jeżeli pan je złoży...

— A ja powtarzam, inspektorze, że wiem, co robię. Poinformowano mnie, że mogę złożyć zeznanie takie, jakie chcę, nie ponosząc jakichkolwiek konsekwencji.

— Kto panu to powiedział?

— Mój adwokat.

— Pana...

— A raczej — sprostował Pennik — mój były adwokat, pan Chase. Ale od czasu naszej ostatniej rozmowy odmówił mi swoich usług, myślał, że ja żartuję. A ja wcale nie żartowałem.

— Nie żartował pan?

— Nie. Przed zabiciem Sama Constable'a zapytałem pana Chase'a, czy mógłbym być oskarżony o morderstwo, gdybym zabił Constable'a w określonych przeze mnie okolicznościach. Pan Chase powiedział, że nie. W przeciwnym wypadku nie zrobiłbym tego. Potwornie boję się wszelkiego zamknięcia — wykańcza mnie to nerwowo. Cały ten eksperyment nie posiadałby dla mnie wartości, gdybym naraził się na ryzyko skazania.

— No myślę! A co pan sądzi o wieszaniu?

— Czy pan również uważa, że ja żartuję?

Masters głośno odchrząknął. — Spokojnie, spokojnie, drogi panie! Nie musimy się unosić... Proszę mi wybaczyć, ale... doktorze, czy ten pan oszalał?

— Niestety, nie — odparł Sanders.

— Dziękuję, doktorze — głos Pennika był pełen powagi. Ale pod szerokim nosem wystąpiły mu białe plamy, które, według Sandersa, znamionowały z trudem opanowywaną wściekłość. Krew powoli odpłynęła mu z policzków i cała twarz sprawiała wrażenie płaskiej maski.

— No dobrze, to dlaczego nie zawiadomił pan o tym funkcjonariuszy miejscowej policji?

— Zawiadomiłem.

— Kiedy?

— Od razu po ich przybyciu do Fourways. Chciałem się upewnić, że nic mi nie grozi z punktu widzenia prawa.

— Jak się do tego ustosunkowali?

— Zgodzili się ze mną, że nic mi nie mogą zrobić... A jeżeli chodzi o ich ustosunkowanie się, to całkiem inna sprawa. Pułkownik Willow nie mrugnął nawet okiem; i nie zrobiło to na nim wrażenia. Ale komisarz Belcher ma mniej odporne nerwy, i, o ile dobrze zrozumiałem, tylko myśl o żonie i czworgu dzieciach wstrzymała go od wsadzenia głowy do piecyka gazowego.

Masters z trudem panował nad sobą.

— Czy to prawda, doktorze?

— Całkowita.

— To dlaczego, do diabła, nie powiedział mi pan o tym?

— Właśnie to robię — cierpliwie tłumaczył Sanders. — Dlatego prosiłem, żeby pan tu przyjechał. Tak jak pan Pennik, ostrzegłem pana. Nie wydawało mi się rozsądne... hm... wylanie całego kubła za jednym zamachem.

— A niech to diabli, to policja już też zwariowała?

— Nie, nie — upewnił go Pennik. — Chociaż na początku byli o mnie tego samego zdania, co pan. Jednakże, zgadzam się z panem, że doktor Sanders powinien był panu o tym wszystkim powiedzieć. Natychmiast po wydarzeniach w Fourways powiadomiłem o swoim udziale w tej sprawie doktora i

pozostałych gości. Z jakichś dziwnych powodów wszyscy — poza obecnym tu doktorem — spoglądali na mnie z zabobonnym przerażeniem. Odmówili nawet zjedzenia kolacji, przy której porządnie się natrudziłem. Staralem się wytłumaczyć, ale nie chcieli słuchać. Oczywiście, byłem dumny ze swojego sukcesu — i znów krew powoli odpłynęła mu z twarzy — ale jestem tylko człowiekiem i bynajmniej nie twierdzę, że posiadam nadprzyrodzone siły. Te-go rodzaju pomysły są nonsensem.

Masters opanował się. Przez chwilę oddychał powoli i spokojnie tak, jak gdyby odliczał w myślach do dziesięciu. Następnie uniósł głowę.

— Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu — nadinspektora rozsądzała wprost uprzejmość — to może zaczniemy wszystko od początku, dobrze? Czy pan nadal twierdzi, że zabił pan Samuela Constable'a?

— Wydaje mi się, że w ten sposób nie posuniemy się daleko, inspektorze, o ile nie przestanie mi pan zadawać wciąż tego samego pytania. Tak. Ja go zabiłem.

— Oczywiście! Oczywiście! Ale jak go pan zabił?

— O, to już jest mój sekret. — Pennik zamyślił się głęboko. — Zaczynam sobie nagle zdawać sprawę, jak wielkie znaczenie może mieć dla świata moja tajemnica. Nie spodziewa się pan chyba, że ją zdradzę?

— Nie spodziewam się, że... na Boga! Nie... wolnego, spokojnie! Nie ma co się podniecać! Już dobrze. Dlaczego pan go zabił?

— Na to pytanie jest mi dużo łatwiej odpowiedzieć. Według mnie był to okaz gburowatego imbecyla, brutalnego w stosunku do własnej żony, obraźliwego wobec swoich gości, zawada na drodze umysłowego i moralnego postępu. Jako człowiek przekroczył wszelkie granice mojej cierpliwości. Jako obiekt eksperymentu był osobą, której braku nikt nie odczuje. Jestem pewien, że doktor Sanders zgadza się ze mną pod tym względem, chociaż w innych sprawach nasze poglądy różnią się krańcowo. Tak więc zrobiłem Constable'a obiektem eksperymentu.

— Eksperyment! — złapał się za głowę Masters. — Pomówmy rozsądnie! Jak pan to zrobił? Jakich środków pan użył? Może wynalazł pan nową metodę wykańczania jednym ciosem w żołądek? Taką, która nigdy nie zawodzi — oczywiście. Albo walenia przez łeb ciężkim narzędziem? Albo może jakiś nowy sposób straszenia tak, żeby facet od razu przeniósł się na tamten świat!

— Aha, słyszał pan o niektórych, uznanych przez naukę możliwościach — skonstatował Pennik, rzucając bystre spojrzenie na Sandersa.

— No i co, której z tych metod pan użył?

— Wykrycie tego pozostawiam pana umiejętnościom — uśmiechnął się Pennik.

— Doprawdy? Więc przyznaje się pan do użycia jednej z tych metod?

— Wręcz przeciwnie. Nie użyłem żadnej z nich, a ściśle mówiąc, użyłem, ale tylko w pewnym sensie.

— W pewnym sensie? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że zastosowałem broń, która może razić, a przy odpowiednim użyciu zabić. Jeżeli konieczne jest panu dokładne określenie, nazwijmy to Teleforce — siła fizycznego oddziaływania na odległość — siła, która może stać się narzędziem zniszczenia. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy — tak jak poprzednio w momentach emocji twarz jego pokryła się bledością — że jest ona tak potężna. Jestem bardzo zmęczony, inspektorze. Niech mnie pan dalej nie ciągnie za język. Ogólnie rzecz biorąc, jest to ta sama siła, która umożliwia mi teraz odczytanie pańskich myśli.

— A więc wie pan, o czym myślę w tej chwili? — dopytywał się Masters przekrzywiając głowę.

Pennik uśmiechnął się nieznacznie.

— Oczywiście. Snuje pan rozważania na temat mojej przedwczesnej śmierci. To jest widoczne dla każdego, kto dobrze się panu przyjrzy. Ale to, co mówiłem, odnosiło się do pana ukrytych myśli, które stara się pan odsunąć od siebie. Nałożył pan maskę sztucznej wesołości, bo gnębi pana poważne zmartwienie. Ma pan dziecko — córkę, o ile się nie mylę, która

jutro idzie do szpitala na operację ślepej kiszki. Jest dosyć słabego zdrowia i tak się pan tym gryzie, że nie zmrużył pan oka przez całą noc.

Masters zaczerwienił się i nagle zbladł. Sanders nigdy nie widział u swojego starego przyjaciela takiego wyrazu twarzy.

— Powiedział mu pan o tym?! — wybuchnął nadinspektor.

— Ależ ja sam nic nie wiedziałem — zaprzeczył Sanders kładąc mu dłoń na ramieniu. — Bardzo mi przykro.

— Ale to prawda? — nastawał Pennik. — Niech mi pan wierzy, przyjacielu, będzie pan musiał potwierdzić to wcześniej czy później.

— Zostawmy moje sprawy w spokoju, jeśli pan łaskaw. Hmm... Wróćmy... a, właśnie: czy może pan udowodnić, co pan robił w czasie, kiedy Samuel Constable został zabity?

— Zastanawiałem się, kiedy wreszcie zada mi pan to pytanie — uśmiechnął się Pennik. — Wyjaśnijmy je raz na zawsze. Doktor Sanders i panna Keen mogą zaświadczyć, że w piątek o godzinie siódmej czterdzieści pięć wieczorem pan Constable był zdrow i cały. Zjawił się w pokoju doktora, żeby sprawdzić przyczynę dziwnego hałasu. — Tyle złośliwości kryło się w jego słowach, że Sanders odczuł je prawie jak fizyczne uderzenie. — Byłem wtedy na dole. Za jakieś piętnaście ósma odezwał się dzwonek do tylnych drzwi. Jak panu chyba wiadomo, cała służba leżała w szpitalu i w związku z tym niejaka pani Chichester podjęła się przygotowania posiłku dla domowników. Otworzyłem drzwi. Pani Chichester zgłosiła się do pracy w towarzystwie syna Lewisa: najprawdopodobniej miał on spełniać rolę przyzwoitki. Byłem w, trakcie przygotowywania kolacji, powiedziałem im więc, że mogą pomóc, jeżeli chcą. Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów wydawali się bardzo zdenerwowani...

Tutaj Sanders przerwał. Był to jeden z epizodów, które najmniej lubił w tej całej historii.

— Czemu pan nie powie nadinspektorowi, dlaczego oni byli tacy zdenerwowani?

— Nie rozumiem.

— Pani Chichester i jej syn — tłumaczył Sanders — powiedzą

panu, że kiedy pan Pennik otworzył im drzwi, oddychał ciężko jak po stumetrówce i wywraçał oczyma. Od godziny za piętnaście ósma do ósmej z niewielkimi przerwami miał lekkie napady szału. O ósmej, kiedy pani Constable zaczęła na górze krzyczeć, nie mogli już tego dłużej wytrzymać. Zwiewali z domu tak, jak gdyby diabeł deptał im po piętach i już nie wrócili.

— Tak, doktorze, i co dalej? — przynaglał Masters.

Sanders patrzył na Pennika.

— Zastanawiałem się tylko, czemu on był tak zdyszany, kiedy otworzył im drzwi. Może był na górze?

— Nie; nie byłem — zapewnił Pennik. — Ale doktor Sanders bardzo uprzejmie... — zawahał się — bardzo uprzejmie wyręczył mnie w opisie wydarzeń. Pani Chichester i jej syn powiedzą panu, że pomiędzy siódmą czterdzieści pięć a ósmą nie wysunąłem nosa poza kuchnię czy jadalnię: mogą to stwierdzić na pewno, bo drzwi od jadalni były otwarte. Doktor Sanders natomiast, jako lekarz, może panu powiedzieć, że pan Constable umarł około godziny ósmej. Myślę, że to powinno wystarczyć.

Masters oparł zaciśnięte pięści na biodrach.

— Znakomite alibi, co?

— Słusznie pan powiedział, znakomite alibi — uśmiechnął się Pennik.

Zapanowało milczenie.

— Drogi inspektorze, ja znam prawo angielskie. Nie odważy się pan aresztować mnie, nawet nakazu pan nie otrzyma. Nie może pan zastosować badań trzeciego stopnia ani zamknąć mnie choćby okresowo jako tak zwanego „istotnego dla sprawy świadka”; jak już wspomniałem, potwornie boję się wszelkiego zamknięcia. Zresztą, nie jestem świadkiem — istotnym ani nieistotnym. Po prostu zabiłem tego człowieka. Naprawdę nie wiem, co pan może zrobić w tym wypadku.

Nadinspektor wpatrywał się w niego jak urzeczony i nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Pennik sięgnął po kapelusz i laskę. Światło słoneczne padło na jego rzadkie, piaskowego koloru włosy; wyprężył pierś i spojrzał przed siebie.

Nagle zaczął mówić głosem głębokim, jak w, natchnieniu:

— „Gdy kapłani za siódmym razem zagrali potężnie na rogach, Jozue zawołał do ludzi: »Podnieście okrzyk wojenny, albowiem Jahwe daje miasto w moc waszą«”.

Zacisnął pięść i uderzył nią z całej siły w stół.

— Panowie, wysiłkiem mojego serca, ciała i umysłu wyzwoliłem energię o nieograniczonych możliwościach. Splądrowałem ukryte skarby wielkiej tajemnicy. Doktor Sanders może panu powiedzieć, że nie ma dziedziny równie tajemniczej i trudnej do zbadania niż szok nerwowy, ale ja wydarłem jej sekret. Zanim spocznę na laurach, wykażę naukowcom, zajmującym się tym problemem, że ich logika to czysta dziecinada, a oni sami to ślepe nietoperze i sowy. Siła ta musi być jednak użyta dla czynienia dobra. Tak. Dla dobra. Zawsze, zawsze, zawsze! Jakbyście wysoko nie cenili Samuela Constable'a, nikt nie odczuje jego braku...

— Czy nie przyszło panu do głowy — przerwał Sanders — że jego żona odczuje ten, jak pan to nazwał, „brak” bardzo boleśnie?

— Jego żona! — powtórzył Pennik lekceważąco.

— To bardzo wartościowa kobieta. Zakładając, że jest pan odpowiedzialny za śmierć jej męża, czy fakt, że załamał ją pan kompletnie, nie dociera do pańskiego sumienia?

— Zakładając, że jestem odpowiedzialny? — ze zdziwieniem powiedział Pennik, unosząc do góry piaskowego koloru brwi.

— Tak właśnie powiedziałem.

Pennik pochylił się do przodu. Mówił zmienionym głosem.

— Czy mam to zrozumieć jako wyzwanie, doktorze?

Zapadła cisza, którą przerwał nadinspektor:

— Spokojnie! Tylko spokojnie. Bez żadnych kłótni!

— Ma pan rację, inspektorze — zgodził się Pennik wciągając głęboko powietrze w płuca. — Proszę o wybaczenie, doktorze. Muszę pamiętać o tym, że nie wolno mi zrobić niczego głupiego czy nie przemyślanego. Starajcie się zrozumieć mnie, panowie. Nie roszczę sobie prawa do posiadania jakichkolwiek sił nadprzyrodzonych; posługuję się siłami natury, których możliwości są mi dobrze znane. Nie twierdzą, że będą one działały niezawodnie. Nie, nie. Jestem za skromny na takie

twierdzenie; sędzę jednak, że w siedmiu wypadkach na dziesięć odniosą całkowity sukces. I to podkreślę w rozmowie z dziennikarzami...

Jeszcze jeden powód do zmartwień spadł na barki Mastersa.

— Zaraz, zaraz — przerwał. — Nie tak prędko! Chyba nie zamierza pan udzielić wywiadu dziennikarzom?

— Dlaczego nie?

— Pan nie może tego zrobić!

— Tak? W jaki sposób zamierza pan przeszkodzić temu, inspektorze?... Czekali już na mnie w komisariacie policji. Powiedziałem im, że przygotuję dzisiaj exposé dla prasy. Pierwszy zwrócił się do mnie — wyciągnął z kieszeni wizytówkę i studiował ją uważnie — pan Dodsworth z „Trening Griddle”. Poinformowano mnie, że to gazeta zajmująca się skandalami. Nie mam żadnych zastrzeżeń co do tego, bowiem skandale stanowią pewnego rodzaju bodziec do myślenia i często wychodzą na zdrowie. Ale byli tam również dziennikarze reprezentujący tzw. prasę poważną. Chwileczkę... pan Banks z „News-Record”, pan MacBain z „Daily Trumpeter”, pan Norris z „Daily Non-Stop”, pan O’Brien z „Evening Banner”, pan Westhouse z „Daily Wireless”. I... gdzie ta wizytówka, o jest, pan Kynaston z „The Times”.

Masters przełknął z trudem ślinę.

— Zależy panu na reklamie, co?

— Mój drogi panie, ani nie staram się o reklamę, ani też jej nie unikam. Jeżeli panowie z prasy mają dla mnie pytania — z przyjemnością na nie odpowiem.

— Ach, tak? I zamierza im pan powtórzyć to, co powie, , dział mi pan przed chwilą?

— Naturalnie.

— Chyba się pan orientuje, że nie będzie im wolno ani słowa z tego wydrukować?

— To się jeszcze zobaczy — odparł Pennik bez większego zainteresowania. — Nie chciałbym jednak być zmuszony do użycia siły, którą odkryłem, tylko po to, aby udowodnić, że mówię prawdę. Niech pan mnie nie zmusza do takiego czynu,

przyjacielu. Jestem z natury łagodnym człowiekiem i chcę czynić jedynie dobro. Jeżeli pan mnie już teraz więcej nie potrzebuje, to się pożegnaj. W razie czego można mnie znaleźć w Fourways. Wprowadzi pani Constable kazała mi opuścić swój dom — jej nienawiść do mnie graniczy z maniactwem — ale policja powiedziała mi, abym dalej tam mieszkał. I chyba zauważył pan, że cieszy mnie, gdy mogę spełnić rozsądne życzenie.

— Mówię bez Owijania w bawełnę! Nie wolno nic panu powiedzieć na ten temat żadnym dzień...

— Niech pan nie robi z siebie głupca, inspektorze. Do widzenia.

Były to jego ostatnie słowa. Wsadził kapelusz na głowę, wziął w rękę laskę i chłodno skinąwszy głową Sander- sowi wyszedł z pokoju. Przez okno widzieli, jak skierował się w stronę przystanku autobusowego.

— No?— powiedział Sanders.

— On jest nienormalny.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— A co to może być innego? — rozmyślał Masters na głos. — Jest coś w tym człowieku, czego nie mogę zrozumieć. Sam to przyznaję. Jak Boga kocham, w całym moim. życiu nikt jeszcze nie mówił do mnie w ten sposób. I żeby nie wiem co, nie mogę go traktować jak tych wariatów, którzy przychodzą do nas i twierdzą, że popełnili morderstwo. Znam ten gatunek, tysiące takich widziałem i mówię panu prosto z mostu — on do nich nie pasuje.

— Przypuśćmy — zastanawiał się doktor — tylko niech pan się nie unosi: ale po prostu przypuśćmy, iż Pennik powie, że w określonym dniu i godzinie umrze ktoś inny wskazany przez niego i rzeczywiście tak się stanie?

— Nie uwierzyłbym!

— Hmm, bardzo krótka i rozsądna wypowiedź, ale niewiele nam to pomoże. Wyobraża pan sobie, co z takiej historii może zrobić prasa brukowa? Nic dziwnego, że oni to uważają za znakomity materiał do artykułów!

Masters sceptycznie potrząsnął głową. — Tym się najmniej przejmuję. Nawet gdyby na głowie stanęli, nie znajdą gazety, która wydrukowałaby podobną historyjkę; a już na pewno nie zaryzykują, kiedy dostaną odpowiednie polecenie. Ale co mnie niepokoi — hmmm — tak, przyznaję się. Co mnie najbardziej niepokoi, to... ja myślę, że ten facet naprawdę zabił pana Constable'a.

— Nawrócił się pan?

— Nic z tych rzeczy! Nie ja. Ale, doktorze, ten typek był zupełnie szczery. On w to wierzył, albo ja jestem Turek. Takie rzeczy potrafię zawsze wyczuć. Mam na myśli, że może on wynalazł jakąś nie znaną, nie pozostawiającą żadnych śladów metodę wykańczania ludzi, no, na przykład jakąś nową metodą walenia w żołądek, czy...

— Nawet, jeżeli może być ponad wszelką wątpliwość dowiedzione, że w tym czasie był na dole z panią Chichester i jej synem?

— Potrzebne nam są fakty — uparcie ciągnął Masters. Zastanawiał się przez chwilę nad czymś i oczy rozbliły mu złośliwie. — W tym wszystkim jedno jest pocieszające. Na Boga, jak tę całą historię przyjmie pewien dżentelmen, którego obaj nieźle znamy...! — Mrugnął okiem z wyrazem głębokiej satysfakcji. — Tak między nami, doktorze, jak panu się wydaje, co sir Henry Merrivale powie na tę całą sprawę?

ROZDZIAŁ VIII

— Bzdura! — powiedział H. M.

W okresie powstawania Fourways pewni przedsiębiorczy dekoratorzy spopularyzowali umeblowanie czy też dekorację wnętrza, zwaną „Tureckim kącikiem”. W jednym kącie pokoju znajdowała się alkowa zawieszona udrapowanymi w fałdy wschodnimi zasłonami. Stwarzało to obramowanie dla wnęki, w której ustawiona była otomana pokryta materiałem w paski; zakrzywione szable tureckie wisiały na ścianie. Wisząca lampa w kształcie latarni dawała przytłumione światło. Wszystko to miało stwarzać pozory tajemniczości i romantyzmu; w istocie, kącik ten ściągał flirtujące pary i kurz z całego domu.

W tym to właśnie kąciku salonu Fourways, w mroku późnego popołudnia, siedział na otomanie sir Henry Merrivale, zwany popularnie przez podwładnych i przyjaciół Stary lub H. M.

Nawet Masters, który współpracował z nim od lat, rzadko kiedy widział tyle złośliwości w jego obliczu. Przesuwając okulary na nosie z góry na dół, przynosił dociekliwe spojrzenie małych, bystrych oczek z Sandersa na nadinspektora. Od czasu do czasu ciężko poruszał się na otomanie. Każdy taki ruch wzbijał tumany kurzu, który osiadał na jego czaszce, wywołując potoki przekleństw. Poczucie własnej godności nie pozwalało mu jednak na zmianę miejsca; a może przypadł mu do gustu „Turecki kącik”...

— Tak więc przedstawia się cała sytuacja — podsumował Masters tonem pełnym głębokiej satysfakcji. — I co pan powie na to?

Sir Henry pociągnął nosem.

— Powiem — odpowiedział kłótliwie — to, co już wiele razy mówiłem. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale Masters zawsze potrafi się uwikłać w jakieś przekłete sprawy, o których nawet ja nie słyszałem. Nie chcę zostawić pana w spokoju, co? Wydawałoby się, że wcześniej czy później pana oponenci zmęczą się obmyśleniem paskudnych oszustw i zaczną gnębić

dla odmiany kogoś innego. Ale nic z tego. Za dużo szczęścia. Może mi pan powiedzieć, dlaczego tak jest?

— Chyba dlatego, że o byle co wpadam we wściekłość — przyznał z całą otwartością Masters. — Tak jak pan.

— Tak jak ja?

— Tak, sir.

— Jak ja, co pan chce przez to powiedzieć? — wrzasnął H. M., nagle podnosząc głowę. — Jest pan na tyle

bezczelny, żeby sugerować, że ja, ja ze wszystkich ludzi na świecie...

— Tak, tak, sir. To znaczy, nie, sir! Nic takiego nie miałem na myśli.

— Bardzo się cieszę — H. M. odprężył się i z wielką godnością zaczął czyścić klapy marynarki." — Cały świat jest pełen błędnych pojęć i dramatycznych nieporozumień. Weźcie mnie dla przykładu. Czy oni mnie doceniają? Ha! Możemy się założyć, że nie!

Sanders i nadinspektor wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczyma. To był jakiś nowy nastrój: nie sama skarga, oczywiście, ale ponury ton, który zdawał się sugerować, że ciało jest tylko nędzną powłoką, która się w proch obróci, a życie człowieka nużącą wędrówką do śmierci.

— Hm, nic się chyba złego nie stało?

— Zależy, jak dla kogo.

— Chciałem powiedzieć, sir, że ta cała kuracja odchudzająca, którą panu zalecili, mogła odbić się na zdrowiu czy coś takiego...

— Wygłosiłem przemówienie... — powiedział szef Departamentu Wywiadu Wojskowego, obserwując ponuro czubki swoich butów'. Nagle wybuchnął ze złością: — Chciałem zrobić komuś przysługę, jestem członkiem rządu, czy nie? Trzeba było pomóc Squiffy'emu. To właśnie Squiffy miał przemawiać na otwarciu nowego odcinka linii kolejowej gdzieś tam na północy. Ale złapał grypkę i nie mógł pojechać, no to zaofiarowałem się, że zrobię to za niego. Sukces był taki, że niejednemu oko zbieleło, poza hm... poza małym kłopotem w drodze powrotnej. Mieli tam specjalny pociąg, no i okazało się,

że maszynista to mój stary kumpel. Przejechałem się więc na lokomotywie ze starym Tomem Porterem. Niech to diabli wezmą, a co byście chcieli, żebym zrobił? Potem, po starej znajomości mówię: słuchaj, Tom, przesuń się i daj mi poprowadzić to pudło. Tom na to: „A wiesz jak?” Na to ja: „Oczywiście, że wiem”. Obaj musicie przyznać, że mam mechaniczne zdolności, co, a może nie? No to Tom powiedział: „Dobra, tylko prowadź ją jak karawan, powolutku”.

Masters wpatrywał się w niego zafascynowany.

— Chyba nie rozwalił pan pociągu, sir?

— Oczywiście, że nie rozwaliłem! — powiedział H. M. tak, jak gdyby to był właśnie najważniejszy powód do żalu. — Stuknąłem tylko jakąś głupią krowę.

— Co pan zrobił?

— Stuknąłem krowę — tłumaczył H. M. — I potem zrobili mi zdjęcia, kiedy kłóciłem się z farmerem. Squiffy był wściekły; taka to jest ludzka wdzięczność. Powiedział, że obniżyłem prestiż ludzi na he... he... świeczniku. I że zawsze tak robię, co jest, oczywiście wierutnym kłamstwem. Ostatni raz brałem udział w tego rodzaju uroczystości trzy lata temu w Portsmouth, kiedy chrzcilem nowy poławiacz min. Czy to była moja wina, że spuścili go na wodę za szybko i butelka szampana zamiast w statek wyrznęła burmistrza w łeb? Niech to diabli, dlaczego zawsze mnie się czepiają?

— Bo to wszystko, sir... — zaczął Masters łagodząco.

— Ja wam powiem, co to jest — warknął H. M. wreszcie dochodząc do sedna sprawy. — Możecie w to nie wierzyć, ale ja słyszałem pogłoski... jakieś cholerne plotki, że chcą mnie wsadzić do Izby Lordów. Chyba nie mogą tego zrobić? — zwrócił się do Mastersa.

Nadinspektor uśmiechnął się niewyraźnie.

— Trudno powiedzieć, sir. Ale nie bardzo widzę, jak oni mogą wsadzić pana do Izby Lordów tylko dlatego, że stuknął pan krowę.

— Nie jestem, tego pewien — ton głosu H. M. sugerował ponure podejrzenia na temat „ich” nieograniczonych możliwości. — Wciąż, aż do znudzenia powtarzają, jaki to stary,

zakamieniały grzesznik ze mnie. Niech pan zapamięta moje słowa: kopią dołki pode mną i, jeżeli będą mogli wykorzystać któryś z moich wypadków, wyląduję w Izbie Lordów. I jakby było tego za mało, dochodzi jeszcze nowa historia. Przyjechałem tutaj po ciężkich trudach z nadzieją na spokojny wypoczynek, a wy co mi dajecie? Nowe morderstwo. A niech to szlag!

— Jeżeli już mówimy o śmierci pana Constable'a...

— Nie chcę o tym mówić — warknął H. M. splatając ręce na potężnym brzuchu. — Nie mam najmniejszego zamiaru. Przeproszę gospodynię i dam drapaka. Ale dobrze, żeś mi przypomniał, synu, gdzie jest pani Constable, gdzie są wszyscy?

Masters rozejrzał się dokoła.

— Nie mam pojęcia, sir. Przyszedłem tu prosto z komisariatu. Ale doktor Sanders wrócił przede mną.

— Pani Constable — odezwał się Sanders po raz pierwszy — leży w łóżku w swoim pokoju na górze. Panna Keen jest u niej. Chase rozmawia w kuchni z policjantem, którego zostawiono tam na posterunku. A Pennik zniknął.

Sir Henry wydawał się zaniepokojony.

— Zdaje się, że pani domu jest ogromnie przybita śmiercią męża?

— Tak. Zupełnie się załamała. Vicky musiała z nią spędzić piątkową i ostatnią noc. Ale teraz czuje się trochę lepiej i koniecznie chce pana zobaczyć.

— Mnie? Dlaczego mnie, do licha?

— Ponieważ uważa, że Pennik jest oszustem i zarazem obłąkanym przestępcą i że tylko pan może go zdemaskować. Wie wszystko o pana słynnych wyczynach: sprawie Answella, Hayea, i wielu innych, to jedna z pana wielbicielek. Czeka z niecierpliwością na to spotkanie, prawie o niczym innym nie mówi. Nie może pan jej zawieść.

Sir Henry spojrzał podejrzliwie na Sandersa. Jego

bystre oczka nabrały wyrazu skupienia; poprawił okulary i z nagle rozbudowanym zainteresowaniem zaczął zadawać pytania:

— To ona mówi, że Pennik jest oszustem, co? Ale to trochę dziwne, synu. Przecież to ona sama wynalazła Pennika,

przysięgała, że posiada dar jasnowidzenia, broniła go przed własnym mężem...

Tak.

— Skąd więc ta kompletna zmiana stanowiska? Kiedy to się stało?

— Kiedy Pennik zabił, a właściwie, kiedy powiedział, że zabił, Constable'a. No, gdy oznajmił o tym.

— O...? A może myślała, że komuś innemu przypada zasługa?

Sanders rozłożył ręce. — Ona bynajmniej nie twierdzi, że jej rozumowanie jest uzasadnione. Mówi tylko to, co czuje. Chce w jakiś sposób uderzyć w Pennika. Dlatego właśnie liczę, że pan i Masters zajmiecie się sprawą i rozwikłacie ją. Przeżywałem ten danse macabre przez dwie noce i nie uważam tego za najprzyjemniejszą rzecz na świecie.

Sir Henry mruzczał coś do siebie. Po chwili ociężale zwrócił głowę w kierunku nadinspektora.

— Inspektorze — zaczął — ta cała historia jest dziwniejsza, niż pan przypuszcza.

— Nie może już być dziwniejsza! Ale niech pan pamięta, że nie jesteśmy jeszcze pewni, czy to było morderstwo...

— Och, mój synu! Oczywiście, że to było morderstwo.

— Tym niemniej...

— Pennik mówi, że jakiś człowiek umrze przed godziną ósmą. I człowiek ten rzeczywiście umiera jak na zamówienie. Na Boga! Czy w pana paskudnej, podejrzliwej mózgownicy, która nie zaufała by własnej matce przy napełnianiu butelki mleka dla niemowlęcia, nie odezwał się chociaż przeblýsk zaciekawienia tym dziwnym zbiegiem okoliczności?

— Łatwo tak mówić, sir — upierał się Masters. — To samo słyszałem od doktora i do pewnego stopnia zgadzam się. Ale powstaje pytanie: w jaki sposób zmarł Samuel Constable, kiedy śladów, ani na lekarstwo? Taaak, jeżeli chodzi o znalezienie dowodów, to w całej naszej pracy nie wylądowaliśmy w gorszym bigosie. No nie?

— Aha — zgodził się H. M. dość ustępliwie.

Wstał z kanapy, wsadził kciuki do kieszonek kamizelki i ciężkim krokiem zaczął spacerować tam i z powrotem po

salonie. Jego potężny brzuch ozdobiony dużym, złotym zegarkiem na łańcuszku, wyprzedzał go pełen splendoru, tak jak dobosz maszerujący przed wojskiem. Jeżeli przechodził jakąkolwiek kurację odchudzającą, to jej rezultaty były znikome.

— No, dobrze — warknął — możemy to sobie przedyskutować. Co wcale nie znaczy, że ja się tym zajmę!

— Jak pan chce. Ale — rzucił Masters podchwytiliwie — co pan myśli o naszym przyjacielu, Penniku?

Sir Henry zatrzymał się raptownie.

— Nie — powiedział z pewną stanowczością. — Nie mam najmniejszego zamiaru powiedzieć, co myślę, jeżeli w ogóle myślę. Mam za dużo zmartwień. Na samą myśl, że każą mi wystroić się w togę i hrabiowską koronę, skóra na mnie cierpnie! Jeżeli to nie są plotki, że ta sępia zgraja czyha na mnie i czeka tylko na pierwszy lepszy pretekst, żeby mnie wsadzić do Izby Lordów — cóż, synu — muszę pomyśleć, w jaki sposób ich przechytryć! Dobra. Mogę wysłuchać wszystkiego, co wiąże się ze sprawą Constable'a, ale najpierw musi mi pan powiedzieć, co pan o tym myśli.

Nadinspektor skinął głową.

— Całkiem słusznie, sir. Chcę tylko na samym początku zaznaczyć, że jestem prostym człowiekiem i nie wierzę w cuda. Poza tymi z Biblii, które się nie liczą. Razem z komisarzem Belcherem przestudiowaliśmy dokładnie każdy najdrobniejszy fakt. Wnioski: Herman Pennik nie popełnił tej zbrodni — jeżeli to jest zbrodni — dlatego, że nie miał żadnych możliwości. To po pierwsze. Następnie, należałoby się zastanowić, kogo jeszcze możemy całkowicie wyeliminować na podstawie, alibi? Kto jeszcze nie mógł popełnić tej zbrodni?

Było to całkiem retoryczne pytanie.

— Ja nie mogłem — odpowiedział Sanders, tak jak spodziewano się po nim. — I Vicky Keen również. Możemy wzajemnie za siebie zaświadczyć, ponieważ byliśmy razem.

— Czy to zostało stwierdzone, synu? — zainteresował się H. M.

— Tak — przyznał Masters — wszystko się zgadza, sir. No, to jedziemy dalej. Na zdrowy rozum, jeżeli pan Constable został

zamordowany, zbrodnię tę mogli jedynie popełnić albo pani Constable, albo pan Chase.

— Nonsens — orzekł Sanders.

Masters podniósł rękę do góry.

— Chwileczkę, doktorze. Jedną chwileczkę. — Zwrócił się do H. M. — To jest całkiem możliwe. Oboje mieli okazję. Uderzenie w żołądek. Cios w głowę. A nawet coś, co mogłoby doprowadzić starszego pana do szoku nerwowego i zabić go. Każdy z tych czynów mógł być dokonany albo przez jego własną żonę, albo przez Chase'a. Żadne z nich nie ma alibi.

Sir Henry znowu zaczął spacerować po salonie.

— Jak dotąd — ciągnął Masters — przyjęliśmy za dobrą monetę zeznania pani Constable o tym, jak to jej mąż po wyjściu z sypialni dostał ataku w hallu. Belcher zaakceptował te zeznania. Pułkownik Willow również. Ale czy to prawda? Doktor Sanders zobaczył starszego pana dopiero w ostatnim stadium ataku, na chwilę przed śmiercią. Pani domu mogła go uderzyć. Mogła go doprowadzić do szoku nerwowego. Albo, z drugiej znów strony, pan Chase mógł mu zadać fatalny cios i umknąć szybko do swojego pokoju, zanim ktokolwiek zdołał go zauważyć.

W tym momencie nadinspektor przerwał i podniósł z wielką powagą prawą dłoń.

— Nad czym teraz należy się zastanowić, sir? Jasne jak słońce: motyw. Kto mógł mieć powody, żeby pozbyć się starego? Pennik nie miał najmniejszego motywu, w każdym bądź razie nie to, co ja nazywam motywem; całe to gadanie na temat naukowych eksperymentów — to straszak dobry dla dzieci. Doktor nie miał żadnych powodów. Panna Keen — również. Ale czy to samo można powiedzieć o pani Constable i panu Chase?

To są tylko takie moje sugestie. Pan Chase jest spokrewniony z gospodarzem domu. Słyszałem również, że był niezwykle uprzejmy dla staruszka, który mógł być jego ojcem i stanowił zupełne przeciwieństwo ludzi, jakimi zwykle otacza się Chase. Niewykluczone, że w testamencie pan Constable przepisał mu ładny kawałek grosza. A jeżeli chodzi o panią Constable, cóż —

Masters uśmiechnął się sceptycznie. — Bez większego namysłu mogę wam podać kilka powodów., dla których chciałaby się pozbyć bogatego i o dwadzieścia lat starszego małżonka. No, nie?

— Czy mogę coś powiedzieć? — wtrącił Senders.

Sir Henry skinął głową.

— Po prostu: nigdy w życiu nie widziałem kobiety bardziej załamanej śmiercią męża niż pani Constable.

— Tak pan myśli? — ton głosu nadinspektora sugerował powątpiewanie.

— Nie traktujcie tego jako moją prywatną opinię. Fakt ten stwierdzam jako lekarz. Gotów jestem przysiąc, że ona nie zabiła i nigdy nie mogłaby zabić swego męża. Ta kobieta o mało nie umarła w piątek wieczorem.

— Na złamane serce?

— Może pan kpić, inspektorze. Krokodyle łyzy nie oszukają doktora. Nie wyciskała ich na siłę. Była tak zaszokowana i przerażona śmiercią męża, jak Vicky Keen była zaszokowana i przerażona tym, co wydarzyło się w jej pokoju trochę wcześniej tego samego wieczoru. W obu wypadkach opierałem się na symptomach czysto fizycznych.

Sanders przerwał i po chwili podjął znacznie ciszej.

— Zwracam na to waszą uwagę, zanim przejdę do innych spraw. I tak prędzej czy później dowiecie się. Lepiej będzie, jeżeli usłyszycie to ode mnie. W piątek wieczorem, około siódmej czterdzieści pięć — tę część Masters już zna — coś przeraziło pannę Keen. Jej pokój znajduje się obok mojego. Kiedy przedostawała się do mnie przez balkonik, strąciła lampę. Pan Constable usłyszał hałas i przyszedł sprawdzić, co się stało. Gdy wychodził już, powiedziałem mniej więcej coś takiego: „Nikt jeszcze nie próbował pana zamordować?” a on mi na to: „Jeszcze nie. Album nadal leży na półce”.

Czekajcie! Nie wiedziałem, co ta uwaga miała oznaczać i nadal nie wiem. Mogę wam tylko podać jeszcze jeden fakt. Pod stolikiem przy łóżku pani Constable — najprawdopodobniej pisze na nim wieczorami — są małe półki z książkami. Pomiędzy nimi znajduje się sporego formatu album z nalepką

na grzbiecie: „Nowe sposoby popełniania morderstw”.

I znowu zapadła cisza.

Masters zamyślił się głęboko.

— „Nowe sposoby popełniania morderstw” — powtórzył z rosnącym podnieceniem: — Wie pan co, doktorze, wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że mamy wreszcie to, czego szukamy. Co pan na to, sir?

— Nie wiem — mruknął H. M. — Co przeraziło tę pannicę?

— Ech?

— Pytałem, co przeraziło tę pannicę? — powtórzył H. M. rozjątrzonego głosem. — No, ta Victoria Keen, o której dopiero co mówiliście. Wszyscy wiedzą, że najadła się strachu, ale nikt nie wie, dlaczego. Nikogo to nie obchodzi. Czy pana przyjaciel, Belcher, nie zapytał jej o to?

Masters roześmiał się, przerzucając kartki swego notatnika.

— Tak, komisarz zapytał ją o to. Ten facet ma bardzo podejrzliwy umysł. Chciał wiedzieć, co robiła w pokoju doktora. Powiedziała, że nagle wpadła w panikę na myśl o przepowiedni Pennika, no i atmosfera domu też była

dziwna. Nie mogła już dłużej wytrzymać sama i pobiegła do Sandersa, który mieszka w pokoju obok. — Zawahał się. Chyba nie ma w tym nic dziwnego?

— Och, mój synu! Dlaczego przez balkon?

— Tak, to jest pytanie.

— Właśnie. Balkony są rzadko sprzątane. Włazenie przez okno nie tylko brudzi, ale jest również wysoce niedystygowane. Jeżeli pragnie się towarzystwa, to po co wlaźć przez okno, kiedy wystarczy wyjść do hallu i otworzyć drzwi? Co więcej, rozbiła lampę i Sanders twierdzi, że panna Vicky była na granicy załamania nerwowego. Wygląda na to, że ktoś musiał zagradzać jej drogę do drzwi.

Za wysokimi oknami salonu szybko zapadał zmierzch. Ostatnie, chłodne światło wieczoru odbijało się w szybach, tworząc ze lśniącej posadzki blade jezioro, po którym przesuwwały się ich cienie. Pod białym, marmurowym gzymsem kominka żarzył się pomarańczowym płomieniem piecyk elektryczny. Blask jego padał na staroświeckie meble i ciężkie

zasłony „Tureckiego kącika”. Tak więc — rozmyślał Sanders — Vicky nie tylko jemu, ale i policji odmówiła podania prawdziwej przyczyny.

Poczuł na sobie przenikliwe spojrzenie sir Henry- Merrivale’a.

— Ale panu przecież musiała coś powiedzieć? Może napomknęła o czymś, zrobiła jakąś aluzję?

— Nie.

— Odmówiła wyjaśnień?

— Coś w tym rodzaju.

— Ale był pan przecież na miejscu! Musiał pan chyba mieć jakieś podejrzenia w związku z jej stanem nerwowym?

— Nie. To znaczy przez chwilę wydawało mi się, że wiem. Ale okazało się, że nie mam racji, tak że możemy o tym zapomnieć.

— Chwileczkę! — wrzasnął H. M. machając ręką w kierunku nadinspektora, który właśnie zaczął coś mówić. Usiadł na otomanie, której sprężyny aż jęknęły pod jego ciężarem. Zaczął swoim zwyczajem przesuwając okulary w górę i dół nosa. Po chwili milczenia dodał dziwnie zmienionym głosem.. — Martwisz mnie, synu.

— Martwię pana? Dlaczego?

— Kto to jest ta dziewczyna?

— Panna Keen? Nie wiem. Znam ją dopiero od kilku dni.

— Aha. Ciągnie cię do niej, co?

— Nie widzę najmniejszych podstaw dla tego rodzaju sugestii.

W głębi serca Sanders bardzo podziwiał i szanował sir Henry Merrivale’a. Uważał, że potrafi być zabawny a zarazem dowcipny, co się niewielu ludziom udaje. Najbardziej lubił przebywać w jego towarzystwie, kiedy Stary z pełną powagą robił kawały. Ale nawet w najlepszych momentach ich długiej znajomości nie mógł się pozbyć uczucia pewnego niepokoju, jakie budziło w nim bystre spojrzenie małych oczek H. M. Musiał więc porządnie wziąć się w karby, aby godnie odpowiedzieć Staremu na jego ostatnią uwagę.

Replika Sandersa nie wywarła jednak najmniejszego wrażenia.

— Cha, cha, cha! — śmiał się obłudnie H. M. — To nie sugestia, a prawda. Jestem jasnowidzem. Ale gdyby Pennik powiedział panu to samo, co ja przed chwilą, posługując się jedynie wzrokiem i inteligencją — .moja stara metoda — ofiarowałby mu pan złotem wyszywany kaptur czarnoksiężnika. To taki średniowieczny zwyczaj...

Głos mu się znowu zmienił.

— Och, nie mam żadnych obiekcji. Mogę nawet panu powiedzieć, kim ona jest. Jej ojcem był stary Joe Keen. Po śmierci pierwszej żony złapała go chórzystka z wodewilu „Wiadukt” na Holborn. Jedna z tych, co to polują na męża z grubszą gotówką. Słyszałem, że córka jego to bardzo inteligentna dziewczyna. Ale nie to było tematem naszej dyskusji. W tej chwili najważniejsza jest dla mnie pewna informacja — spojrzał ostro na Sandersa — jakie są pana podejrzenia? Co lub kto nastraszył pannę Keen?

— Wtedy myślałem, że to Pennik — i Sanders opowiedział im o białej czapce kucharskiej, wciśniętej pod toaletkę.

Masters chciał znowu coś wtrącić, ale H. M. przerwał mu ostro.

— I co? Zapytał pan ją o to?

— Tak, ale zaprzeczyła, nie ma więc o czym mówić.

— A jednak to nie jest taka powszednia rzecz — czapka kucharska pod toaletką w sypialni... Czy powiedziała panu, w jaki sposób tam się znalazła?

— Mieliśmy inne sprawy do omówienia.

— Chce pan przez to powiedzieć, że wykręciła się od odpowiedzi?

— Chcę przez to powiedzieć, że nie podtrzymywałem dalej tego tematu.

— Spokojnie, synu. Karty na stół. Myślał pan, że Pennik był w jej pokoju. Co jeszcze, poza tą sławetną czapką, podsunęło panu tę myśl?

— Podczas tych kilku dni — zaczął ze znużeniem Sanders — przyzwyczailiśmy się do tego, że w atmosferze skrajnego napięcia nerwowego wyciągano na światło dzienne nasze najskrytsze myśli. W rezultacie mieliśmy wszyscy nadmiernie

rozbudzoną wyobraźnię. Może zwrócił moją uwagę stosunek Pennika do Vicky, jakieś psie oddanie. Nie umiał do niej mówić normalnie, tracił swobodę w jej obecności. W najdrobniejszej rzeczy, która dotyczyła Vicky, potrafił być szybki jak iskra. Był na granicy czegoś... trudno powiedzieć. Miałem nieprzyjemne uczucie, że ta cała „przepowiednia” na temat śmierci Constable’a spowodowana była chęcią „pokazania się” przed nią. Mówiąc zupełnie szczerze, kiedy wpadła przez okno do mojego pokoju, jej stan nie wskazywał na to, że doznała jedynie wstrząsu psychicznego.

Sir Henry poruszył się.

— Tak? Pokorny i cichy wielbiciel nagle staje dęba... — Przerwał na chwilę. — Inspektorze, nie podoba mi się ta cała sprawa. — Znowu umilkł. — Wydaje mi się, że panna Keen nie jest typem histeryzującej kobiety?

— Nie.

— To dlatego — wtrącił nadinspektor — zapytał pan Pennika, czy był na górze w piątek wieczorem? Mam rację, doktorze? Rozumiem. I on zaprzeczył.

— I on zaprzeczył — zgodził się Sanders.

Sir Henry uśmiechnął się kwaśno.

— Zastanawia mnie to jednak. Wydawałoby się, że ta dziewczyna mogła sobie dać radę z tego rodzaju sytuacją. Pokierować nią bardziej stanowczo, czy coś takiego. Nie zamierzam generalizować. Ale kobiety często twierdzą, że postąpią tak a nie inaczej, jeżeli któryś z ich adoratorów urwie się z łańcucha, a potem czynią wręcz przeciwnie. Taak, zastanawia mnie to. Przypuśćmy, że to nie było to, o czym pan myśli. Co więc takiego mógł zrobić Pennik, żeby doprowadzić ją do stanu graniczącego z paniką?

Uderzenie było celne.

Właśnie ta myśl od czasu wydarzeń piątkowych dręczyła podświadomie Sandersa.

— Ale ona powiedziała, że to nie był Pennik — upierał się doktor — i mogę się założyć, że mówiła prawdę! Nie wiemy, kto albo co to było. Wiemy tylko, że była przerażona.

— Ciii... — szepnął Masters przykładając palec do ust.

Obejrzeni się. Kamienna posadzka hallu odbijała wyraźnie czyjeś kroki. Lawrence, wyprostowany i swobodny, energicznie wkroczył do salonu. Uśmiechnął się i obrzucił zebranych spojrzeniem pełnym nieukrywanego zainteresowania.

— Coraz nas więcej — zauważył Sanders. — Pan Chase — nadinspektor Masters. A to jest sir Henry Merrivale.

Podczas gdy Chase z trudem tłumiąc entuzjazm potrząsał rękami obu panów, jego bystre oczy nie omijały najmniejszego szczegółu.

— Halo — powiedział. — Tak więc „wielcy” wreszcie przyjechali w, nasze progi. Już dawno z niczego tak się nie cieszyłem. Witam, inspektorze, witam, sir Henry! Słyszałem bardzo dużo o obu panach. — Odwrócił się nonszalancko do Sandersa i powiedział obojętnie: — Przegrałbyś zakład, staruszk.

— Zakład?

— Chciałeś się założyć.

— Ale o co?

— O to, że w piątek wieczorem Pennik nie był w pokoju Vicky — cedził powoli Chase, wyciągając z zewnętrznej kieszeni papierośnicę. — Inna sprawa, że nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego to tak interesuje bogów Scotland Yardu. Nie przykładałem żadnego znaczenia do tej wizyty, no, ale był w jej pokoju. Sam go widziałem.

Przysunął niezbyt wygodne krzesło, usiadł na nim i wyciągnął przed siebie długie nogi. Następnie podrzucił do góry papierośnicę, złapał jedną ręką w powietrzu i spojrzął z zainteresowaniem na swoich towarzyszy, tak jak gdyby oczekując aplauzu za dobrze wykonaną sztuczkę.

ROZDZIAŁ IX

W tym momencie włączył się do rozmowy Masters.

— Proszę to wszystko dokładnie powtórzyć! — zażądał, wyciągając notes. Obrzucił Chase'a surowym spojrzeniem. — Widział pan Pennika w piątek wieczorem w pokoju panny Keen?

— Jeżeli mam być ścisły, widziałem go, kiedy wychodził z jej pokoju — poprawił Chase poprzednie zeznanie. Znowu podrzucił papierośnicę do góry.

— O której to było godzinie?

— Mniej więcej za piętnaście ósma.

— Taaak? A nas poinformowano, że za piętnaście ósma pan Pennik był na dole i otwierał kuchenne drzwi pani Chichester i jej synowi.

— Wszystko się zgadza — Chase zastanowił się chwilę. — Jestem prawie pewien, że usłyszałem dzwonek do drzwi, kiedy Pennik zwiewał schodami na dół. Tak, tale to było. ,

Nadinspektor przyglądał mu się uważnie.

— Złożył pan zeznanie komisarzowi Belcherowi?

— A jakże. Porządny chłop ten wasz Belcher. Ale niech to gęś kopnie, co za fizjonomia! — Zorientował się szybko, że potrącił złą strunę i twarz jego nagle stała się prawie surowa, tylko z oczu wyzierała niezaspokojona ciekawość. Nadal podrzucał niedbałym ruchem papierośnicę do góry, ale głos miał oschły, urzędowy: — Tak, złożyłem komisarzowi zeznanie.

— A jednak nie wspomniał pan o tym wydarzeniu.

— Nie, a niby dlaczego miałem wspomnieć? To nie ma nic wspólnego ze śmiercią biednego, starego Sama. Poza tym...

— Pozwoli pan — gestem policjanta wstrzymującego ruch Masters uniósł rękę do góry. — Pozwoli pan, że przeczytam część pańskiego zeznania. To są pana słowa: „O pół do ósmej pani Constable poprosiła mnie, żebym zaprowadził pana Pennika do kuchni; w tym czasie pozostałe towarzystwo udało się na pierwsze piętro. Pokazałem Pennikowi, gdzie znajduje

się kuchnia, lodówka i inne urządzenia. Byłem z nim zaledwie kilka minut. Potem poszedłem przebrać się i pozostałem w moim pokoju do godziny ósmej, to jest do czasu, kiedy usłyszałem krzyk pani Constable.”

Chase, wysłuchawszy uważnie swoich poprzednich zeznań, podniósł głowę i popatrzył na Mastersa.

— Tak, zgadza się. No i co z tego? To wszystko prawda. Od momentu, kiedy udałem się na górę, nie opuściłem swego pokoju, nie byłem z Pennikiem i nie rozmawiałem z nim. Ale widziałem go.

— Czy może pan to jaśniej wytłumaczyć?

Lawrence Chase wyraźnie odprężył się.

— Z przyjemnością. Była mniej więcej za piętnaście ósma, «kiedy zacząłem się rozbierać, woda lała się do wanny. I nagle usłyszałem, jak coś porządnie rąbnęło, hałas podobny do rozbijanej porcelany czy szkła. Wyjrzałem do hallu i zobaczyłem Pennika wychodzącego z pokoju Vicky. Zamknął drzwi za sobą i szybko zbiegł na dół. To wszystko.

— A nie wydawało się to panu dziwne?

Chase zmarszczył się. Taksował nadinspektora uważnym spojrzeniem. Jak człowiek, który stara się dokładnie przyjrzeć zbyt dużemu obrazowi.

— Nie, oczywiście, że nie. A dlaczego miało to mi się wydawać dziwne? Vicky zaofiarowała mu swoją pomoc w przygotowaniu kolacji i chciała również podać do stołu. John może to potwierdzić. Myślałem, że właśnie dlatego był w jej pokoju.

— Tak było, doktorze?

— Tak.

— Hmmm! A nie zaniepokoił pana hałas?

Chase zastanowił się.

— Tak, trochę, ale tylko na sekundę. Zaraz potem wyjaśniło się wszystko, i już więcej nie myślałem o Penniku. — Mówił chłodno i z rezerwą. — Ledwie Pennik zdążył zejść na dół, kiedy otworzyły się drzwi pokoju gospodarza i wyleciał z nich w pośpiechu biedny, stary Sarn. Naciągał na siebie szlafrok i bosa stopy wtykał w. ześlizgujące się ranne pantofle. Poszedł prosto

do pokoju Sandersa, walnął pięścią w drzwi i otworzył je. Słyszałem, jak zapytał, co to za awantura. I odpowiedź Johna: „Nic takiego się nie stało, lampa spadła na podłogę”.

Przerwał.

— No i co? — nalegał Masters.

Chase wzruszył ramionami. — Słyszałem również głos Vicky.

— Naprawdę?

— Tak. Zamknąłem więc drzwi od mojego pokoju. — Larry mówił ze sztuczną obojętnością, tak jak gdyby chciał zamknąć dyskusję na ten temat. — To nie był mój zakichany interes. Ale dlaczego niby miałem myśleć o Penniku? Przecież Vicky ulotniła się ze swojej sypialni.

Nie tłumaczył dalej; nie widział najmniejszej potrzeby.

To więc było powodem zmiennych nastrojów Chase'a, pomyślał Sanders. Jedna z takich spraw, w której każdy błędnie interpretował motywy pozostałych partnerów. Nie odezwał się jednak, bowiem poczuł na sobie ostrzegawczy wzrok nadinspektora. Masters stał się nagle łagodny i serdeczny; znak, który Chase, stary praktyk, natychmiast rozpoznał.

— Zupełnie zrozumiałe — przytaknął nadinspektor. — Zupełnie zrozumiałe, można powiedzieć. No, ale jeżeli już zaczęliśmy mówić o tej sprawie, to może wyjaśnimy ją do końca, dobrze?

Chase uśmiechnął się. — Niech pan pyta, inspektorze, tylko bez mydlenia oczu. Tam, gdzie są mydliny, można się spodziewać i mętnej wody. Przypominam, że jestem prawnikiem i rzadko który z nas potyka się o własną nogę.

— Tak, wiem o tym. Kiedy widział pan ostatnio Pennika, czy zauważył pan w nim coś dziwnego?

— Powtarza pan stale słowa: „dziwny, dziwnego”. Co pan przez to rozumie?

Masters uczynił nieokreślony gest.

— Nie, nie mogę powiedzieć, żebym zauważył. W hallu było zbyt ciemno, abym mógł odczytać wyraz jego twarzy, jeżeli to pan miał na myśli. Tyle tylko, że kiedy zbiegał po schodach, kiwał się jak wielka, zwariowana małpa. Ale widzi pan, wcale

się nie boję oskarżenia o oszczerstwo, ja już przedtem podejrzewałem, że on jest stuknięty.

— Stuknięty?

— Niech pan posłucha, inspektorze. — Chase podrzucił papierośnicę do góry i złapał ją zręcznie. Wydawało się, że podjął jakąś decyzję. — Już raz się sparzyłem przy tej całej sprawie... to prawda. On rzeczywiście zapytał mnie w kuchni, czy mógłby być pociągnięty do odpowiedzialności za morderstwo, gdyby zabił człowieka w określony przez siebie sposób. Powiedziałem mu, że przy obecnym prawodawstwie nawet najgorsze myśli pod adresem innego człowieka nie są karalne. Stawiał całą tę sprawę tak piekielnie serio i po akademicku, że trudno było go nie lubić. Zgadzasz się ze mną, John? — zwrócił się do Sandersa.

— Tak, chyba tak.

— Ale żeby traktować go poważnie, o nie!

Z „Tureckiego kącika”, gdzie królował na otomanie sir Henry Merrivale, rozległ się kpiący chichot.

— Ho, ho — wysapał H. M. — A jednak zaczął go pan traktować w pewnym momencie poważnie, no, przyznaj się, synku?

Chase oglądał papierośnicę.

— Cóż, krótki seansik czytania myśli to jedno — powiedział jak gdyby tłumacząc, że w każdym mężczyźnie siedzi mały chłopiec. — Ale żeby samym myśleniem rozwalić człowiekowi czaszkę, to już trochę tego za dużo... Pomyślcie! Pomyślcie, jakie to miałyby znaczenie, gdyby było prawdą. Weźmy dla przykładu Hitlera. Hitler nagle uderza się rękami w głowę i wrzeszczy: „Mein Gott” czy „Mein Kampf!”, czy też jakiś inny z jego sławetnych okrzyków, i pada martwy jak kłoda. Pytałem Pennika: no dobrze, a mógłby pan zabić Hitlera?

Obudziło to tale wielkie zainteresowanie, że Masters zamknął swój notes.

Sir Henry zsunął okulary na koniec nosa.

— I co on na to, synu?

— Zapytał: „Kto to jest Hitler?”

— Co?

— Tak, właśnie taka była jego reakcja. I nagle ogarnęło mnie uczucie, jak gdybym mówił z człowiekiem z księżycą. Zapytałem go, gdzie się podziewał przez ostatnie pięć czy sześć lat. Odpowiedział całkiem poważnie: w rozmaitych częściach Azji i Afryki, tam gdzie nie dochodzą echa ostatnich wydarzeń. Potem poprosił mnie — mnie — żebym był rozsądny. Powiedział, że po pierwsze, nie twierdzi, iż jego metoda będzie mogła być zastosowana w każdym wypadku; po drugie, aby odnieść sukces, musiałby poznać przyszłą ofiarę i „dopasować czepek” do niej — nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy! No, a po trzecie, że musiałby pozostawać przez pewien czas w kontakcie z przyszłą ofiarą, której poziom intelektualny — to ostatnie podkreślił — powinien być niższy od jego.

Nadinspektor rzucił na sir Henry’ego kpiące spojrzenie.

— Co — zażartował — co, z takiego czy innego powodu, wydaje się wykluczać możliwości wykończenia Hitlera, Mussoliniego czy innej grubej ryby. Ale chyba nie wyciągnął pan z niego tych wszystkich wiadomości podczas kilkuminutowej rozmowy, w piątek wieczorem?

— Nie, nie, zagadnąłem go o to wczoraj. On... ale, ale, gdzie jest teraz Pennik?

— Wszystko w porządku — uspokajał go Masters. — On pana nie skrzywdzi.

— Może się pan założyć, że nie, jeżeli to tylko będzie ode mnie zależało. Ale gdzie on jest?

— Najprawdopodobniej zaszył się gdzieś, żeby przetrwać swój zły humor i rozczarowanie. Kiedy był na posterunku policji, chciał mówić z dziennikarzami, ale przekonałem ich, że to nieszkodliwy wariat — powiedział Masters z głęboką satysfakcją. — No nie! Chyba te wszystkie brednie nie wywarły na panu większego wrażenia? Dlaczego więc chce pan wiedzieć, gdzie jest Pennik?

— Nie, nie wywarły — zaproponował niezbyt pewnie Chase. — Wydawało mi się tylko, że widziałem go przed chwilą w ogrodzie.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca przedostawały się przez ciężkie zasłony, obszyte po brzegach paciorkami jak

hiszpański kapelusz. Nadinspektor zerwał się na równe nogi. Podszedł szybko do wysokich, frontowych okien i ze zgrzytem otworzył jedno z nich.

— Trochę za ciepło tutaj. Pozwoliłem więc sobie... — i ruchem ręki wskazał, na co sobie pozwolił. Wychylił się przez okno i wciągnął głęboko świeże powietrze, które chłodną falą napłynęło do pokoju.

W głębokiej ciszy słychać było najlżejsze odgłosy: trzepotanie ptasich skrzydeł, szelest liści i lekki trzask gałęzi winorośli. Ale ścieżka pod oknem była pusta.

— Najprawdopodobniej gdzieś tutaj jest. Powiedziano mi, że nasz jasnowidz lubi spacerować — ciągnął nadinspektor. Nagle ożywił się: — Chciałbym zadać kilka pytań panu Chase. Nie dotyczą one Pennika, ale pana osobiście. A tymczasem... doktorze, czy byłby pan tak uprzejmy udać się po pannę Keen i poprosić, aby przyłączyła się do nas? Dobrze?

Sanders wyszedł zamykając za sobą wysokie drzwi salonu.

Zaniepokoił go trochę sposób, w jaki Masters wyjrzał przez okno: poruszał się jak myśliwy na polowaniu. Ale nic nie mogło być bardziej swojskiego niż obrazek, jaki przedstawił się jego oczom po wejściu do pokoju Miny Constable. Vicky, siedząca około okna, pochylona w stronę światła, szydełkowała szybko i zawzięcie. Mina, otulona w jaskrawy, jedwabny szlafrok odpoczywała w miękkim fotelu kolo łóżka. Obok niej na stoliku nocnym stała popielniczka pełna niedopalków; paliła papierosa, zaciskając go w ustach, jak gdyby było jej trudno utrzymać go kilka sekund bez drżenia. Na jego widok na twarzach obu kobiet pojawił się wyraz ulgi. Atmosfera była pełna pozornego spokoju, wydawało się, że wyczerpały już wszystkie tematy do rozmów i pozostało im tylko czekanie.

Mina ożywiła się gwałtownie.

— Kto jest na dole? — zapytała spoglądając na Sandersa pełnymi niepokoju oczami. — Znowu przyszedł ten komisarz? Słyszałam, jak pan go wpuścił.

— Nie, proszę pani. To nadinspektor Masters i sir Henry Merrivale. Oni chcą zobaczyć się...

— Wiedziałam o tym, wiedziałam! Natychmiast się ubiorę i

zejdę na dół. Ale ja nie mam nic czarnego. Och, mój Boże, nie mam nic czarnego. — Przez moment myślał, że się rozplącze. — Nie ma o czym mówić. Co to ma za znaczenie? Dam sobie jakoś radę. Poprosi go pan, żeby chwileczkę poczekał, dobrze, doktorze?

Sanders zawahał się.

— Niepotrzebnie się tym pani przejmuję. Proszę spokojnie pozostać na miejscu i nie denerwować się, obaj panowie przyjdą do pani na górę. Jeżeli chodzi o ścisłość, to chcieliby najpierw porozmawiać z panną... z Vicky.

Vicky ze zmarszczonym czołem starała się uchwycić szydelkiem oczko w robótce. Podniosła głowę i spojrzała ze zdziwieniem na Sandersa.

— Ze mną? Dlaczego ze mną?

— Małe rozbieżności w zeznaniach. Proszę pani!

Mina, odsunawszy go lekko, z pośpiechem wpadła do łazienki, zapaliła światło, ściągnęła ręcznik z wieszaka, potknęła się o piecyk elektryczny i na koniec stanęła w drzwiach. Oczy jej przybrały twardy wyraz. Wyczuwało się w niej coś, co w pierwszym momencie nie było widoczne: stalową siłę charakteru. Ale nie to zwróciło jego uwagę. Światło z łazienki padło na stolik nocny i na umieszczone pod nim dwie półki z książkami; nie było już wśród nich wysokiego, cienkiego albumu zatytułowanego: „Nowe sposoby popełniania morderstw”.

— Małe rozbieżności w zeznaniach? — spytała Mina wycierając dłonie ręcznikiem. — Co się stało?

— Nic ważnego. Naprawdę.

— Czy chodzi o tę obrzydliwą ropuchę Pennika?

— Tak.

— Wiedziałam! Wiedziałam!

— Proszę, niech pani usiądzie — prosiła Vicky. Zwróciła się do Sandersa. — I... John... — wahanie, z jakim wymawiali swoje imiona, wskazywało na głęboko wrodzoną nieśmiałość — jest pewna rzecz, którą musimy ustalić teraz, natychmiast. Czy musisz być jutro z powrotem w Londynie?

— Raczej tak. Będzie rozprawa śledcza, ale zostanie na pewno

odroczone.

— Czy nie mógłbyś się zwolnić i zostać tutaj?

— Tak, oczywiście. Ale dlaczego?

— Ponieważ tej pani — wskazała na Minę, która nadal bezmyślnie wycierała ręce — nie należy zostawiać samej. Ja wiem, co mówię, John. Dzwoniono ze szpitala, że kucharka i pokojówka wrócą jutro, więc chodzi tylko o jedną noc. Mina dostała bzika na pewnym punkcie: chce koniecznie zostać sama w tym domu. Nie możemy do tego dopuścić. Oczywiście, że zostałabym z nią, ale jutro rano mamy na wokandzie sprawę Rice—Mason i jeżeli dzisiaj wieczorem nie wyjadę, to nie ma co się łudzić, wywalą mnie z pracy. Możesz zostać?

(Cóż — zastanawiał się Sanders z oczyma utkwionymi w puste miejsce, które kiedyś zajmował wspomniany już album — nie jestem policjantem. To nie mój interes. Ale tak bym chciał, żeby ten album leżał na swoim miejscu.)

— Czy słyszałaś, co powiedziałam?

— Naturalnie — z trudem oderwał myśli od dręczącego go problemu. — Z przyjemnością zostanę, jeżeli pani Constable nie ma nic przeciwko temu. Przydałoby się, żeby ktoś się nią zaopiekował jeszcze przez jedną noc. Wcale nie jest w tak dobrym stanie, jak jej się wydaje.

Mina przymrużyła oczy i nagle twarz jej złagodził uśmiech pełen wielkiego czaru. Rzuciła ręcznik, podbiegła kilka kroków i impulsywnie położyła dłoń na ramieniu Vicky.

— Cokolwiek się stanie — powiedziała — dzięki za wszystko. Byliście oboje bardzo dobrzy dla mnie. Vicky, po prostu nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Przyrzędałaś posiłki! I nawet zmywałaś naczynia!

— Straszna praca — mruknęła Vicky. — Zabójcza. Wykończyła mnie zupełnie. A jak, do licha, dajesz sobie radę w swoich podróżach do zabitych deskami miejsc, gdzie nikogo nie można znaleźć do zmywania naczyń?

— Och, płacę komuś, żeby to robił — odparła wymijająco Mina. — Oszczędzam w ten sposób czas i unikam kłopotów. — Ton jej głosu zmienił się wyraźnie. — Ale nie martw się o mnie, moja droga. Wszystko będzie dobrze, naprawdę. Ja... czekam

na ten wieczór. To jest, jeżeli uda mi się przekonać tę ropuchę Pennika, żeby również został.

— Pennika?

— Tak.

— Ale ja myślałam...

— Chcę pomówić z sir Henry Merrivalem — ciągnęła dalej Mina. — Wtedy zobaczymy... to, co zobaczymy. A teraz, moi drodzy, wynoście się stąd oboje i dajcie mi się ubrać. O tak!

Wypchnęła ich gwałtownie z pokoju jak człowiek znajdujący się na granicy załamania nerwowego i z trzaskiem zamknęła drzwi. Sanders nie zmartwił się tym. Były pewne rzeczy, które chciał powiedzieć Vicky; zdawał sobie przy tym sprawę, jak trudno mu będzie je wyrazić.

Cały hall, poza długą linią dających nikłe, kolorowe światło witraży okiennych, tonął w. głębokim półmroku. Wydawało się, że ta barwna ściana sięga wyżej niż w rzeczywistości, sprawiając wrażenie ciepłego w. tonacji wnętrza kalejdoskopu.

— „Modlą się święci z kolorowej mgielki”⁴ — zacytował Sanders w myśli, kiedy obok Vicky schodził po wyłożonych grubym dywanem schodach. To, co chciał jej powiedzieć, nadal nie mogło mu przejść przez usta. A tymczasem Vicky mówiła:

— Nie można z nią szczerze mówić. Na tym polega cały kłopot. Albo zamyka się w sobie i trudno dowiedzieć się, co naprawdę myśli...

— Kto?

— Mina, oczywiście! Albo staje się wprost teatralnie wymowna. Może prawda leży po obu stronach, ale tak bym pragnęła wiedzieć, co się tutaj w rzeczywistości działo!

— Vicky!

— Tak?

— Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy, że Pennik był w piątek wieczorem w twoim pokoju?

Oboje zatrzymali się raptownie. Z hallu dobiegało tykanie antycznego zegara. Doktor obawiał się, że ich rozmowę mogą usłyszeć w salonie. — Chodź tutaj — powiedział i pociągnął ją

⁴ John Keats: „Wigilia świętej Agnieszki”, tłum. Zofia Kierszys. (J. Keats „Poezje wybrane”, PIW, 1962).

za sobą kilka stopni wyżej. Nie opierała się; jej ramię poddało się bezwolnie silnemu naciskowi palców Sandersa.

— Dlaczego uważasz, że nie powiedziałam ci prawdy? — zapytała spokojnie.

— Larry widział Pennika, kiedy wychodził z twojego pokoju, zanim jeszcze złożyłaś mi przez okno niespodziewaną wizytę. Nic w tym, oczywiście, nie ma złego, ale powiedział policji i dlatego właśnie chcę z tobą porozmawiać. Zrozum, oni muszą wiedzieć, co ciebie przeraziło. On był w twoim pokoju, prawda?

— Tak — przyznała Vicky. — Był w moim pokoju.

ROZDZIAŁ X

— To dlaczego nie powiedziałaś mi o tym?

Tym razem szukała ucieczki przybierając pozę afektowanej kapryśnicy; i mimo że grała bez zarzutu, stworzona przez nią postać nie pasowała do sytuacji. Sanders wyczuł to natychmiast. Po złożeniu kurtuazyjnego dworskiego ukłonu usiadła na schodach i objąwszy rękami kolana spojrzała na niego. Z jej twarzy pogrążonej w półmroku kolorowych witraży trudno było coś odczytać; mogła wyrażać wszystko i nic.

— A dlaczego miałam powiedzieć o tym czcigodnemu panu?

— dopytywała się Vicky kiwając głową.

— Daj spokój.

— Najprawdopodobniej są sprawy, o których nigdy się nie śniło niewinnym młodzieńcom...

— Najprawdopodobniej. Ale jeżeli nie powiesz tego niewinnie myślącej policji, nie chciałbym być w twojej skórze. Zrozum to wreszcie.

— Grozisz mi?

— Słuchaj, Vicky.— powiedział, siadając obok niej na schodach — zachowujesz się jak bohaterka sensacyjnej powieści. Godność, dyskrecja i temu podobne rzeczy, a wszystko po to, aby ukryć jakąś błahostkę, której nie ma najmniejszego powodu ukrywać. Policja interesuje się Pennikiem, chcą wiedzieć, gdzie był i co robił. Ja się tym interesuję z innych powodów. Co ci zrobił Pennik, że byłaś taka przerażona?

— Jak myślisz?... Tym razem ty mówisz jak bohater ze szmirowatej powieści. Czy sądzisz, że chciałam, aby wszyscy o tym wiedzieli? Czy myślisz, że jakakolwiek kobieta pragnęłaby, żeby robiono szum wokoło takiej sprawy? Może, jeżeli należy do pewnej kategorii kobiet, ale na to istnieje dosadne określenie. Dużo lepiej udawać, że nic się nie stało. To...

Nastrój Vicky zmienił się nagle. Sanders poczuł, jak zdrzała.

— Jeżeli chodzi o ścisłość, masz rację — powiedziała — było

coś więcej. Zresztą, ten biedak nawet mnie nie dotknął.

— Ten biedak?

Vicky przechyliła się do tyłu w stronę wysokiego okna, głowę oparła o framugę i cała jej postać sprawiała wrażenie kompletnego odprężenia. — Powiedz mi — zapytała niespodziewanie — jaka jest panna Blystone, no, ta dziewczyna, z którą zamierzasz się ożenić? — W jej głosie brzmiało napięcie.

— Ale...

— Proszę, powiedz mi.

— Cóż... myślę, że jest trochę podobna do ciebie.

— Pod jakim względem?

Wróciło wspomnienie ostatnich minut przed rozstaniem; słońce odbijające się o białe burty statku, wysokie czarne kominy, przeciągły ryk syreny i kolorowy tłum, wśród którego kręciła się Marcja Blystone, starając się rzucić każdemu kilka słów pożegnania. Na pewno Kessler był także obecny na pokładzie.

— Nie umiem tego dokładnie sprecyzować. Ona jest mniej dojrzała niż ty. Ale bardziej tryskająca życiem — tę ostatnią uwagę zrobił jedynie dlatego, że nienawidził tego określenia. — Wesoły kompan w towarzystwie, świetnie się z nią rozmawia. Ja jestem poważny ;— ona jest beztroska i...

— Jak wygląda?

— Niższa od ciebie i szczuplejsza. Brązowe oczy. Jest aktorką.

— To musi być interesujące?

— Tak.

— Czy ją kochasz?

(Podświadomie spodziewał się tego pytania.)

— Tak, oczywiście.

Przez chwilę Vicky siedziała nieruchomo. — Tak, oczywiście, że ją kochasz — powtórzyła siadając sztywno. — I dlatego właśnie możemy być dobrymi przyjaciółmi.

— Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Tak. Miałam na myśli... — przerwała. Jej zachowanie zmieniło się. Pozory wiktoriańskiej kokieterii zniknęły w oka mgnieniu. Mówiła spokojnie, ale z głosu jej przebijała niemal rozpaczliwa powaga. — Słuchaj. Tylko co powiedziałaś, że

zachowuję się jak bohaterka powieści sensacyjnej. Śmiałam się zawsze z takich rzeczy, ale w pewnym stopniu tak właśnie się czuję. Jasnowidz w pogoni za dziewczyną. To, co się wydarzyło dwie noce temu, jest niewspółmierne w porównaniu ze śmiercią pana Constable'a. A mimo to było wstrętne. Pennik nie jest w gruncie rzeczy zły, ale jednak jest zdecydowanie niebezpieczny. Nie zamierzam im wszystkiego powiedzieć, bo nie chcę, aby się rozeszło, że... och, mniejsza z tym. Ale kłopot polega na tym, że jeżeli powiem im wszystko, będę oskarżona o przemilczenie pewnych rzeczy, a jeżeli nie powiem im wszystkiego, nie będę miała czym się bronić. Pierwszy raz w życiu, od czasu kiedy jako dziecko posyłano mnie za karę do ciemnego pokoju, boję się. Ja wcale nie żartuję, John! Muszę mieć kogoś, kto stanie przy mnie, pomoże mi. Pomożesz mi, powiedz? Pomożesz mi?

— Ty wiesz, że możesz na mnie liczyć, Vicky.

Przerwano mu.

Cienka smuga światła przecięła hall. W ciemności usłyszeli szuranie nóg, odgłos uderzenia, przekleństwo i ogłuszający loskot wywróconej wraz z donicą palmy.

— Gdyby zadał pan sobie trochę fatygi i poszukał kontaktu, sir! — warknął ktoś. — Przepraszam, ale czy musi pan kręcić się wszędzie i wywracać wszystko do góry nogami?

— A czy ja jestem sowa? — wrzasnął w odpowiedzi dużo bardziej rozjątrzony głos. — Do kata, inspektorze, jeżeli pan myśli, że po ciemku widać jak za dnia, to poszukaj pan sobie sam. Ja już wiem, co robię. Aha! Mam!

Pstryknął kontakt; cały hall i schody zalało światło, w którego blasku Vicky i Sanders zerwali się na równe nogi z niejasnym poczuciem winy. Sir Henry Merrivale i nadinspektor wpatrywali się bez słowa w ich twarze, które nie zdążyły jeszcze przybrać wyrazu obojętności.

— Oho — mruknął H. M. wstrzymując się od dalszych komentarzy. Zaczął ciężko wchodzić na schody. — Dobry wieczór. Czy pani jest córką Joe'ego Keena?

Skinęła głową bez słowa.

— Znałem pani ojca wiele lat temu. To był dobry chłop, stary

Joe — powiedział H. M. pociągając nosem. — Co to chciałem powiedzieć, aha, nadinspektor chciał zadać pani kilka pytań. Może zejdzie pani do nas? Nie, synu — dotknął ręki Sandersa. — Pan pójdzie ze mną. Proszę mnie przedstawić pani Constable.

Vicky zimno skinęła głową.

— Chętnie — odparła spoglądając na zegarek. — Ale mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo. Muszę przygotować kolację.

Lekko zbiegła ze schodów w kierunku Mastersa, który zdążył przybrać surową i ważną minę. W tym momencie Chase wyrzwał do hallu, obrzucił okiem całą scenę i zaczął gwizdać przez zaciśnięte zęby. Sanders poszedł na górę z sir Henry'm. Ten ostatni nie odezwał się ani słowem.

Mina w brązowej sukience stała na progu pokoju. Była już zupełnie opanowana.

— Właśnie schodziłam na dół — wyjaśniła zamykając za nimi drzwi. — Ale chyba będzie lepiej, jeżeli porozmawiamy sobie tutaj. Proszę usiąść. Możemy od razu przystąpić do sprawy.

— Szanowna pani — powiedział H. M. z gracją słonia w składzie porcelany, która sprawiała równie piorunujące wrażenie, jak ataki jego najbardziej nieopanowanej wściekłości — szanowna pani, wcale nie jestem szczęśliwy, że znajduję się tutaj.

— Ale ja jestem szczęśliwa, że jest pan z nami — uśmiechnęła się Mina, strzepując palcami puder z szyi. Jej oczy zabłysły podejrzeniem. — Pragnęłabym tylko, żeby mógł pan być tutaj wcześniej. Czy zatrzyma się pan u nas?

Zabrzmiało to groteskowo, ale H. M. pokręcił tylko przecząco głową.

— Nie, szanowna pani. Mogę się zatrzymać tylko na jeden dzień. Ale — usadowił się ostrożnie w fotelu, kładąc ręce na oparciach — powiedziano mi, że chciała pani porozmawiać ze mną. Pomyślałem więc sobie, że jest kilka pytań, na które łatwiej będzie pani odpowiedzieć mnie niż Mastersowi. Są to raczej kłopotliwe pytania, droga pani.

— Proszę się pytać, o co pan tylko zechce.

— Hmm... tak. Czy to prawda, że pani małżonek od pewnego czasu podejrzewał, że pani chce go zabić?

— Kto panu to powiedział? Larry Chase?

Sir Henry wykonał nieokreślony ruch ręką.

— On tego nam właściwie nie powiedział. To samo wypłynęło na wierzch jak oliwa. Czy to prawda?

W pokoju paliła się tylko mała lampka na stoliku nocnym rzucająca przyćmione światło na ciemne włosy Miny. Ale nawet w półmroku było widoczne, że stara się zdławić śmiech.

— Nie, nie, nie! To jest tak absurdalne, że... że aż po prostu śmieszne. Ale dlaczego Larry tak powiedział? On przecież wie najlepiej. Na pewno nie miał tego na myśli. To był dowcip biednego Sama.

— Jak na dowcip to wybrał sobie dosyć ponury temat.

Mina zręcznie odparowywała ciosy. Sanders, obserwując ją, odniósł wrażenie, że w pojedynku tym władała (albo jej się tak wydawało) ostrzejszą szablą.

— Chyba nie. Widzi pan — uśmiechnęła się lekko — ja jestem pisarką.

— Wiem.

— Oo, to dobrze. Zresztą napisałam tylko jedną powieść kryminalną, która została bezlitośnie zjechaana, ale w inne moje książki prawie zawsze wsadzam jakąś tajemniczą lub nagłą śmierć. Sam — patrzyła spokojnie i szczerze w oczy swojego rozmówcy — Sam mawiał, że ja mam umysł przestępcy. Uważam, że jest wręcz przeciwnie i że to właśnie ludzie, którzy duszą w sobie wszystko, mają umysły przestępców. To był taki jego dowcip, że ja go kiedyś zamorduję...

— Niepokoilo to panią?

— Nie, nigdy. — Wyglądała na zdziwioną samym przypuszczeniem.

— Właśnie zastanawiałem się... skąd pani bierze materiał do tych wszystkich skomplikowanych i tajemniczych śmierci?

— Och, sporo opowiadają ludzie. I dużo materiału można znaleźć w staroegipskich i średniowiecznych dokumentach. No, a poza tym, oczywiście, prowadzę album z wycinkami. Nazwałam go: „Nowe sposoby popełniania morderstw”.

Nawet H. M. nie mógł powstrzymać mrugnięcia powiek. Już dawno jego partnerzy od pokera w „Klubie Diogenesa”, zorientowali się, że każda próba odczytania myśli z jego twarzy kończy się kompletnym fiaskiem; ale w tym momencie oblicze jego miało bardzo dziwny i chytry wyraz. Założył ręce na brzuchu i zaczął przebierać palcami.

— Taaak? Album, co? To świetnie by się czytało, proszę pani.

— Kiedyś, ale teraz już nie, dzięki Bogu — powiedziała Mina zaciskając kurczowo dłonie. — Spaliłam go wczoraj. Skończyłam już z myśleniem na te tematy i pisać o tym więcej nigdy nie będę.

Pochyliła się do przodu.

— Sir Henry, nie wiem, czy panu powiedziano, dlaczego tak bardzo chciałam pana poznać. Z całego serca podziwiam pana. Naprawdę — to nie jest grzecznościowy komplement. Znam wszystkie pana sprawy, począwszy od historii Darwortha w 1930 roku, morderstwa gwiazdy filmowej na Boże Narodzenie w 1931 i dziwacznej sprawy -„zatrutego” pokoju w domu lorda Mantlinga. Uważam, że nie doceniają pana należycie. Często mówiłam, że powinni już byli panu dawno nadać tytuł lorda.

Twarz H. M. okryła się ciemną purpurą.

— To, co najbardziej lubię u pana — ciągnęła Mina nieświadoma wrażenia, jakie wywarły jej ostatnie słowa — to łatwość, z jaką obala pan piętrzące się trudności i zamienia straszne upiory w niewinne duszki, którymi były w rzeczywistości. Właśnie tego tutaj potrzebujemy! I dlatego zwracam się do pana z prośbą o pomoc. Chcę, żeby zdemaskował pan Hermana Pennika. Żeby został odarty z maski i otrzymał to, na co zasługuje: szubienicę, jeżeli to jest możliwe. Czy poznał pan już Pennika?

Sir Henry z wielkim wysiłkiem wciągnął powietrze w płuca; ale zachowywał się nadal z całą godnością.

— Hmm... tak, tak — powiedział. — Otwiera pani szerokie pole do domysłów. Czy sugeruje pani, że Pennik zabił męża przy użyciu jemu tylko znanej metody?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno — ten człowiek jest oszustem!

— Ale to już jest trochę niekonsekwentne, prawda? Najpierw sugeruje pani, że Pennik mógł zabić pani męża za pomocą jakiegoś rodzaju supertelepatii. Następnie twierdzi pani, że jest oszustem. Co właściwie ma pani na myśli?.

— Nie wiem. Ja tylko wiem to, co czuję. Czy poznał pan już Pennika?

— Nie.

— Włóczy się gdzieś tutaj — oczy Miny zwężyły się jak szparki.

— Sir Henry, od wielu już dni staram się sobie uzmysłwić, kogo mi ten człowiek przypomina. Teraz wiem. To jest Peter Quint z powieści „W kleszczach lęku”.

Pamięta pan tę okropną historię: przerażona guwernantka na dworze Bly? Quint na wieży, Quint przy oknie, Quint na schodach. I wszystko pogrążone w mroku. Ale to przypomniało mi o czymś innym. Mogę panu powiedzieć, jak postępować z Pennikiem.

Pochyliła się jeszcze bardziej do przodu.

— Zawsze się włóczy gdzieś po dworze, a jak się robi ciemno, to wpada zniecka na człowieka. Czy wie pan, dlaczego? Pennik cierpi na klaustrofobię. Nie znosi zamkniętej przestrzeni. Dlatego odpowiadają mu pokoje w naszym domu, bo są wysokie i duże. Wie pan, co powinien pan zrobić? Zabrać go na policję pod jakimś zarzutem. A potem zamknąć go. Zamknąć na tydzień czy dłużej, w najmniejszej celi, jaką tylko macie. Dopiero wtedy zacznie mówić! Powie panu wszystko!

— Niestety, szanowna pani, nie możemy tego zrobić.

— Ale dlaczego? — domagała się żałośnie. — Nikt się nigdy niczego nie dowie!

Sir Henry popatrzył przeciągle na Minę. Wydawał się trochę zmieszany.

— Cóż, droga pani, istnieje u nas taka rzecz jak prawo.. Czy się ono komuś podoba, czy nie — to jest bardzo pożyteczna instytucja. Nie można jej stawiać na głowie. Musi pani zdać sobie sprawę, że nic — absolutnie nic — nie możemy zrobić Pennikowi, nawet gdyby dał się wniebogłosey, że zabił pani męża. A poza tym prawo zabrania tortur.

— Prawo zabrania tortur? A on może torturować?

— To przecież...

— Zrobił z Sama „eksperyment”, co? Mój mąż nie był wart, aby żyć na tym świecie, prawda? Można było się bez niego obejść. Mówił tak czy nie? Zobaczmy! Odmawia mi pan pomocy, sir — Henry?

— Na Boga świętego! — ryknął H. M. — Niech się pani tak strasznie nie denerwuje. Nie na darmo nazywają mnie Stary. To do czegoś zobowiązuje. Pomogę pani, ile będę mógł. Ale ta cała historia jest bardzo śliska... i jak dotąd, nie ma się za co uchwycić. Dlatego nic nie możemy zrobić, dopóki... — Przerwał, bowiem cień przemknął po wyrazistej twarzy Miny; tak jak gdyby podjęła jakieś postanowienie; zamknęła się w sobie ponownie i H. M. odniósł wrażenie, że straciła kontakt ze światem zewnętrznym. Uśmiechnęła się, jej oczy miały trochę błędny wyraz.

— Niech pani słucha tego, co mówię! — krzyknął H. M. z nagle obudzoną czujnością. — Słyszysz pani?

— Tak.

— Jeżeli nam zrobić cokolwiek w tej sprawie, to musi mi pani pomóc. A zapadanie w trans tylko przeszkadza. Mam pewien pomysł, a raczej niejasny zarys pomysłu. Chcę, aby podała mi pani fakty. No co, powie mi pani to, co chcę wiedzieć, czy nie?

— Bardzo przepraszam — powiedziała Mina budząc się z zamyślenia. Jej twarz rozjaśniła się. — Oczywiście, że powiem.

Sanders zdawał sobie sprawę, że H. M. był bardzo zaniepokojony. W jego umyśle skojarzył się on z ratownikiem: rzucił słowami tak, jak gdyby były one liną wyciągającą z odmetów tonącego. Przez chwilę milczał, astmatycznie wciągając powietrze w płuca.

— No, to wszystko w porządku. — Rozejrzał się po pokoju. — Czy to była wasza wspólna sypialnia?

— Nie, nie. Mąż narzekał, że mówię przez sen. Jego pokój jest obok. Czy chce pan go obejrzeć?

Wstała, nie okazując żadnego zainteresowania, i poprowadziła ich przez łazienkę do sypialni Sama Constable’a.

Zapaliła światło. Pokój ten właściwie mało się różnił od innych sypialni w tym domu, poza pewnymi śladami in-

dywidualności, których brak było w pokojach gościnnych. Kwadratowy, wysoki i zimny. Meble z ciemnoorzechowego drzewa — łóżko, szafa, komoda, stół, parę krzeseł — odbijały od jasnej zieleni wzorzystych tapet obramowanych złotymi listwami. Kilka obrazów w ciężkich ramach psuło estetykę tego i tak mało atrakcyjnego wnętrza.

Sir Henry rozejrzał się wokół i zaczął myszkować po kątach i zakamarkach. W jednym z rogów pokoju stała dubeltówka w pokrowcu, pudła na kapelusze piętrzyły się na komodzie, a stół zawalony był tygodnikami „Tatlers” i magazynami sportowymi. Niewiele śladów zostało po ostatnim mieszkańcu. Jedno z okien wychodziło na muły balkonik, z którego kamienne, kręcone schody prowadziły na trawnik przed domem. H. M. sprawdził to wszystko dokładnie, zanim odwrócił się do Miny stojącej na progu łazienki.

Przez cały ten czas oczy Miny, o żółtawych białkach po niedawno przebytej malarii, śledziły go z uwagą.

— No, taaak. A co, proszę pani, znajduje się pod tym pokojem?

— Pod nami? Jadalnia.

— Aha. Cofnijmy się z powrotem do piątkowego wieczoru. Oboje państwo udali się na górę do swoich pokojów o pół do ósmej, tak? No i co wtedy zrobił pani małżonek?

— Wykąpał się i zaczął się ubierać.

— A gdzie pani była w tym czasie?

— Tutaj.

— Tutaj?.

— Tak. Parker, służący Sama, był w szpitalu, musiałam więc przygotować mu smoking i wsadzić spinki do koszuli. Zabrało mi to sporo czasu. Moje ręce... — urwała.

— Proszę mówić dalej.

— Był już prawie ubrany, a ja zawiązywałam mu lakierki...

— Taaak? A sam ich sobie zawiązać nie mógł?

— Cierpiał na zachwianie równowagi, biedak... i nie mógł pochylać się tak nisko. — Spojrzała na szafę i mocno zacisnęła szczęki; był to dla niej jak dotąd najgorszy moment. — Zawiązywałam więc te nieszczęsne lakierki, kiedy usłyszeliśmy

straszny hałas. Powiedziałam: „To w. pokoju obok”. Sam rozzłościł się: „Nie, to w pokoju tego durnego doktora. Chyba stłukł lampę mojej prababki”. Nie, nie, doktor Sanders nie zasługuje na to określenie, ale Sam miał nadzieję, że doktor zdemaskuje Pennika, i był bardzo rozczarowany. Rozumiem teraz, co czuł. Bądź spokojny, Sam, doprowadzimy tę sprawę do końca...

Sanders spojrzął na Minę i ciarki przebiegły mu po grzbiecie.

— Powiedział, że idzie zobaczyć, co się stało. Założył szlafrok i wyszedł. Mniej więcej po minucie był już z powrotem. Powiedział, że Vicky Keen z doktorem Sandersem... — Przerwała w, pół zdania. — Przepraszam, doktorze! Zapomniałam o pana obecności. Ja wiem, że nic w tym takiego nie było. Ale wracając do tematu: kiedy pomogłam mu założyć koszulę, powiedział, żebym poszła się przebrać, bo się spóźnię na kolację. I że sam sobie zawiąże krawat, bo moje ręce nie nadają się do tego. — Uśmiechnęła się smutno. — Poszłam do swojego pokoju. Po kilku minutach usłyszałam, jak czyścił marynarkę. Zawołał, że schodzi na dół. Powiedziałam: dobrze, mój drogi. Kiedy zamykał drzwi, przypomniało mi się, że miałam mu naszykować dwie czyste chusteczki. Pan na pewno już wie, co się potem stało. Mówiłam już o tym, mówiłam, mówiłam i powtarzałam tyle, tyle razy. Czy muszę powtórzyć jeszcze raz?

— Nie — powiedział H. M.

Potężny, z pięściami na biodrach stał na rozkraczonych nogach pośrodku pokoju. Słuchał całkiem spokojnie, ale jego opuszczone ku dołowi usta przybrały złowieszczy wyraz i wydawało się, że nawet imponująca łysina połyskuje groźnie. Pociągnął nosem.

— La-ła-ła — zanucił fałszywie H. M. — Słuchaj, synu — zwrócił się do Sandersa — ja też się nie lubię nachylać, ale to dlatego, że jestem gruby. — Wskazał palcem. — O tam, na podłodze przy prawym kółku w nogach łóżka. I tutaj, obok pani Constable. Zegnij kark, zobacz, co to jest i powiedz mi.

— Wygląda — odpowiedział Sanders, dotykając palcem na dywanie — na stearynę.

— Stearynę! — wykrzyknął H. M., drapiąc się po nosie. — r No i co?

Ponownie rozejrzał się wokoło. Na krańcach komody stały dwa chińskie lichtarze z zielonymi świecami. Sir Henry ciężko pochylił się nad nimi i dotknął knotów ręką.

— Zimne — powiedział. — Ale to nic nie znaczy, bo i tak ktoś zapalał te świece. Obie. Przyjrzyjcie się im. Czy to pani je zapalała? — zwrócił się do Miny.

— Dobry Boże, nie!

— Mielście może jakieś kłopoty ze światłem?

— Nie, z całą pewnością nie.

— Ale ktoś używał tych świec — upierał się H. M. — Nic pani o tym nie wie?

— Pojęcia nie mam. Niczego nie zauważyłam. — Przycisnęła dłonie do twarzy. — Czy to coś panu mówi? Dlaczego przykładają pan do tego takie znaczenie?

— Bo to mi nie gra. Jedyna rzecz, która nie pasuje ani do tego porządnego pokoju, ani do tej całej „brudnej” roboty. Ktoś spaceruje z zapalonymi świecami w domu, w którym jest tyle światła, że wystarczyłoby do iluminacji Piccadilly Circus. A tuż obok, za drzwiami, ktoś inny dostaje ataku serca, nikogo przy nim nie ma i umiera. Wielkie nieba! A poza tym...

Mina Constable była bardzo blada. Jej twarz wyrażała zdecydowanie.

— Czy skończył już pan, sir?

— Tak, przynajmniej w tej chwili.

— Ale ja nie skończyłam — Mina uśmiechnęła się życzliwie, a zarazem trochę nerwowo. — Wręcz przeciwnie, ja dopiero zaczynam. Zaraz wam pokażę. Bardzo proszę, czy możecie zejść ze mną na dół?

Sanders nie miał najmniejszego pojęcia, co zamierzała zrobić. Wyglądało na to, że dla H. M. również stanowiło to zagadkę. W milczeniu opuścili pokój i zeszli na dół. Mina poszła prosto do salonu, którego drzwi były szeroko otwarte. Pod ozdobnym kandelabrem z notatnikiem na kolanach siedział Masters i pracowicie coś pisał. Lawrence przyglądał mu się z zainteresowaniem. Obaj spojrzeli ze zdziwieniem na

Minę, która nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi. Na stoliku koło wnęki okiennej stał telefon.

Podniosła słuchawkę i położyła ją na blacie. Następnie, chwyciwszy lewą ręką przegub prawej dłoni, aby powstrzymać drżenie, zaczęła nakręcać numer. Miała przy tym dziwny wyraz twarzy.

— T-O-L — literowała Mina ze skupieniem. Przyłożyła słuchawkę do ucha.

Masters zerwał się gwałtownie z krzesła.

— Przepraszam bardzo — powiedział. — Pani Constable, prawda? Tak myślałem. Można wiedzieć, co pani robi?”

— O co chodzi? — spytała, odwracając rozjaśnioną przyjemnym uśmiechem twarz, na której widać jednak było wyraz zdecydowania. Prawie w tym samym momencie zapomniała o zadanym pytaniu i zajęła się telefonem. — Międzymiastowa? Mój numer jest Grovetop — trzydzieści jeden. Proszę o połączenie z Londynem Centralnym — dziewięćdziesiąt osiem siedemdziesiąt sześć. Tak... dziękuję... Co pan powiedział?

Masters w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

— Pytałem, co pani robi?

— Dzwonię do „Daily Non-Stop”. Znam kierownika redakcji literackiej W swoim czasie napisałam dla nich kilka artykułów. Nie znam tam nikogo innego, ale on mi może powie, z kim powinnam porozmawiać. Przepraszam... Halo? „Daily Non-Stop”? Czy mogę mówić z panem Bur-tonem?

— Chwileczkę — Masters położył duży palec na widełkach telefonu i przerwał połączenie. — Bardzo mi przykro, proszę pani.

Mina spojrzała na niego.

— Czy to ma znaczyć, że nie wolno mi telefonować z mojego własnego domu?

— Oczywiście, że pani wolno, oczywiście — uśmiechał się Masters chcąc zatuszować swój poprzedni gest. — Tylko... cóż... czy nie byłoby lepiej, żeby pani najpierw z nami porozmawiała? Co? My jesteśmy starzy praktycy. Może moglibyśmy coś poradzić. Co pani chciała im powiedzieć?

W ostrym świetle twarz Miny wyglądała staro i nie-

atrakcyjnie. Na pozór była zupełnie spokojna, ale kurczowo zaciśniętą ręką przyciskała spazmatycznie słuchawkę do piersi.

— Pan na pewno jest nadinspektorem ze Scotland Yardu. Proszę mi powiedzieć: jaką pan zna najgorszą obelgę?

— A, to trudne pytanie — odparł Masters przebiegle. — Jeżeli ma być ona użyta pod moim adresem...

— Myślałam o Hermanie Penniku. — Pogrzyżyła się w zadumie. — Był taki jeden temat, którym mój mąż potrafił go zawsze wyprowadzić z równowagi. Zastanawiam się, dlaczego? Ale można by zacząć od Oszusta przez duże O i zwykłego łobuza.

— A może zechciałaby pani oddać mi słuchawkę...? Aaa... dziękuję. Ślicznie.

Mina opuściła ręce. Rozejrzała się wokoło. Nie było chyba nikogo w pokoju, kto nie odczułby bolesnego skurczu serca na widok jej twarzy.

— Przeszłam przez piekło — wykrztusiła. — Na miłość boską, niech mi pan zostawi jakąś małą szansę odwetu.

Jej oczy napełniły się łzami.

W głębokiej ciszy rozległ się stuk słuchawki odkładanej na widełki i brzęk telefonu. Przez wysokie uchylone okno wpadało chłodne powietrze wieczoru.

— Rozumiem, droga pani, rozumiem — powiedział Masters z głębokim współczuciem. — Ale to nie jest sposób. Nie można przecież ni stąd, ni zowąd dzwonić do redakcji z obelgami pod adresem jakiegoś tam Pennika.

— Nie mam zamiaru tego robić.

— Nie?

— Nie. Pan Pennik twierdzi — ciągnęła bardzo cichym głosem — że może posługiwać się myślą jak bronią fizyczną. Głupi, marny kłamca. Chyba pan wie, że mój mąż był zamożnym człowiekiem. Zamierzam zrobić to wszystko, co Samuel chciałby, żebym zrobiła. Mój mąż nigdy się nie bał niczego ani nikogo w całym swoim życiu. Dobrze: pozwólmy jasnowidzowi użyć jego broni na mnie. Rzucam mu wyzwanie. To właśnie chciałam powiedzieć panu Burtonowi. Proszę, niech Pennik spróbuje mnie zabić. Zdemaskuję go. Jeżeli mu się co

uda, wszystko, co posiadam, pójdzie na — jakie pan chce — cele dobroczynne. Ale nic z tego nie będzie. Chcę zdemaskować jego oszustwa i zrobić coś dla biednego, kochanego Sama. I ostrzegam pana: podam to do wszystkich gazet angielskich, nawet jeżeli to jest ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Chase szybko podszedł do niej.

— Mina — szepnął — co ty wygadujesz? Bądź ostrożna. Proszę cię, bądź ostrożna!

— Och, bzdury!

— A ja powtarzam, że nie wiesz, co mówisz.

— Pan chyba również nie wie, co mówi — powiedział Masters zbliżając się do nich. — Panie i panowie! — Zakasłał i uderzył pięścią w stolik pod telefonem. — Bardzo proszę! Spokojnie! Zachowujecie się jak histerycy!

Z wielkim wysiłkiem zdobył się na uśmiech.

— O tak! Teraz jest już dużo lepiej. Proszę pani — ciągnął łagodniejszym tonem, zwracając się do Miny — może pani usiądzie obok mnie w tym dużym, wygodnym fotelu, dobrze? Przedyskutujemy sobie wspólni" tę całą sprawę. Panna Keen zajęta jest przygotowaniem kolacji — skinął głową w kierunku zamkniętych drzwi do jadalni, spoza których dobiegały odgłosy domowej krzątaniny — a tymczasem usiądźmy i spróbujmy zachowywać się rozsądnie...

— Jeżeli pan sobie tego życzy — zgodziła się Mina pogodnie. — Powiedziałam to, co miałam do powiedzenia.

Sam pan wie, że nie na długo będzie mnie pan mógł postrzycić od użycia własnego telefonu.

Masters przymrużył jedno oko.

— Chcę pani coś powiedzieć — zwierzył się Minie. — Zupełnie niepotrzebnie daje się pani wyprowadzać z równowagi na samą wzmiankę o Hermanie Penniku. I nie musi pani powtarzać każdemu, że on jest oszustem. My o tym dobrze wiemy.

Mina gwałtownie odwróciła się do niego.

— Mówi pan poważnie?

— A niech panią Bóg kocha! Od czego, pani myśli, jest policja? Oczywiście, że o tym wiemy. Mamy dowody na to.

Za otwartym oknem, na ścieżce wysypanej piaskiem rozległy

się czyjeś lekkie kroki.

Sanders — znajdujący się najbliżej okna — usłyszał je, ale nie wyrzwał. Podświadomie zarejestrował szelest i dopiero później przypomniał sobie o tym. Cała jego uwaga skupiona była na twarzach osób znajdujących się w zalanym powodzią światła salonie.

— Wszystko pękło jak balon — zapewnił Minę nadinspektor. — Mogę pani wyjaśnić pochodzenie tych jego cudów. Dlaczego? Dlatego, że właśnie dowiedzieliśmy się na podstawie pewnych rzeczy, które powiedział pan Chase, a dotyczących panny Keen, że w większości wypadków nasz „nawiedzony” przyjaciel Pennik udawał, że czyta wasze myśli, kiedy w rzeczywistości podawał informacje otrzymane poprzednio.

— Bardzo pana przepraszam — przerwał Chase z wielkim oburzeniem. — Nie zgadzam się na przekraczanie moich słów. Ja tak nie powiedziałem. Pan to powiedział.

Może pan to określić, jak pan chce. Ja się nie obrażę.

Och, gdybym tylko mogła w- to uwierzyć! — krzyknęła Mina. — Uważa pan, że to całe odczytywanie myśli również było oszustwem?

— Tak jest, droga pani — przytaknął z zadowoleniem Masters. Spojrzał na H. M., który podczas tej całej sceny nie odezwał się ani słowem. — Szkoda, że pana tam nie było, sir. Jak Boga kocham, to była przyjemność! — Nagle twarz Mastersa oblała się purpurą. — Walnął mnie dzisiaj ten facet obuchem po głowie, nie mówię, że nie. Gadać o moim dziecku! Uff! Ja mu dam za to całe gadanie o mojej małej i jej operacji! Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie on zdobył tę wiadomość. A jeżeli chodzi o rozgłos, to mogę dać do prasy taki biuletyn, że cała Anglia długo jeszcze będzie się śmiała na wspomnienie nazwiska Pennika. Poza tym, cóż, chce pani sprowokować Pennika, żeby na pani wypróbował swoją wyimaginowaną broń — rzucił na nią z ukosa spojrzenie, które trudno było rozszyfrować — może mu pani rzucić wyzwanie albo nie, ale to jest strata czasu. Ten facet nie zabije nikogo swoim zakichanym Teleforce. On nie mógłby nawet mrówki zabić packą na muchy. Jeśli nie mam racji, gotów jestem złożyć jutro rezygnację.

— Słuchajcie! — przerwał Chase gwałtownie.

Ostry ton jego głosu wywarł zamierzony efekt. Zapadła cisza, ustał brzęk kluczy w, czyjejs kieszeni i nawet Masters stłumił chrząknięcie. Tym razem wszyscy usłyszeli niewyraźny szmer na ścieżce przed domem. Larry podbiegł do okna. Sanders, który stał najbliżej, wychylił się przez nie. Gwiazdy świeciły czysto na ciemnym niebie; noc była cicha, a nieruchomo stojące drzewa odbijały w przejrzystym powietrzu zimny blask księżyca. Chociaż ścieżka była pusta, wyraźnie usłyszeli szybko oddalające się kroki, których odgłos, lekki i ostrożny zamilkł w cieniu wysokich drzew.

— To był Pennik — powiedział Chase nerwowo. — Jak sądzicie, co on teraz kombinuje?

ROZDZIAŁ XI

— Wszystko masz przygotowane do śniadania w pokoju kredensowym — powiedziała Vicky wciągając rękawiczkę. — Nie pokręć niczego. Świeży chleb jest w puszcze po prawej stronie, po lewej czerstwy, Jesteś pewien, że dasz sobie radę? I Miną musisz się zaopiekować.

— Możesz mi wierzyć albo nie — Sanders uśmiechnął się ironicznie — ale dosyć często zdarzało mi się, że robiłem sam sobie śniadanie. Na Boga, kobieto! To nie jest aż tak przerażające zajęcie, do którego należy się zabrać dopiero po całonocnych medytacjach i modlitwach. Wrzuca się parę jajek na patelnię z wędzonką i kiedy druga porcja tostów jest spalona, wiadomo, że śniadanie gotowe. A jeżeli chodzi o Minę, śpi jak kamień po morfinie, którą jej zaaplikowałam, i obudzi się dopiero około dziewiątej. Co cię gryzie?

Była czymś zaniepokojona. Mówił lekkim tonem, bowiem sam odczuwał również jakiś nieokreślony niepokój. Stali w stołowym pokoju pod ciężkimi, o ponurym kolorystyce obrazami, które — gdyby z nich zmyć patynę — przedstawiałyby najprawdopodobniej gigantyczne szynki i warzywa. Zapadł już wieczór, zegarek Sandersa wskazywał godzinę dziewiątą minut dwadzieścia.

Vicky wygładziła rękawiczkę. Na dywanie, tuż obok, stała jej torba podróżna. Poprzez otwarte drzwi frontowe słychać było przytłumione pulsowanie silnika samochodu policyjnego.

Naciągnęła drugą rękawiczkę.

— Wszyscy opuszczamy ciebie — mówiła. — Jak szczury. Jak szczury z tonącego statku... Najpierw uroczy Pennik odmawia przyścia na kolację. Następnie Larry decyduje, że ma niecierpiące zwłoki spotkanie i musi pędzić do Londynu...

— Ma konferencję z adwokatem. Wczoraj nam o tym mówił.

— W niedzielę wieczorem? O tej porze? Prosiłam go, żeby pomógł mi zmywać naczynia. Powiedział, że nie znosi tego rodzaju roboty. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to nasz Larry

lubi całkiem inne rzeczy. Ale nie chcę plotkować. Ja również dezerteruję, wiem o tym. — Szarpnęła ze złością rękawiczkę. — Najważniejsze jednak, gdzie u licha podziewa się Pennik? Dlaczego nie ma go w domu? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że pozostawiamy ciebie samego w towarzystwie Pennika i Miny?

— To nie ma znaczenia. Dam sobie radę z Pennikiem.

Jednakże wcale tego nie był pewien.

Mimo że nic o tym nie mówił, bardzo nie chciał, żeby odeszła. Policzki miała zarumienione, jej niebieskie oczy błyszczały nerwowym podnieceniem. Ubrana była w jasnoszary kostiumik, co stwarzało kontrast z kolorytem jej twarzy i oczu, lekkim makijażem i świeżością gładkiej cery. W jego pamięci na zawsze pozostał jej obraz, tak jak ją widział teraz, opodał stołu jadalnego, pod szklaną kopułą, w której załamywało się kolorowo wieczorne niebo i światło elektryczne.

Chwyciła torbę podróżną jedną ręką, a drugą wyciągnęła do niego.

— No cóż, do widzenia. To był weekend, co?

— Tak. Nieprędko go zapomnę. — Odebrał od niej torbę.

Byli już blisko drzwi, kiedy się zatrzymała. — John, bardzo cię proszę, jeżeli cokolwiek...

— Słuchaj — zaprotestował łagodnie. — Nie zamykają mnie przecież na całe życie w Bastylii. Jest mi tutaj bardzo wygodnie. Doktor Edge wpadnie chyba około godziny dziesiątej zobaczyć Minę. W spiżarni jest piwo. Poza tym duża biblioteka, w której nie miałem jeszcze czasu poszperać. A teraz zmykaj! Zobaczymy się we wtorek na kolacji, tak?

Skinęła głową. Mówił lekko i swobodnie i dopiero, kiedy znaleźli się we frontowym hallu, ukrywany dotąd niepokój odżył w nim na nowo. Nadinspektor i sir Henry Merrivale schodzili ciężko po schodach.

— Wsiadaj do samochodu — zwrócił się do Vicky. — Inspektor podrzuci cię na stację. — Poczekał, aż wyszła. Zamknął za nią starannie frontowe drzwi, aby upewnić się, że nie usłyszy ani słowa. Dopiero wtedy spojrzął z wściekłością na obu mężczyzn.

— Chciałbym zadać pytanie i proszę, abyście mnie nie

spławiali kpinkami jak poprzednio.

Masters zrobił zdziwioną minę. — Pytanie, doktorze? Oczywiście — odpowiedział z szerokim uśmiechem. — A co znowu chciałby pan wiedzieć?

— Co zamierzacie z nią zrobić?

— Z nią?

— Z panią Constable. Czy nie przyszło wam do głowy, że może znajdować się w niebezpieczeństwie?

Nigdy dotąd nie czuł się tak obco wobec tych dwóch ludzi, których uważał za swoich przyjaciół. Wspólna więź łącząca ich myśli i odczucia trzasnęła jak zerwana linia telefoniczna. Nawet H. M., w którym Sanders pokładał tyle wiary, pozostał ponury i kwaśny. Masters natomiast zareagował łagodnie, ale stanowczo.

— Cooo? Jakie niebezpieczeństwo ma pan na myśli, doktorze? Kto stanowi to niebezpieczeństwo?

— Pennik. Myślę, że nie zdajecie sobie sprawy z jego charakteru. Niezależnie od tego — czy zabija on falami myślowymi, czy też nie — cała rzecz polega na tym, że jest zdolny do popełnienia morderstwa. Czy nie słyszeliście wyzwania rzuconego mu przez panią Constable?

— Wyzwanie rzucone Pennikowi przez panią Constable? — powtórzył w zamyśleniu nadinspektor. — A tak, słyszałem. Ale słyszałem również bajeczkę o pastuszku, który krzychał: „wilk!” Pamięta ją pan?

— Pamiętam — odpowiedział Sanders — tylko, że w bajeczce wilk w końcu przyszedł.

— Cóż, nie będziemy się teraz martwić z jego powodu — Masters uśmiechnął się z wielką pewnością siebie. —

I pan też nie powinien się tym przejmować. Gdybym był na pana miejscu, postarałbym się o tym zapomnieć.

Doktor wpatrywał się w niego przez chwilę bez słowa.

— Ale kiedy Pennik wróci tutaj z powrotem...

— On nie wróci z powrotem, synu — wtrącił H. M. ponuro. — Byliśmy właśnie w jego pokoju. Zwiął. Podczas kiedy myśmy zajadali kolację, zapakował walizkę i dał nogę. Zostawił coś dla nas na toalecie. Masters, pokazał mu to pan?

Z własnego notatnika nadinspektor wyciągnął złożoną we czworo kartkę papieru i podał ją Sandersowi. Wewnętrzna strona zapisana była drobnym i starannym pismem:

Do Policji,

Żałuję, że pewne okoliczności — istniejące w chwili obecnej, jak i te, które mogą nastąpić — uczyniły mój pobyt w Fourways zarówno niedogodnym, jak i niewskazanym. Aby jednak nie być posądzonym o ucieczkę przed prawem, zawiadamiam, że zamierzam zatrzymać się w gospodzie „Pod Czarnym Łabędziem”, gdzie dzisiaj rano spotkałem nadinspektora Mastersa. Jest to jedyny zajazd, jaki znam w tej okolicy, i wywarł on na mnie, podczas mojej krótkiej wizyty, całkiem znośne wrażenie. Będę tam w każdej chwili osiągalny.

Z poważaniem

Herman Pennik

Ten list, pomyślał Sanders, może stanowić powód zarówno do ulgi, jak i niepokoju. Zwrócił go z powrotem Mastersowi.

— Ale pani Constable...

— Słuchaj, synu — powiedział H. M. spokojnym i poważnym tonem, którym bardzo rzadko się posługiwał. — Sam chciałbym myśleć inaczej. Ale jest faktem, że ta złamana rozpaczą pani Constable, nagadała nam mnóstwo rozmyślnych kłamstw.

Sanders nie mógł zrozumieć, czemu to go tak bardzo zaskoczyło, a w pewnym sensie nawet i zaszokowało. Zdawał sobie tylko sprawę z wrażenia, jakie to na nim wywarło.

— Chcesz wiedzieć jakie to kłamstwa, synku?

— Tak. Bardzo.

— Punkt pierwszy — mruzczał H. M., starając się palcami rozluźnić przyciasny kołnierzyk. — Cofnij się myślą do swojej przygody na piętnaście minut przed morderstwem, kiedy to lampa prababci rozwalila się z trzaskiem i Samuel Constable wpadł do twojego pokoju, żeby sprawdzić, co się stało. Dwie osoby dokładnie opisały to wydarzenie. Sam słyszałeś. Młody Chase i pani Constable. Chase powiedział nam, jak to pan

Constable wypadł ze swojej sypialni i w pośpiechu starał się wepchnąć boscie nogi w ześlizgujące się ranne pantofle. Każdy z nas na pewno niejednokrotnie miał tego rodzaju przygodę z rannymi pantoflami. Wiemy, jak to wygląda. Opis Larry'ego był tak szczegółowy, że wykluczał pomyłkę. Więc: albo to jest prawda, albo zwykłe kłamstwo.

— Ach, tak? — mruknął Sanders, choć wiedział dobrze, co teraz nastąpi.

— Ale z drugiej znów strony — co powiedziała na ten temat małżonka pana Constable'a? Powiedziała, że właśnie kończyła zawiązywać biednemu Samowi sznurowadła u lakierków, kiedy usłyszeli hałas i mąż wybiegł z pokoju. Tak więc, według jej relacji, Constable nosił lakierki i skarpetki. Opis również szczegółowy i dokładny. Więc: albo to jest prawda, albo zwykłe kłamstwo. I obawiam się, synu, że to jest kłamstwo.

— A dlaczego Chase nie mógł kłamać?

Sir Henry podrapał się w swoją potężną łysinę.

— Ponieważ ja znam kłamców, synu — powiedział ze znużeniem. — I ona nie należy do najlepszych. Ale jeżeli pan myśli, że to, co mówię, to majaczenie zakutego łba i chce pan więcej dowodów, proszę się cofnąć myślą wstecz! No? Co nosił Constable: lakierki czy ranne pantofle?

Sanders był dotąd zbyt zaabsorbowany innymi sprawami, aby zwracać uwagę na szczegóły. I chociaż chciał już zapomnieć o tamtej scenie, stanęła mu przed oczami jak żywa.

— Ranne pantofle — przyznał.

— Hmm... a więc to ona kłamała...

— Punkt drugi — ciągnął dalej H. M. — Sam pan słyszał, jak przysięgała ze wzruszającą prostotą i ferworem, że nic nie wie o świecach, które ktoś zapalił w sypialni jej męża. Na pewno! Nie spacerowała z zapalonymi świecami? Może nie zauważył pan, jak podskoczyła, kiedy zwróciłem na nie uwagę. Ale pomińmy to. W piątek wieczorem nosiła luźny, różowy szlafrok z jedwabiu, zgadza się? Myszkowaliśmy troszkę z Mastersem i znaleźliśmy ten szlafrok. Prawy rękaw, u dołu — zauważył pan chyba, jak bardzo drży jej prawa ręka — jest popačkany plamami stearyny.

Doktor tego nie kwestionował. Musiał uznać fakty Pamiętał dobrze Minę Constable skuloną na fotelu, różowy szlafrok, którym była otulona, miał plamy stearyny na rękawie.

— Rozumiesz, synu? — dopytywał się H. M. łagodnie.

Cisza.

— Jest jeszcze sprawa — kontynuował H. M. — tego albumu z wycinkami z prasy i zapiskami. Powiedziała, że go spaliła. A jednak nie zrobiła tego. Nie można spalić grubej książki czy notesu oprawionego w imitację skóry, bez pozostawienia jakichkolwiek śladów. Oczywiście, o ile nie wrzuciło się go do rozpalonego pieca. Ale w. tym domu nie ma pieców, nie ma nawet jednego kominka na drzewo czy węgiel, gdzie by można było to spalić. I nie ma śladu po spalonej książce czy okładce. To wszystko kłamstwa, synku. Niech sobie śpi. Gdybyśmy posiadali choćby najmniejszy dowód jej winy, zamiast w swojej sypialni najprawdopodobniej znajdowałyby się teraz w drodze do więzienia w Kingston pod zarzutem morderstwa.

— Piekło i szatani — mruknął Sanders.

— Aha — zgodził się potulnie H. M.

— Ale wszystko to, co powiedziała czy zrobiła... A w ogóle, co to ma za znaczenie, czy Constable nosił pantofle ranne, czy lakierki? Albo czy zapaliła świece, czy też nie? .

H. M. uśmiechnął się złośliwie. — Sam chciałbym znać odpowiedź na te pytania, synu. To są najbardziej zwariowane poszlaki, o jakich kiedykolwiek słyszałem!

— Czy pan również twierdzi — obstawał Sanders — że wszystko: jej płacz omdlenia, stany apatii i nawet wyzwanie, które chciała rzucić dziś wieczorem Pennikowi za pośrednictwem prasy, że to wszystko było grą i jedną wielką błagą?

Masters roześmiał się dobrodusznie.

— No, a co pan myśli? Zauważył pan, jak łatwo dała sobie wyperswadować to całe „wyzwanie”?

— Myślę, że pan nie ma racji.

— Wolny kraj, doktorze. Każdy człowiek posiada prawo do własnych opinii! A teraz, jeżeli pan pozwoli — Masters spojrzął na zegarek — sir Henry i ja musimy się stąd zabierać. Najpierw

do Grovetop, a potem do „Czarnego Łabędzia” na spotkanie z panem Pennikiem. Mogę panu w zaufaniu powiedzieć, że jest to rozmowa, na którą się bardzo cieszę! Kiedy sir Henry spotka się z Pennikiem...

— Ta kobieta jest w niebezpieczeństwie!

— W porządku, doktorze. Niech pan ją dobrze pilnuje. Dobranoc, dobranoc!

Otworzył drzwi i skinął porozumiewawczo głową w kierunku H. M. Sir Henry zdjął swój staromodny melonik i równie staromodne palto z wieszaka koło drzwi, przeszedł ciężko kilka kroków i zatrzymał się zwracając twarzą do obu mężczyzn.

— Przypuśćmy, że ten młody człowiek ma rację... — powiedział z namysłem do Mastersa.

Nadinspektor nieomal krzyczał: — Po co znowu wracać do tego samego? Mówiliśmy już o tym ze sto razy! Przecież wiemy, co myśleć o tym wszystkim, prawda, sir? — kończył błagalnym tonem.

— Och, no, pewnie. No, pewnie. My zawsze wiemy. Za każdym razem, kiedy komuś na tym świecie pośliznie się noga i zjeżdża pełnym gazem w dół, my wiemy, co o tym myśleć. Taaak, a teraz posłuchajmy żalobnego rozrachunku... Co m y myślimy?

Rozejrzawszy się ostrożnie, Masters zamknął drzwi i zwrócił się do Sandersa:

— Wiemy, że pani Constable z rozmysłem zamordowała swojego męża. Nie wiemy tylko, w jaki sposób to zrobiła. Ale mogę panu jeszcze coś powiedzieć. Nie czytałem żadnej z książek tej pani, nie ma obawy. Ale moja żona czytała wszystkie i powiedziała mi kilka rzeczy. W jednej z książek opisującej ekspedycję do Egiptu umiera cała grupa ludzi — dosięgło ich przekleństwo z grobu faraona! Ładne, co? A potem okazuje się, że wykończono ich za pomocą piekielnie cwanie zastosowanego tlenu węgla w postaci gazu. Moja żona nie pamięta dokładnie, jak to zostało zrobione, ale powiedziała, że było całkiem logiczne, możliwe do zastosowania w domu i że zastanawia się, czy jej się to uda, jeżeli będzie chciała mnie wykończyć.

Doktor wzruszył ramionami.

— W porządku, przyjmijmy i to — zgodził się. — A w innej jej książce: „Podwójne alibi”, ofiara umiera po podskórnym zastrzyku z insuliny. Włosy od tego stają dęba na głowie, bo naukowo jest to całkiem możliwe, a przy tym wyjątkowo trudne do wykrycia. Pamiętam, że w piątek wieczorem powiedziałem do niej coś na ten temat. Ale co z tego? Constable nie umarł od zatrucia tlenkiem węgla ani od insuliny. Czego to dowodzi?

Dowodzi — ciągnął Masters, uderzając palcem w otwartą dłoń — że tego rodzaju sztuczki nie są bynajmniej tajemnicą dla pani Constable. Jeżeli zdecydowałaby się kiedyś kogoś wykończyć — to są właśnie metody, na których by si-ę oparła. Coś nieuchwytnego jak wiatr a zarazem codziennego jak chleb. Coś, co można zrobić we własnym domu, przy pomocy wody i kawałka mydła; coś, co nie wymaga specjalnej wiedzy.

W tym momencie w wyrazie twarzy H. M. zaszła nieoczekiwana zmiana. Zmarszczył się, sapnął astmatycznie, wydał policzki... chwila... a gwizdnąłby z dezaprobatą; nagle jednak rysy jego wygładziły się, na twarz wystąpiły rumieńce podniecenia, a w oczach ukazał się wyraz bezmiernego zdziwienia.

— Och, co za ślepotą! — mruknął.

— Słucham, sir?

— Nieważne, synu. Rozmyślałem na głos.

Masters spojrzał na niego podejrzliwie.

— Rozmyślałem na głos! — powtórzył z uporem H. M. — Niech pan mówi dalej. To, o czym myślałem, nie dotyczy w najmniejszym stopniu pańskich wywodów. Myślałem o miejscu na dywanie, gdzie była plama ze stearyny. Niech mnie diabli wezmą, dlaczego pan zawsze podejrzewa, że chcę pana nabić w butelkę?

— Dlatego, że pan zawsze to robi — stwierdził krótko nadinspektor. — I jeżeli...

— Wracajmy do sprawy — przerwał Sanders. — No, a jak Pennik pasuje do tej całej historii?

— Jasne jak słońce, doktorze. Pennik wiedział o tym albo domyślał się. Wiedział, kiedy ona zamierza to zrobić i dlaczego.

Wykorzystał śmierć Constable'a dla podbudowania swojej zbrakowanej teorii na temat morderstwa za pomocą telepatii. Zwracam panu uwagę, że jego wypowiedzi przed wypadkiem były dosyć ostrożne. Co on takiego powiedział? Że pan Constable najprawdopodobniej umrze przed godziną ósmą. A kiedy tak się stało, facet zrobił się bezczelny i przysięgał, że on tego dokonał. Co? Jestem prawie pewien, że nie był w zмовie z panią Constable⁵. Po prostu posłużył się nią, jako narzędziem. Dlatego jest tak potwornie wściekła na niego. Pennik rozpowiada wokoło, że to on dokonał morderstwa — kiedy nasza Mina doskonale zna całą prawdę. Wie, że „jasnowidz” kłamie jak najęty. Pytam was więc: czy to nie tłumaczy wszystkich niekonsekwencji, na jakie napotykaamy w związku z tą całą sprawą?

— Tak, ale tylko w wypadku, jeżeli pani Constable jest pomyłona — powiedział H. M.

— Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

— To przecież jasne! Takie postępowanie byłoby już nazbyt skrupulatne! Pani Constable miałyby zionąć wprost żywiołową nienawiścią do Pennika za to, że bierze on na siebie winę za zbrodnię popełnioną przez nią?

Nadinspektor przez chwilę przeżuwał w myśli ostatnie zdanie. — Trudno powiedzieć, sir. Może to jest najlepszy sposób bluffowania.

— Całkiem możliwe. Nawet by pasowało, w tym wypadku jej „wyzwanie” jest również czystym bluffem Taaak, to zupełnie dobry materiał do oskarżenia, poza drobnym faktem, że nie moglibyśmy niczego dowieść, nawet gdybyśmy byli pewni, że to prawda. Jestem pewien, że część tego jest prawdą. Musi być. I na przekór twoim wszystkim niepokojom, synku — spojrzał złośliwie na Sandersa — ta kobieta jest równie bezpieczna w

5 Przy przeglądaniu moich notatek, dotyczących tej sprawy, nawet teraz jeszcze uderza mnie fakt, że wielokrotnie sugerowano powiązania szeregu osób z mordercą. Może więc przyczynię się do skierowania uwagi na właściwe tory, informując, że w tym konkretnym przypadku morderca działał absolutnie sam i nie miał żadnego współnika, który by wiedział o jego planach czy też w jakikolwiek sposób z nim współdziałał. Czytelniku, ostrzegłem Cię ponownie. — J. S.

Fourways, jak gdyby znajdowała się w sejfie Banku Angielskiego. No, musimy się już zabierać, bo inaczej córka Joe'ego Keena nie zdąży na pociąg. Dobranoc, synu. Idziemy, inspektorze.

Doktor Sanders stanął w drzwiach rezydencji i czekał, aż tylne światła samochodu policyjnego znikną wśród drzew. Powietrze było bardzo chłodne. Przez chwilę patrzył w górę, ponad drzewa, na ciemne niebo usiane gwiazdami. Następnie wszedł do domu, zamknął za sobą frontowe drzwi, przekręcił klucz i zasunął zasuwę. Pozostał sam w domu ze spokojną, przyjemną kobietą, która, według opinii dwóch jego kolegów, była morderczynią. Myśl ta wywołała uśmiech rozbawienia na jego twarzy. Nie wiedział, że ma przed sobą jedną z najgorszych nocy w swoim życiu.

ROZDZIAŁ XII

Jego pierwszym doznaniem tego wieczoru, jak wspominał później, było uczucie swobody i beztroski.

Jakim wielkim luksusem jest samotność; wreszcie będzie mógł poczytać trochę lub zastanowić się nad własnymi problemami. Może powinien był pogasić chociaż część zapalonych wszędzie świateł — ale odpowiadały one jego nastrojowi, a drobne oszczędności nigdy nie leżały w jego charakterze. Ciekawe, analizował własne odczucia, jak wrażliwe i naprężone stają się nerwy pod ciężarem milczenia. Najmniejszy szmer rósł i potężniał: odgłos kroków po kamiennej posadzce w hallu, otarcie rękawem o liście palmy.

Wszedł do salonu, którego lśniaca, dębowa posadzka przeraźliwie zaskrzypiała pod jego nogami. Pokój był wyziębiony, zamknął więc szybko wysokie okno. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się i zawrócił z powrotem do okna. Dokładnie zasunął rygle wewnętrzne. Wszystkie okna na parterze sięgały podłogi i zastanawiał się chwilę, czy były również zaryglowane. Właściwie tego rodzaju domy były niczym otwarte arkady.

Przeszedł do jadalni i w zamyśleniu spojrzął na wielkie, ciemne obrazy i masywny talerz stojący na kredensie. Przypomniało mu to, że wewnątrz powinna się znajdować nie dokończona butelka piwa. Wyciągnął ją, postawił na stoliku ze stuknięciem, które w ciszy zabrzmiało bardzo głośno, i otworzył drzwi serwantki. Umieszczone na tylnej ścianie lustro niespodziewanie odbiło jego postać. Wziął szklankę i porcelanową popielniczkę o wymyślnych kształtach, która z perwersyjną złośliwością wywracała się za każdym razem, kiedy strząsał do niej popiół.

Ciepłe piwo zaczęło się nadmiernie pieniać. Powoli napełnił szklankę, zapalił papierosa i zamyślony usiadł koło dużego, okrągłego stołu.

Taak, to mogłoby być bardzo interesujące, gdyby kiedyś

napisał monografię na temat medycznych aspektów uczucia, zwanego strachem. Oczywiście, pisano już o tym; ale dopiero, kiedy zanalizował fakty zawarte w raporcie dla Mastersa, zdał sobie sprawę z mglistości zagadnienia o popularnej nazwie: szok nerwowy. Całkiem nowa domena, istne ruchome piaski. Wiele osób w tym domu, łącznie z Vicky, znało to uczucie. A właśnie... Vicky... no i ostatecznie nie dowiedział się, co ona takiego widziała. Albo bardziej konkretny przykład: przypuśćmy, że Sam Constable umarł na skutek szoku wywołanego czymś, co przypadkowo widział lub słyszał, a może... nie był to przypadek?

Drzwi od kuchni, znajdujące się za nim, poruszyły się z przeciągłym zgrzytem.

Całą siłą woli stłumił impuls, który prawie że poderwał go z krzesła. Przeczekał ułamek sekundy i dopiero wtedy rzucił poza siebie obojętne spojrzenie.

Z góry przewidział, że nic nie zobaczy, i miał rację. Czuł się zażenowany swoją nerwową reakcją, którą spowodował zwykły, nagły ruch martwego przedmiotu. Wszystkie te drobne odgłosy – przeciąg, trzask, jaki wydaje kurczące się drzewo – odgłosy martwych przedmiotów, wywołują zawsze napięcie wewnętrzne i niepokój. Zauważył, że w kuchni było ciemno, ciemno było również w oranżerii widocznej poprzez szklane, zamknięte drzwi.

Tak, to nie był najlepszy czas do analizowania systemu nerwowego. Lepiej będzie wstać i coś zrobić. O, właśnie, powinien zajrzeć do Miny i sprawdzić, jak się czuje.

Zgasił papierosa, dokończył piwa i poszedł na górę. Zapukał do drzwi, nie otrzymał odpowiedzi, zresztą nie spodziewał się jej; znał działanie morfiny, którą zaaplikował pacjentce. Cicho otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Łóżko Miny było puste.

Rozrzucona w nieładzie pościel ukazywała pogniecione białe prześcieradło lśniące w blasku nocnej lampki. Poduszki odsunięto w kąt; zniknął szlafrok i ranne pantofle, które Mina zdejmowała przy nim, kładąc się potulnie do łóżka o godzinie dziewiątej wieczorem. Łazienka była również pusta. To małe,

nieoświetlone pomieszczenie, jak i ciemny pokój Sama stwarzały wrażenie czarnej pustki, w której nikt nie siedziałby dla przyjemności.

— Pani Constable! — zawołał.

Powinna odpowiedzieć.

— Pani Constable!

Trudno o bardziej niepokojące uczucie niż świadomość, że osoba, z którą się jest zamkniętym w jednym domu, słyszy nawoływanie i, z sobie tylko wiadomych przyczyn, nie odpowiada. Przypomina to jakąś koszmarną zabawę w chowanego. Zawołał jeszcze raz, ale Mina się nie odezwała.

Zaczął przeszukiwać pokój. Zastanawiał się przy tym, co należy powiedzieć, jeżeli znajdzie ją schowaną w szafie. A może tym razem rzeczywisty atak serca? Ale do tej teorii nie pasował brak szlafroka i pantofli rannych — w tego rodzaju wypadkach nie ma czasu na ubieranie się. Pośpiesznie przejrzał łazienkę, uderzył nogą w pomalowaną na brązowo obudowę piecyka elektrycznego i strącił z półki szklankę, która z piekielnym hałasem spadła do umywalki. Oprzytomniło go to trochę. Spokojnie i systematycznie zaczął przeszukiwać każdy pokój na pierwszym piętrze, łącznie z własną sypialnią. Następnie zeszedł na dół. Jego oczom, nawykłym do ścisłej obserwacji, nie uszła uwagi pewna drobna zmiana w hallu. Wysokie drzwi do salonu, które zostawił na oścież otwarte — były szczelnie zamknięte.

Kiedy otworzył je gwałtownym szarpnięciem, zaczął dzwonić telefon; w pierwszej chwili nie wiedział, co zrobić, bowiem niespodziewany, ostry dźwięk zagrał na jego nerwach jak na strunie. Rozejrzał się po salonie, ale nieustające dzwonicie telefonu rozdrażniło go. Lepiej odpowiedzieć. Uniósł słuchawkę i zauważył, że była jeszcze ciepła. Ktoś, dosłownie przed kilkoma sekundami, odłożył ją na widelki.

— Halo — usłyszał podniecony głos. — Czy to Grovetop trzydzieści jeden?

— Nie. Tak — odpowiedział Sanders, sprawdzając numer na tarczy telefonu. — O co chodzi?

— Tu redakcja „Daily Non-Stop”. Czy mogę mówić z panną

Shields?

— Z kim? Och! Przykro mi, ale panna Shields jest niezdrowa i bardzo żałuje, że nie będzie mogła...

— Wszystko w porządku, doktorze — przerwał mu głos Miny, która wyłoniła się zza jego pleców. Wyciągnęła z rękawa szlafroka szczupłe, lekko piegowate ramię i odebrała mu słuchawkę. — Halo? Tak, jestem przy aparacie. Dobrze, że pan oddzwonił. No co, uwierzył mi pan wreszcie, że to nie jest bujda?... Tak, tak, doskonale rozumiem, że musicie być ostrożni... Ale, w, każdym bądź razie, wydrukujecie tyle, ile możecie... Nie, o to się nie ma co kłopotać... Nie mogę już dłużej z panem mówić, naprawdę. Źle się czuję. Tak, dziękuję bardzo. Do widzenia, do widzenia.

Odłożyła słuchawkę na widełki i cofnęła się o krok.

— Przykro mi, że pana okłamałam — powiedziała po chwili milczenia, patrząc mu prosto w oczy. — Mówiłam im przecież, że nie powstrzymają mnie od korzystania z własnego telefonu. Natychmiast po ich odjeździe zeszałam tutaj. Czekałam. Na pewno chcieliby mnie powstrzymać.

Sanders również cofnął się do tyłu.

— Nie musi się pani tłumaczyć przede mną.

— Jest pan teraz zły na mnie.

(Oczywiście, że jestem zły. Kto, u diabła, nie byłby zły na moim miejscu?)

— Nie ma o czym mówić, proszę pani. Jeżeli ja chcę z siebie zrobić głupca, to już moja sprawa. — Przypomniało mu się, jak krzyczał na cały głos, szukając jej po pokojach. — Czy może mi pani powiedzieć, 'jakim cudem, po zażyciu sporej dawki morfiny, jest pani tak ożywiona?

— Wcale jej nie zażyłam — odparowała Mina z chorobliwym podnieceniem. Sanders wyczulonym uchem pochwycił historyczne zabarwienie jej głosu i złagodniał. — Udawałam, że łykam pastylkę, to bardzo łatwe. No, ale wreszcie zemściłam się na Penniku, zemściłam się na nim! Nie chcieli wydrukować wszystkiego, co im powiedziałam, bo twierdzą, że to by było zniesławienie lub oszczerstwo. Ale i tak wystarczy! Pan Vaudois będzie wyglądał jak stary osioł! Słyszał pan o tym?

Podróżowaliśmy okrętem z pewnym profesorem, który nazywał Pennika monsieur Vaudois. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale doprowadzało to Pennika do wściekłości. Ja mu za to poprawiłam humor!

Idę teraz na górę, wezmę lekarstwo i położę się spać.

– I to jak najszybciej. Już pani tu nie ma!

– Ale pan pójdzie ze mną, dobrze? Jestem tak bardzo sama i jakoś ciężiej znoszę samotność teraz niż w ciągu dnia. Wszyscy opuścili okręt. Tylko pan pozostał.

– Oczywiście, że będę pani towarzyszył.

W hallu na pierwszym piętrze zegar z epoki pradziadka wybił godzinę dziesiątą. W dwadzieścia minut później Mina Constable leżała w łóżku. Sanders otulił ją kocem, podał pastylkę, którą natychmiast połknęła i zaczął, aż lekarstwo zacznie działać. Skuliła się, nasunęła na głowę róg poduszki i bardzo szybko usnęła.

Doktor zbadał jeszcze jej puls, zgasił światło i wyszedł z pokoju. Jak to jest, zastanawiał się, kiedy schodził na dół, że Mina robi wrażenie Kompletnie uczciwego i szczerego człowieka, a łyże jak najęta..

Dziwne, ale ta cała historia z jej zniknięciem dobrze podziałała na niego. Wyleczyła go (albo może mu się tak tylko wydawało) z bezpodstawnego niepokoju. Jeden raz wystarczy. A jednak napięcie go nie opuszczało i wiedział, że nie ma co marzyć o śnie. Nawet perspektywa ciężkiego dnia pracy, jaki jutro miał przed sobą, nie mogła go skłonić do położenia się do łóżka. Kręcił się po domu, siadał, stałe jednak wracał do jadalni. Sprawdził i zamknął wszystkie drzwi i okna na parterze. Przejrzał w bibliotece niezbyt ciekawą kolekcję książek. Na stojącym zegarze wybiła godzina jedenasta.

Zbliżało się już pół do dwunastej, kiedy wydało mu się, że dostrzegł twarz Pennika zaglądającą przez szklane drzwi oranżerii.

Sanders potem sobie przypomniał, że szklanka, z której pił resztki piwa, wysliznęła mu się z palców i rozbiła o stół.

Od pewnego już czasu docierał do jego świadomości lekki szmer; szmer tak nikły, że przypominał bardziej wibrację czy

szum w uszach niż dźwięk. Kojarzyło mu się to z wodą. Oczywiście — zdał sobie sprawę z ulgą — mała fontanna, z której woda tryskała równie obojętnie teraz, jak i przed śmiercią Sama Constable'a. Spojrzał przez oszklone drzwi do oranżerii.

Nawet nie zauważył, kiedy zerwał się z krzesła. Przez sekundę pomyślał, że to jego własne odbicie w, blasku światła na szklanych drzwiach, dopóki nie zobaczył spłaszczonego o szybę nosa i palców Pennika. Zanim dopadł do drzwi i pchnął je, Pennik zniknął. Owionęło go gorące powietrze, pełne zapachów podzwrotnikowych roślin. Dokoła panowała cisza.

Wpadł do oranżerii i zaczął gorączkowo szukać kontaktu elektrycznego. Gdzież, u licha, znajduje się ten pstryczek? Nagle zatrzymał się i zdał sobie sprawę, że wszelkie poszukiwania są bezużyteczne. Jedno z wysokich okien oranżerii, które zamknął dokładnie przed paroma minutami, było otwarte. Droga do ucieczki.

Mina Constable?

Mina Constable, na górze i pod działaniem narkotyku?

Pobiegł na górę i wpadł bez pukania do ciemnego pokoju. Następnym razem alarm. Spała — jej oddech był regularny i spokojny. Ale Sanders już więcej nie ryzykował: zamknął drzwi od łazienki na zasuwkę, sprawdził okna, i kiedy wyszedł do hallu, zamknął drzwi od zewnątrz i klucz schował do kieszeni.

Cały ten nastrój nieuchwytej grozy gorszy był niż konkretne niebezpieczeństwo. A przecież widział Pennika, a może mu się tylko tak wydawało? Nagłe zdał sobie sprawę, że nie jest tego wcale pewien. Było to tylko wrażenie odebrane kątem oka, obraz wywołany jego rozbudzoną imaginacją, albo — aż wzdrygnął się na samą myśl — zjawą? Ale otwarte okno? A może zostawił je otwarte? Teraz, kiedy zastanawiał się nad tym, był prawie pewien, że wcale go nie zamknął.

Poczuł się trochę lepiej. Nie odszedł jednak daleko od sypialni Miny; usiadł w hallu na najwyższym stopniu schodów. Oddychał szybko, nerwowo, a jego myśli obracały się w Kółko jak tryby rozszalałej maszyny. Zapalił papierosa i obserwował snujący się dym. Zegar wybił kwadrans — za piętnaście minut

dwunasta. Uspokoił się już prawie zupełnie, wstał i zaczął schodzić w dół...

W tym momencie znowu zadzwonił telefon..

Podszedł do stolika i podniósł słuchawkę.

— Halo? — usłyszał przyjemny głos. — Czy to Grovetop trzydzieści jeden? Tu redakcja „Daily Trumpeter”...

Sanders ze znużeniem wpatrywał się w tarczę. — Przykro mi — powiedział — bardzo-mi-przykro-ale-żadnego- -exposé-nie-otrzyma-pan-tym-ra...

— Proszę się nie wyłączać! — powiedział nieznajomy z takim naleganiem w głosie, że Sanders, wbrew samemu sobie, przycisnął słuchawkę do ucha. — Niech pan nie przerywa połączenia, dobrze? Nie chcę żadnych informacji, to ja chcę pana o czymś poinformować.

— Co takiego?

— Czy panna Mina Shields dobrze się czuje? Wie pan, co mam na myśli?

— Nie, nie wiem, co pan ma na myśli. Oczywiście, że czuje się dobrze. Dlaczego?

— Można wiedzieć, kto mówi?

— Przyjaciel rodziny. Moje nazwisko Sanders. Dlaczego pytał pan, czy czuje się ona dobrze?

— Doktor Sanders? — zainteresował się żywo nieznajomy. — Doktorze, pan powinien o tym wiedzieć. Herman Pennik dzwonił przed chwilą do redakcji.

— Taaak? — przynaglił Sanders, chociaż dobrze wiedział, co nastąpi.

— Powiedział, że panna Shields najprawdopodobniej umrze przed północą. Podkreślił, że nie przyrzeka niczego ani nie twierdzi, że na pewno tak się stanie — sądzi jednak, że do tego czasu uda mu się ją zabić. Naturalnie, nie przykładamy wielkiej wagi do jego oświadczeń, ale pomyśleliśmy, że damy wam sposobność do zap...

— Zaraz! Czy wie pan, skąd on dzwonił?

Zapanowało krótkie milczenie. — Gospoda „Pod Czarnym Łabędziem”, o jakieś cztery mile od was.

— Jest pan tego pewien?

– Tak. Sprawdziłem.

– Kiedy on do was dzwonił?

– Przeszło dziesięć minut temu. Zastanawiamy się, doktorze, jak tę całą sprawę potraktować. Gdyby pan zechciał nam pomóc i złożyć oświadczenie...

– W tym wszystkim nie ma za grosz prawdy. Pani Constable śpi spokojnie w pokoju zamkniętym na klucz. Nikt się nie może do niej dostać. Wszystko jest w najlepszym porządku. Proszę to przyjąć jako moje oświadczenie.

Położył energicznie słuchawkę na widełki: wsadził rękę do kieszeni i palce zacisnął na kluczu do sypialni Miny.

Drrrr...! rozdzwonił się hałaśliwie telefon.

– Grovetop trzydzieści jeden? Tu redakcja „News-Record”. Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale pan Herman Pennik złożył nam dzisiaj zadziwiające oświadczenie. Przed chwilą znowu zadzwonił, powiedział...

– Wiem. Zamierza zabić panią Constable za pomocą, jak on to sam nazwał, Teleforce. Jest bardzo skromny i dlatego z góry nic może przyrzec, czy mu się ter uda i...

– Niezupełnie – przerwał mu głos rozmówcy. – To wszystko powiedział piętnaście minut temu. Teraz twierdzi, że pani Constable już nie żyje.

Przez chwilę Sanders wpatrywał się w białą tarczę telefonu. Nie czekając już na następne informacje, drżącą ręką odłożył słuchawkę.

Tym razem nie da się nabrać. Już raz wyobraźnia spletała mu figła: myślał, że widzi twarz Pennika w oranżerii za szybą, wówczas kiedy Pennik był w odległości czterech mil w gospodzie „Pod Czarnym Łabędziem”. Wszystko to było wytworem imaginacji. A jednak ciarki przebiegły mu po plecach na samo wspomnienie, jak wyraźnie rysował się na tle szyby nos i palce Pennika.

Ależ widział go przecież! Tak, na Boga!

Znowu zadzwonił telefon.

– Grovetop trzydzieści jeden? Tu redakcja „Daily Wireless”...

Tym razem Sanders odłożył delikatnie słuchawkę na widełki. Wyciągnął z kieszeni klucz, przeszedł przez pokój, minął hall i

dopiero w połowie schodów zaczął pędzić pod górę. Otworzył drzwi do sypialni Míny i zbliżył się do łóżka.

Kiedy w kilka minut później opuszczał jej pokój, myślał tylko o jednym. Mína leżała spokojnie w łóżku; nie był to jednak spokój snu, lecz bezwład śmierci. Biedna, nieszczęsna kobieta, którą na przekór wszystkiemu .tak bardzo polubił. Bezduszna, patetyczna w swej martwocie kukła... biedna Mína. A jednak myślał tylko o jednym: musi jak najszybciej uciszyć ten piekielny telefon, który dzwonił bezustannie.

Część III

STRACH **Dotycząca poszlak bez znaczenia**

TYTUŁY GAZET:

„DAILY NON-STOP”

poniedziałek 2 maja 1938

**MINA SHIELDS PRZEGRYWA POJEDYNEK Z MISTYKIEM
TAJEMNICZA SIŁA ZABIERA DRUGĄ OFIARĘ**

„DAILY TRUMPETER”

TELEFORCE: NOWA GROŹBA DLA LUDZKOŚCI?

„DAILY NEWS-RECORD”

**W WYWIADZIE UDZIELONYM NASZEJ REDAKCJI
JASNOWIDZ PRZEPOWIADA ŚMIERĆ NOWA BRON — FALE
MYŚLOWE CZYM JEST TELEFORCE**

„EVENING GRIDDLE” (Wiadomości z ostatniej chwili)

**SMIERC BEZ WIDOMEJ PRZYCZYNY — PANIKA OGARNIA
SURREY**

TELEFORCE ZAGARNIA NASTĘPNĄ OFIARĘ
(Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone)

...i słyszeliśmy wszystko. Tak, panie. Ja i mój stary słyszeliśmy, jak radio gadało. Mówię do niego: „Jeżeli nie

możesz wierzyć BBC, to komu możesz wierzyć, co?” Tak mi powiedziałam, słowo w słowo! Ale ludzie szumią na ten temat, gdzie się nie wdepnie, to maglują to samo. Sąsiadka, pani Drew — ta dopiero ma pietra! Jej Bert pracuje w garażu w Grovetop. „Nic, tylko go powiesić — mówi pani Drew — powiesić tego Pennika”. A ja na to: „Przedtem niech ukatrupi Hitlera, a potem to już zobaczymy”. A mój stary, panie, to cwana głowa, wszystko wie, czyta najładniejsze kawalki w gazetach, więc mówię do niego: „A co to jest ten Teleforce?” A on na to: „O, to wielka heca. Taka jak radio, tylko większa”. A ja mówię: „No, dobra, a co zrobią z Pennikiem? To chciałabym wiedzieć. Powieszą go? Co z nim zrobią?”

Panienko, proszę jeszcze jeden kufelek.

Zdrowie!

Tak, mój stary, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale jesteś reakcjonistą. Całkiem i po prostu, mój drogi. Mam nadzieję, że nie obrazisz się, ale sam musisz przyznać, że tak jest.

Czy wierzę w Teleforce, staruszkule? Dlaczego nie? Nauka, przyjacielu. Czasy się zmieniają. Trzydzieści albo czterdzieści lat temu powiedziano by, że radio to fantazja. No, a czy byłbyś innego zdania? Oczywiście, gdybyś żył w tym okresie? A teraz masz je pod nosem w swoim własnym domu, wystarczy tylko przekręcić gałkę i cześć! Rozumiesz, stary, co mam na myśli?

A niech to! Za trzydzieści, czterdzieści lat przekręcisz gałkę Teleforce i będziesz mógł zabić swojego szefa albo Hitlera, czy kogokolwiek będzie ci się podobało. A niech to diabli! Gdybym wiedział, jak to zrobić — tobym dopiero im wszystkim pokazał! Bum, bum, bum, bum! Jak karabin maszynowy. I cześć, promienny świecie, no nie, stary? Ale wracając do tego faceta Pennika. On nie może tego robić. Tacy ludzie jak Einstein czy Wells są potrzebni, ale... dziękuję, staruszkule, z najwięszą przyjemnością.

Panienko, proszę nalać jeszcze raz to samo.

Zdrowie!

Redakcja „Evening Griddle”? Tu Nowy Jork. Proszę mówić.
Halo „Evening Griddle”? Połączcie mnie proszę z panem
Rayem Dodsworthem.

Tak, no przecież wyraźnie mówię: Dodsworth.

Halo? Ray? Tu Louie Westerham z „Floodlight”. Jak leci,
Ray? Słuchaj, jak rany, co to za heca z tym czechosłowackim
naukowcem? Podobno zamierza wykończyć Hitlera
promieniami śmierci?

Co?

To wszystko bzdury?

Lepsza historia, niż myślałem! Nie bardzo rozumiem?

Co...?

Słuchaj, Ray, mogą na tym polegać?

Co za material! Święta krowa — to jest największa rzecz,
jaka — czekaj chwilę, czekaj. Zobaczmy, jak to będzie
wyglądało w tytule. T-E-L-... święta krowa...!

Co?

A dlaczego mam być ostrożny?

O rany, chłopie, po co się tym przejmować? To jest nowość,
tak? Wielka? Przypuśćmy, że nikt nie wie, co to jest? Myślisz,
że to powstrzyma ich od gadania? Sprzedamy Teleforce
Amerykanom, zobaczysz! Postaramy się o to, żeby wszyscy w
tym kraju: kobiety, mężczyźni i dzieci, rzucili się na Teleforce.
To jest dopiero sensacja! Czekaj, Ray, nie odkładaj słuchawki.
Chciałbym, żebyś porozmawiał jeszcze z...

Allo! Allo!

Proszę nie przerywać połączenia, mademoiselle! Włączył!
się jakiś idiota....

Brytyjskie Ministerstwo Wojny?

Bon!

Jest pan jeszcze, przyjacielu?

Moje najszczerze gratulacje. Wspaniale osiągnięcie. Może
oddać nieocenione usługi Aliantom.

Cha, cha!

Wiemy, o czym mówię, co? Bon! Maszyna, którą wasi inżynierowie skonstruowali?

Nie, nie, nic więcej nie powiem. Nie nalegam na pana. Dyskrecja jest konieczna. Chciałem złożyć gratulacje.

Pańskie uniki są znakomite. Ja również podejrzewam, że linia jest na podsłuchu

A może nasi inżynierowie mogliby się do was zgłosić?

Allo! Nie rozumiem. Wciąż te okropne trzaski, na pewno podsłuch. Tak, pogoda w Paryżu jest piękna. Pierwsze tulipany zakwitły już w ogrodach Tuileries.

Au revoir, mój przyjacielu.

ROZDZIAŁ XIII

We wtorek padało od rana. Kiedy doktor Sanders wysiadł z metra na Trafalgar Square i spieszył w stronę Whitehallu, gdzie umówił się na lunch z sir Henry'm i Mastersem — lało jak z cebra.

Powrót do miasta i codziennej krzątaniny, która nie pozostawiała wiele czasu na rozmyślania, sprawił mu dużą ulgę. Coś jednak prześladowało go nieustannie, podążając za nim krok w krok, by wreszcie dopaść z całą siłą na wielkomięjskim bruku. O ile tam, na wsi był to cichy szept, tu zamienił się w ryk miliona papierowych gardzieli. W restauracji zza stolika przy ogromnym oknie wstał Masters. Przez szybę widać było kiosk z gazetami, którego front oblepiony był od góry do dołu wybitymi tłustym drukiem tytułami sensacyjnych artykułów. Pennik stał się sławny.

Sir Henry spóźnił się tylko o kilka minut. Widzieli, jak w przezroczystym, nieprzemakalnym płaszczu okrywającym go całego wraz z kapeluszem wysiadł z auta i potoczył się w kierunku restauracji. Przypominał groźnego ducha z komiksów dla dzieci.

Wyplątał się z deszczowca, rzucił go kelnerowi i wciągnął w nozdrza zapach smacznych potraw. Nadinspektor nie czekał nawet, aż usiądzie.

— Sir, przyrzekł mi pan...

— Niech się pan nie wścieka — warknął H. M. — Żeby nawet na głowie stanął, to i tak nie mógłbym wczoraj wyrwać się do Fourways. Rozpętała się u nas wściekła awantura i jeżeli jakoś nie wykręcę się z tego, to wtrynią mnie do Izby Lordów. Bez specjalnych zabiegów — tak jak cebulę na targ Covent Garden.

— Kłopoty?

— Kłopoty? — powtórzył z ironią H. M. Wsadził róg serwetki za kołnierzyk i z zainteresowaniem studiował menu. — Och, nie. Trochę brakowało, a wybuchłby z tej całej hecy

międzynarodowy skandal, to wszystko. Uciszyliśmy to trochę... Chciałbym wiedzieć, co za błazen rozpoczął tę całą kampanię, wiecie, o czym mówię? No, że odkryliśmy promienie śmierci, które mogą rozwalić wszystkie bombowce znajdujące się w powietrzu poniżej pół mili nad ziemią. Podobno jesteśmy bardzo cwani. Cwani! Och, niech to kule biją! Za każdym razem, kiedy robi się większy bałagan, tacy faceci, jak ja, muszą wszystko wygładzać. I co dostajemy zamiast podziękowania: kopa w tyłek za to, że nie byliśmy bardziej aktywni.

Masters wskazał palcem przez okno na kiosk oblepiony wielkimi tytułami sensacyjnych artykułów.

— Jak to długo jeszcze potrwa?

— Nie mam pojęcia. Ostrzę sobie zęby na krótką, ale za to dosadną awanturę.

Ale przecież Pennik nie może niczego zrobić?

— Bez wątpienia, stary koniu. A jednak robi...

— To ta przekłeta kampania prasowa. Jak żyję, niczego podobnego nie widziałem. W pociągach, metrze, autobusach: nic tylko Teleforce, Teleforce, a co my zamierzamy z tym zrobić? Podają przy tym niezbyt przyjemne sugestie. Hańba — mówią. Jakiś bubek w pociągu złapał mnie za guzik i proponował, żeby wsadzić Pennika, tak jak to robimy z radem, do pudła obitego cyną. Wszystko przez tych dziennikarzy, chciałbym tylko wiedzieć, kto ich zachęca...

Sir Henry uderzył się jądłospisem w klatkę piersiową.

— Ja ich zachęcam — powiedział.

— Co?

— Pewnie. Powinieneś był zauważyć, synu, że żaden z artykułów nie zawiera twierdzenia, iż Pennik jest prawdziwym jasnowidzem. Taaak, czuwa się nad każdym słowem. I jeżeli uda mi się...

— Ale ludzie wierzą w te bzdury!

— Oczywiście. Zaostrza to apetyt Pennika. Jutro wieczorem usłyszycy go pan przez radio.

— Jak Boga kocham! — wrzasnął Masters. — A kto udzieli na to zgody, żeby gadał przez nasze radio?

— My nie. Ale Francuzi już zawarli z nim umowę. Radio

Bretania, godzina siódma piętnaście, program reklamowy, opłacony przez koncern Biskwitów Serowych Spreedona. Wicie, moi drodzy — H. M. podrapał się w łysą jak kolano czaszkę — pewne zjawiska naszego współczesnego życia nawet mnie potrafią zadziwić. Słowo. Jakim cudem pogadanka Pennika ma zachęcić do zjadania tego świństwa, to już zagadka ponad moje siły. Panie i panowie! Posłuchajcie Hermana Pennika, który wykańcza każdego, kogo zechce, nawet bez pomocy Biskwitów Serowych Spreedona!

— Przypuszczam, sir, że to pan zachęcił ich do tego, co?

— Hmmm. Powiedzmy raczej, że ich nie zniechęciłem.

Masters zamilkł. Popatrzył tylko na H. M. takim wzrokiem, jak gdyby znalazł dla niego dużo odpowiedniejsze miejsce odosobnienia niż Izba Lordów.

Sir Henry nie żartował.

— Nie na darmo nazywają mnie Starym — powiedział z wielką godnością. — Zaufajcie mi i wszystko będzie w porządku. Mam swoje powody. Tylko...

— Tylko...?

— Jeżeli to mi nie wyjdzie i potknę się na własnych pomysłach, nie chcę myśleć o tym, co będzie. Spakuję walizki i pojedę na Saharę w takim tempie, że nawet okiem nie zdążycie mrugnąć.

— Już to widzę — bąknął ponuro nadinspektor.

— Dlatego — ciągnął dalej H. M. z nieukrywanym już napięciem w głosie — musimy się zastanowić i natychmiast zabrać do roboty. Chcę znać każdy, nawet najdrobniejszy fakt. Chcę być przygotowany na każdą niespodziankę, bo Pennik chowa ich kilka w zanadrzu. Czytałem pana raport i sprawozdanie Sandersa. Pan dokonał sekcji zwłok Miny Constable?

— Tak — powiedział doktor.

— I znowu nie można było znaleźć przyczyny śmierci?

— Nie. Poza tym, że cały jej organizm był bardzo osłabiony i wyjątkowo podatny na...

— Każdą z tych metod, o których dyskutowaliśmy?

— Tak.

— Hmm. Chcę, żeby mi pan opowiedział wszystko dokładnie. Wszystko, co wydarzyło się po naszym odjeździe w niedzielę wieczorem. Wszystko, co dotyczy pani Constable — niech nas Bóg ma w swojej opiece! Zaczynaj, synu, tylko powoli i dokładnie.

Sanders przystąpił do składania relacji i trwało to prawie do końca lunchu. Opowiadał te wydarzenia może po raz dziesiąty, ale nie ominął niczego. Sir Henry z serwetką wetkniętą za kołnierzyk jadł i słuchał: od czasu do czasu zadawał pytania, trzymając widelec w powietrzu. Trudno było odczytać z jego twarzy, która część narracji Sandersa posiadała dla niego istotne znaczenie. Pod koniec posiłku odłożył sztucce i skrzyżował ręce na piersiach.

— Taaak — mamrotał do siebie — taaak..

— Wygląda na to, sir — przerwał Masters — że nasze założenia co do zgonu pana Constable były błędne.

— Aha, i dlatego wszystko wydaje się panu teraz dużo bardziej podejrzane, co? Jeżeli byłem tak pewny siebie, że jestem na właściwym tropie, to muszę teraz wytłumaczyć, jakim cudem zdarzyła się tego rodzaju pomyłka, no nie? Nie domyśla się pan?

— Ja nie chcę się domyślać, chcę wiedzieć. To znaczy, o ile pan wie?!

Sir Henry zastanowił się.

— Najpierw wypełnijmy luki. Czy alibi Pennika na niedzielę wieczór jest pewne? — zwrócił się do nadinspektora.

Masters skinął potakująco.

— Bez żadnych wątpliwości. Zatrzymał się, tak jak powiedział, w gospodzie „Pod Czarnym Łabędziem”. Pamięta pan, poszliśmy tam, żeby pogadać z nim, a on zaczął odstawiać ważniaka i odmówił widzenia się z nami.

— Co dalej?

— Co dalej? Przyjechał do „Czarnego Łabędzia” około godziny dziewiętej. I tak prawie aż do wpół do pierwszej przebywał w otoczeniu przynajmniej dwóch ludzi, którzy w każdej chwili mogą o tym zaświadczyć. Oczywiście, wiem, zrobił to rozmyślnie. Zatrzymał kilka osób już po zamknięciu

baru i popijali sobie. Myśleli, że jest stuknięty i wcale im się nie dziwią. Piana na ustach, oczy w ślup...

— Zatrzymał ich rozmyślnie, co?

— Naturalnie. Mieli go na oku nawet wtedy, kiedy telefonował, chociaż hałas był taki, że nic nie usłyszeli. Inaczej mówiąc, od godziny dziewiątej do kilka minut po dwunastej Pennik ma żelazne alibi.

Masters przerwał i odetchnął głęboko. Jego ciśnienie podskoczyło jak r tęć w barometrze.

— Ja wiem, on ma żelazne alibi — powtórzył. — Ale kłopot polega na tym, że doktor Sanders przysięga, że widział Pennika o godzinie pół do dwunastej w nocy w Fourways.

‘ Zapadła cisza. Sir Henry odwrócił się do Sandersa.

— Jest pan tego pewien, synu?

Doktor skinął głową. W deszczowe popołudnie londyńskie, w zatłoczonej i gwarnej restauracji powróciła do niego z całą mocą ponura atmosfera tamtego domu. Dokładnie pamiętał twarz Pennika przyciśniętą do szklanych drzwi oranżerii.

— Tak. To był Pennik albo jego duch, albo brat-bliźniak.

— Może jego duch — skomentował bez zdziwienia H. M. — Rodzaj widma astralnego...

— Do diabła z widmem astralnym! — wrzasnął Masters.

Krew zabarwiła mu policzki. — Och, jak Boga kocham!

Czy chce pan przez to powiedzieć, że Pennik nie tylko może wykańczać ludzi bez zostawiania najmniejszego śladu na ich ciele, ale i wysyłać swojego ducha, żeby za niego to zrobił? Niech to szlag trafi!

— A jak pan wytłumaczy ostatnie wydarzenia?

— Nie mam pojęcia. W każdym bądź razie, jeszcze nie teraz. Jedno tylko wiem, że powoli dostają bzik. Najprawdziwszego, przekłętego...

— Spokojnie, spokojnie! — H. M. pochylił się niezgrabnie w stronę Mastersa i obrzucił go pełnym potępienia spojrzeniem. — Niech pan nie wyskakuje ze skóry i przestanie walić pięścią w stół. Należy się zachowywać tak dystyngowanie jak ja. — Złośliwy uśmiech przemknął mu po twarzy. — Jestem tak bardzo dystyngowany, że nawet Squiffy nie miałby mi nic do

zarzucenia. Niech pan je ser, inspektorze, i myśli o Marku Aureliusz. Co słycać w domu? Jak się czuje mała?

Uśmiech czulości rozjaśnił twarz Mastersa.

— Dziękuję, sir. Operacja przeszła nadspodziewanie dobrze. Mała wesola jak szczygielek, żona jest przy niej w szpitalu. Wykończyło mnie trochę to wszystko i...

— No pewnie. Dlatego pana mózg nie pracuje.

— Bardzo zobowiązany jestem za komplement.

— Nie ma za co. Staram się wyciągnąć z pana najważniejszą informację. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, jedna rzecz tylko pana interesowała. Postanowił pan, żeby nie wiem jakie były przeszkody, zdobyć jakieś informacje o Penniku. No i co?

Masters opanował się.

— Wiem już trochę. Niewiele wprowadzie, ale dobre i to.

— Słucham, słucham...

— Część informacji podał mi Chase, a resztę zdobyłem, szczęśliwym trafem, od właściciela gospody „Pod Czarnym Łabędziem”. Staralem się dowiedzieć, kto to właściwie jest ten przeklęty Pennik, co on robi, skąd pochodzi. Wygląda na to, że pan Chase, z którym widziałem się wczoraj, jest ostatnią pozostałą przy życiu osobą, która wie cokolwiek na temat Pennika.

Sir Henry poprawił okulary na nosie.

— Bardzo pocieszająca wiadomość. Mam nadzieję, że podziala ona kojąco na Chase’a.

— Chciałem właśnie wspomnieć, sir, że hm... pozwoliłem sobie zaprosić tutaj pana Chase’a. Pomyślałem, że może chciałby pan z nim porozmawiać. Wracając jednak do poprzedniego tematu, to starałem się zdobyć informacje o Penniku poprzez uniwersytety, na których studiował: Oxford i Heidelberg, bo te dwie uczelnie podał mi pan Chase. Ale Oxford nic o nim nie wie, a Heidelberg jedynie, że jakieś piętnaście lat temu zdobył z wszystkimi honorami dyplom z metafizyki. Pisał wtedy swoje imię przez dwa „n”.

— Ciekawe.

— Następną i już ostatnią informację zdobyłem pod „Czarnym Łabędziem”. Wszyscy, którzy po raz pierwszy

zetknę!; się z Pennikiem, odnoszą wrażenie, że jest cudzoziemcem; ale nie wiedzą, dlaczego. Odniosłem identyczne wrażenie i niech mnie piorun strzeli, jeżeli wiem, dlaczego. Tak samo uważał właściciel „Czarnego Łabędzia” i chciał, żeby Pennik wpisał się w rejestrze dla cudzoziemców. Pennik się zdenerwował, odmówił i wyciągnął paszport Unii Południowo-Afrykańskiej. Właściciel ustąpił, ale że nie był zupełnie pewien, więc zanotował na marginesie rejestru numer paszportu. Wysłałem depezę z prośbą o szczegółowe informacje dotyczące właściciela tego dokumentu.

Sir Henry chrząknął: — Przyszła odpowiedź?

— Nie. Jeszcze nie.

— Wykaraska się i z tego — warknął H. M. — Niech mnie kule biją! Mam tylko nadzieję, że nie przegapią niczego. Weźmy dla przykładu morderstwo pani Constable. Nawet Masters musi się teraz zgodzić, że to było morderstwo. Ta dziwna historia w oranżerii, o której opowiedział nam Sanders. Sprawdziliście dokładnie dom i okolicę? Siady palców, pogubione spinki od mankietów i diabli wiedzą co jeszcze?

— Tak. Dokładnie przeszukaliśmy.

— Znaleźliście coś?

— Nie. Nic. Przeczesał każdy cal w pokoju pani Constable, każdy kącik w caluteńkim domu i nie znaleźliśmy absolutnie nic. Ślady palców? Cha, cha! Cała masa. Wszyscy o tej czy innej porze kręcili się po jej pokoju.

Pochylił się do przodu, uderzając nożem w stół

— Biedna kobieta. Leżała na łóżku w nocnej koszuli i tym swoim różowym szlafroku, pościel rozrzucona. Nie ma wątpliwości, że próbowała walczyć, z całych sił walczyć! Doktor może poświadczyć...

— Chwileczkę! Mówi pan o jakiejś szarpaninie?

Nadinspektor zawahał się i spojrział na Sandersa.

— Nie powiedziałbym tego — szepnął w zamyśleniu doktor i przed jego oczami pojawił się obraz kobiety nr. łóżku. — W każdym bądź razie nie było żadnych śladów, zadrapań czy czegoś podobnego. Powiedziałbym raczej, że wyglądało to na walkę, którą stacza człowiek w napadzie jakiegoś ataku.

Pamiętacie, jak określiła zachowanie się swojego męża w hallu na kilka sekund przed jego śmiercią? Coś podobnego.

W przegrzanej sali nagle powiało chłodem.

— Tak — argumentował H. M. — ale zastanówmy się nad konkretnymi możliwościami. Czy jest prawdopodobne, aby ktoś dostał się do jej pokoju?

Sanders zastanowił się.

— Dyskutowaliśmy z nadinspektorem na ten temat. Istnieje jakaś minimalna możliwość; ale ja osobiście w nią wątpię. Ostatni raz widziałem Minę Constable żywą o godzinie wpół do dwunastej. Kiedy opuszczałem jej pokój, zamknąłem drzwi od łazienki, a następnie drzwi do sypialni i wsadziłem klucz do kieszeni. Potem siedziałem przez piętnaście minut na schodach. Za piętnaście dwunasta, kiedy schodziłem na dół, zaczął dzwonić telefon. Odpowiedziałem na kilka pytań dziennikarzom i w przeciągu dwóch, najwyżej trzech minut byłem znowu na gorze.

Cóż, to nie jest „hermetycznie zamknięty pokój”. Zamki w drzwiach są staromodne i na upartego, prawie każdy mógł sobie z nimi dać radę. Dla przykładu, podczas kiedy siedziałem na schodach pod drzwiami, ktoś mógł wejść do środka przez łazienkę. Potem morderca mógł się z powrotem wydostać tą samą drogą — istnieje na to wiele sposobów — i klucz znajdujący się wewnątrz pokoju przekreślić od strony zewnętrznej. Zgoda. Ale jeżeli jej zgon nastąpił w wyniku użycia fizycznej przemocy i podczas mojej piętnastominutowej niasiadówki na schodach w hallu, jestem zupełnie pewny, że musiałbym coś usłyszeć.

— Hmm. Daleko pan siedział od drzwi, synku?

— Nie, około ośmiu stóp. I zakładając, jak Masters mówi, że ona walczyła przed śmiercią, musiałbym, jeszcze raz to podkreślam, coś usłyszeć.

— Rozsądnie powiedziane. Zamknij się — warknął H. M. na Mastersa, który usiłował dojść do głosu. — Nie było nawet najmniejszego szmeru?

— Nie, Nic. Co oznacza, że napadu dokonano podczas tych dwóch, trzech minut, kiedy rozmawiałem przez telefon. W

porządku. Zgodzę się nawet na to. W tym wypadku morderca musiał się przedostać przez zamknięte drzwi, po krótkiej walce zabić panią Constable w sposób, który nie zostawia śladów, i wydostać się z pokoju. Tak, morderca mógł to zrobić. I nawet, jak już mówiłem, zostawić za sobą drzwi zamknięte na klucz. Ale miałyby wyjątkowo mało czasu na dokonanie tego wszystkiego.

— Umarła więc samotnie... — powiedział w zamyśleniu H. M.
— tak jak jej mąż.

Twarz Mastersa przybrała nagle łagodny i uprzejmy wyraz. Zaskoczony tym niecodziennym widokiem H. M. zaczął przyglądać mu się z niedowierzaniem i podejrzliwością.

— Jedną chwileczkę, sir — wtrącił nadinspektor. — Mówił pan, że w niedzielę wieczorem tylko dwie osoby były w Fourways: pani Constable i doktor Sanders. Sądzi pan, że nie było tam kogoś trzeciego?

— Nie wiem. Nadal rozważamy czy wizja astralna Pennika nie zaszczyliła swoją obecnością Fourways.

Krótki epitet Mastersa zmienił wizję astralną Pennika w coś niezupełnie dystygowanego.

— ...Jestem w stanie dowieść, tak, dowieść, że tam była trzecia osoba.

— Słuchamy...

— Pamiętacie, panowie, dwie zielone świece na komodzie w pokoju pana Constable'a?

— Ja pamiętam — mruknął H. M.; oczy zwęziły mu się jak szparki.

— Zanim opuściliśmy Fourways w niedzielę wieczorem, zajrzeliśmy obaj do pokoju Pennika, ale facet już zwiął. Zgadza się? Zajrzeliśmy również do pokoju pana Constable'a. Zgadza się? Zwrócił pan moją uwagę na dwie zielone świece i pokazał mi, że były wypalone mniej więcej na pół cala.

— Tak? I co?

Masters wyprostował się w krześle.

— Po śmierci pani Constable te same świece były wypalone o dalsze pół cala.

ROZDZIAŁ XIV

— Nie bardzo wiem, co to ma z nami wspólnego — ciągnął Masters. — Albo ze śmiercią obojga Constable'ów. To nawet nie jest konkretny trop. — Roześmiał się z zażenowaniem. — Oczywiście, przyznaję, sam miałem kilka pomysłów. Najpierw przyszły mi do głowy zatrute świece. Czytałem takie opowiadanie, w którym facet został wykończony w ten właśnie sposób. Ale doktor Sanders przysięga, że żadna z ofiar nie umarła od trucizny w postaci stałej, płynnej czy też gazu. I to mi wystarczy.

Potarł w zamyśleniu czoło.

— Może to nie ma związku z obu morderstwami, ale według mnie świadczy o tym, że w niedzielę wieczorem w Fourways znajdowała się trzecia osoba. Sir Henry i ja wyszliśmy ostatni z tego domu i w tym czasie świece były w takim samym stanie, jak po śmierci pana Constable'a. Przypuszczam, że pan ich nie używał, doktorze?

— Nie. Oczywiście, że nie.

— Taaak. — Nadinspektor zawahał się chwilę. — I nie widzę powodu, dla którego pani Constable miałyby je zapalać. Zaraz. Wiem, co pan chce powiedzieć. Ona mogła to zrobić. Zgoda. Ale dlaczego? Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Nie. Tylko w wypadku samobójstwa. Ale przecież świece nie były zatrute, więc nie mogły nikogo zabić. Och, jak Boga kocham, odeślijcie mnie do domu wariatów!

— To koniec — odezwał się wreszcie H. M.

— Czyj koniec?

— Świec. Jestem przekonany, że wpadłem wreszcie na właściwy trop. Czy znaleziono na nich jakieś ślady palców?

— Nie.

— Żadnych nowych plam stearyny? Podobnych do tych, które znaleźliśmy w pokoju Constable'a?

— Ani plamki.

Sir Henry warknął z niezadowoleniem. — Tak. Tak właśnie

myślałem. Tym razem morderca był ostrożniejszy.

— Był ostrożniejszy? — szybko podchwycił Masters. — - Czyli był tam w niedzielę wieczorem, co? Kawa na ławę, sir. Jeżeli pan się domyśla, w jaki sposób to zostało zrobione albo jakim cudem ten przekłety Pennik mógł być w dwóch miejscach za jednym zamachem, albo co te cholerne świece znaczą, proszę mi powiedzieć prosto z mostu, zamiast wykręcać kota ogonem. Nie jestem w odpowiednim do tego nastroju.

Sir Henry chrząknął głośno. — Jeżeli chodzi o ścisłość, to i ja również nie jestem w odpowiednim nastroju. Niech mnie kule biją! Czy nie zna pan takiego uczucia, inspektorze, że jest pan na granicy jakiegoś odkrycia, jeszcze trochę, troszeczkę i prawie... — Przesunął zaciśniętymi pięściami po obrusie. — Prawie! To wszystko. To tak, jak gdyby ktoś próbował przypomnieć, sobie dokładnie sen. Radziłbym panu unikać tego rodzaju psychicznych doświadczeń. Niech mi pan powie jeszcze jedną rzecz, a potem ja wam powiem coś ciekawego. Znaleźliście ten duży album z wycinkami i notatkami pani Constable?

— Nie.

— Szukaliście dokładnie?

— Pytanie! Czyśmy szukali dokładnie? — powtórzył Masters z nieukrywaniem sarkazmem. — Komisarz, jego ludzie i ja przejrzelśmy każdy cal w tym zakichanym domu. Każdy cal! I nie znaleźliśmy nic. Ale nie zdziwiło mnie to ani trochę. Pod koniec weekendu wszyscy goście razem z bagażem wynieśli się z domu. W ten sposób wy- wędrował album — w walizce czy torbie podręcznej. Ktoś go zwędził.

— Całkiem możliwe. Tak. Mam tylko jedną zasadniczą obiekcję: po prostu nie wierzę w to. Powiedziałem już i powtarzam jeszcze raz: Mina Constable ukryła ten album. Było to wypisane na jej twarzy, kiedy ją o to zagadnąłem. I mogę się założyć o kufel piwa, że on jest nadal w tym domu.

Nadinspektor z wysiłkiem opanował wybuch wściekłości, wywołany niewiarą w jego skrupulatność zawodową.

— Doktorze! — podniósł głos. — Tylko pan widział ten album. Jakich on jest rozmiarów?

Sanders zastanowił się.

— Tak, mniej więcej, osiemnaście cali wysokości, cal grubości i jakieś dwanaście cali szerokości.

— Osiemnaście cali... — Masters uniósł rękę na odpowiednią wysokość — i do dwunastu cali szerokości. To kolos a nie album. Rzuca się w oczy. I do tego oprawiony w grubą i sztywną imitację skóry. Tak, słusznie; nie mogła tego spalić ani zniszczyć. Poza tym pani Constable w ogóle nie opuszczała domu. Sir Henry, gdzie według pana ukryty jest ten album?

— Nie wiem, synu. Jestem stary uparciuch.

— To nic nowego. Myśli pan, że z tego albumu mogliśmy dowiedzieć się, jak ten cały hokus-pokus został zorganizowany?

— Mniej więcej.

— Jeżeli tak, to na miłość boską powinno się taką rzecz zakupić dla narodu i wsadzić do Muzeum Brytyjskiego! Po pierwsze: zawiera opis czegoś, co jest niewidoczne. Po drugie: wyjaśnia sekret, dlaczego dwie zielone świece wypalają się o następane pół cala za każdym razem, kiedy jakaś osoba umiera. Po trzecie: dowiemy się z tego, jak Pennik może znajdować się w dwóch miejscach naraz: w barze wiejskiej gospody i w oranżerii domu odległego o cztery mile...

— Hmm. Trafił pan w sedno. Pennik stanowi problem. Zresztą, może mniej skomplikowany, niż nam się wydaje. Obserwowałem go trochę i...

— Obserwowałem go trochę? — powtórzył jak echo Masters.

— Ależ, przecie pan go jeszcze nie widział! Kiedy pojechaliśmy „Pod Czarnego Łabędzia” w sobotę wieczorem, ten przeklęty facet schował się przed nami. Nie widział go pan dotąd ani razu.

— A właśnie, że widziałem — oznajmił spokojnie sir Henry. Zdjął okulary, co sprawiło, że jego oczy robiły wrażenie skrytych i dalekich, a znana od wielu lat twarz stała się zupełnie obca. Uniósł szkła pod światło, obejrzał i założył z powrotem. Ale przez chwilę zarówno Sanders, jak i Masters ujrzeli prawdziwą twarz Starego.

— A właśnie, że widziałem go — powtórzył. — Podobnie jak się wydarzyło Chase’owi w pewnych interesujących, zresztą,

okolicznościach, nie spotkałem go, nie rozmawiałem z nim, ale go widziałem.

— Kiedy, gdzie?

— Ostatniej nocy, w Złotej Sali hotelu „Corinthian”. To taka wytworna restauracja. Dobrze mnie traktują w domu, nie ma co! Mam dwie córki, którym sprawia największą przyjemność, kiedy nie dadzą mi się wyspać. Każda moja bezsenna godzina to dla nich wygrana. Wyciągnęły więc mnie po teatrze na kolację. I kogo widzimy przy stoliku? Herman Pennik w całej swej okazałości, krygujący Się jak panna na wydaniu. Jadł kolację w towarzystwie Vicky Keen.

Nadinspektor gwizdnął przeciągle.

Sanders zaś zastanawiał się, czy istnieje na tym świecie ktokolwiek godny zaufania. Spojrzał na H. M., ale wyraz jego twarzy był bardziej nieprzenikniony niż zwykle.

— No i co z tego? — wzruszył niedbale ramionami. A jednak poczuł ostre ukłucie zazdrości. — Kto jej może zabronić? Dzisiaj wieczorem ja zabieram ją na kolację. Ale nie na moją kieszeń są takie lokale jak „Corinthian”.

— A może — wtrącił z podnieceniem nadinspektor — ta młoda dama jest w, znowie z Pennikiem...!

Ale H. M. machnięciem ręki rozwiął jego nadzieje.

— Bzdury! Pennik z nikim nie jest w znowie, to samotny wilk. Nie widzicie, do czego zmierzam? W wytwornej restauracji siedzi Victoria. Elegancka, ładna, że aż palce lizać. Atmosfera jest, co? A jednak była panicznie przerażona. Spod oka cały czas obserwowała Pennika, nawet wtedy, kiedy on kiwał ręką na kelnera.

Przerwał.

— A jeżeli chodzi o Pennika, to widoczne było, że jego również coś dręczy. Chociaż restauracja przy barze urządzona jest z przepychem — złocenia, plusze i Bóg wie co, ale to jest maleńkie pomieszczenie. Kiedy jest tam tłoczno, normalnemu człowiekowi trudno wytrzymać, a cóż dopiero takiemu Pennikowi. Sam wam przecież mówił, że jego nerwy nie wytrzymują zamkniętej przestrzeni. Podtrzymywał go jedynie widok panny Keen. Facet zakochał się w niej na zabój i bardzo

mi się to nie podoba. Problem jest poważniejszy, niż się na pozór wydaje.

Spojrzał z zakłopotaniem na Sandersa.

— Nic dotąd nie mówiłem o pana sprawach, synu. To, co zaczyna pan odczuwać dla córki Joe'ego Keena, mogło zostać wywołane podświadomym żalem do Marcji Blystane albo też może być prawdziwym uczuciem. Ale to nie jest ważne w tym momencie. Ważne jest natomiast coś innego: jeżeli nadal w takim tempie będą się sprawy rozwijać, to, przysięgam na moje owłosienie — tu z dumą pogłaskał się po łysej czaszce — że między obu panami dojdzie do cholernej awantury. Zastanowił się pan nad tym?

— Nią,

— To niech pan pomyśli o tym, synku — powiedział H. M. ponuro. — Bo Masters mi mówił, że już raz... halo!

Przerwał i ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się nowo przybyłym. Przez obrotowe drzwi, otrząsając deszcz z płaszczy, weszli Victoria Keen i Lawrence Chase. Burza, która zaczęła już przycichać, rozpętała się z nową siłą. Światło błyskawicy przecięło ołowiane niebo, rozległ się potężny huk grzmotu i deszcz jak kurtyna zakrył Whitehall.

Chase przesunął melonik na przód głowy i woda grubymi kroplami skapywała mu z ronda.

— Dobry wieczór, dobry wieczór — 'przywitał się. — Ten z panów, który powie: „o wilku mowa, .a wilk tu”, otrzyma nagrodę za najbardziej oklepany frazes. Tak jakoś mi się wydaje, że przerwaliście wam interesującą dyskusję na temat Vicky albo mojej skromnej osoby. Czyż nie mam racji? — jakby to powiedział nasz jasnowidz.

Vicky i Sanders spojrzeli na siebie i prawie natychmiast odwrócili oczy w innym kierunku.

— Ma pan rację — zgodził się potulnie H. M., kiwając ręką na kelnera. — Siadajcie, moi drodzy. Napijemy się kawy i zapalimy dobre cygarka?

— Ja obejdę się bez cygara — uśmiechnęła się Vicky. Zdjęła kapelusz i odgarnęła ręką do tyłu Lśniące, brązowe włosy. Sanders przystawił jej krzesło. — I mogę posiedzieć tylko

chwilę, nie przysługuje mi, tak jak to pewnym ludziom, dwie i pół godziny na lunch. Wracalam właśnie do pracy, kiedy spotkałam tego kusiciela i... po prostu, byłam ciekawa.

Larry położył papierośnicę na stole.

. — Jeżeli chodzi o ścisłość — przyznał się — ja również byłem ciekawy. I nadal jestem.

— Rzeczywiście? — zapytał Masters uprzejmie. — A co takiego pana interesuje?

— Wiele rzeczy, drogi inspektorze. Między innymi, dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć? Czy zaszło coś nowego? To znaczy, poza ostatnim wypadkiem. Mój Boże, biedna Mina!

Przysunął bliżej krzesło. Jego powieki były mocno zaczerwienione.

— Wydaje się to wprost niemożliwe. Najpaskudniejszy bigos, jaki kiedykolwiek wymyślił człowiek, potwór czy diabli wiedzą kto! Spójrzcie przez okno — tytuły sensacyjnych artykułów. Rozejrzyjcie się wokół siebie, wszędzie gazety. Na naszym stole, sąsiednim i na każdym innym! — Spojrzał bystro na swoich rozmówców. — Nie sądzicie chyba, że ktoś tutaj wie, że jesteśmy zamieszani w tę całą historię?

— Jeżeli pan nie będzie mówił ciszej, to za chwilę wszyscy będą wiedzieli.

Chase skulił się.

— Przepraszam — szepnął. — Ale ostrzegąłem Minę i nie chciała mnie słuchać. Niech wam się nie wydaje, że wierzę w jakąś nadnaturalną siłę tego faceta, nie, tylko chodzi mi o to, że te rzeczy powtarzają się. Jak ja pozbieram się w tym wszystkim? Chyba wiecie, że Sam Constable był moim dalekim krewnym?

— Taaak? — zaciekawił się Masters.

— Tak. Trzeba było dokładnie przeczytać nekrolog. Nazwisko jego ojca było Lawrence Chase Constable. Ja jestem dalszym kuzynem. Forsy jednak po nim nie dziedziczę, nie ma tak dobrze.

— Nie?

— Nie. Poza stu funtami, które się w ogóle nie liczą. Problem polega na tym: kto po nim dziedziczy? Powiem wam coś, ale

proszę o dyskrecję.

— Oczywiście, oczywiście!

— Testament Sama — tłumaczył Larry, otwierając papierośnicę — zawiera nazwisko jednego spadkobiercy. Wszystko, co posiadał, pozostawił całkowicie i bezwarunkowo swojej żonie. Ale Mina nigdy nie myślała o takich sprawach i nie zostawiła żadnego testamentu. A przy tym nie ma ona rodziny ani krewnych. Co oznacza, że majątek Miny łącznie z jeszcze większym majątkiem Sama przejmie skarb państwa.

To z kolei wywoła wielką burzę, bo zostanie zakwestionowane przez krewnych Sama — perorował z podnieceniem Chase. — Zaznaczam, że ja w tym nie wezmę udziału! Po pierwsze, razem ze starym ramolem sir Johnem Riche'em mianowany zostałem wykonawcą testamentu j kuratorem majątku Samuela. Po drugie, pozostali jego krewni to rodzona siostra i dwaj kuzyni... Jeżeli wygrają sprawę, to siostra zagarnie większość, a to, co pozostanie, przypadnie w udziale kuzynom, więc gdybym nawet chciał, i tak nic z tego nie będzie. Tak wygląda cała sytuacja. Przedstawiłem ją wam szczerze i bez niedomówień. Na mnie zwali się harówka przy administracji majątku i zamiast podziękowania otrzymam solidny kopniak. No, cóż! Ten po trzykroć przekłęty Pennik...

Przerwał. Widocznie zdecydował, że nic więcej nie należy mówić. Strzepnął pyłek z marynarki i zapalił papierosa.

— A to pech — mruknął ze współczuciem Masters.

— Cóż, zdarza się. Nie ma znaczenia. Jedyne, co ma znaczenie, to to, że biedny, stary Sam i Mina nie żyją.

— Tak. Ale...

— Co, ale?

Zachowujący się dotąd z podejrzaną wprost uprzejmością nadinspektor miał w zanadrzu przysłowiową bombę. Czekał tylko na odpowiedni moment, aby zrobić z niej użytek.

— Nic, proszę pana. Ale w tym towarzystwie lepiej nie mówić zbyt ostro o Hermanie Penniku.

— W tym towarzystwie?

— Chciałem powiedzieć, w obecności panny Keen.

— Co Vicky ma z tym wszystkim wspólnego?

Masters zrobił zdziwioną minę.

— To nie wie pan? Panna Keen jest w wielkiej przyjaźni z panem Pennikiem. Prawda, proszę pani? Nazajutrz po śmierci Miny Constable spędziła pani z nim wieczór w luksusowej restauracji...

Vicky milczała.

Siedziała zupełnie nieruchoma na krześle obok Sandersa. Głowę miała lekko pochyloną i widział tylko jej Lśniące, o ciepłym odcieniu starego brązu włosy, krótkie loczki za uszami i delikatną linię szyi wyłaniającej się ze skromnej, granatowej sukienki. Ale słyszał jej przyspieszony oddech.

Nieprzyjemną ciszę przedłużyło nadejście kelnera. Postawił z brzękiem filiżanki z kawą na stole i oddalił się.

Dopiero wtedy podniosła głowę. Zwróciła się do H. M.

— Sir Henry, dlaczego pan mnie tak bardzo nie lubi?

— Ja? Nie lubię pani?

— Tak. Pan. Czy dlatego, że jest pan przyjacielem ojca narzeczonej doktora Sandersa, sir Denisa Blystone'a? Tak?

— Moja droga, nie mam pojęcia, o czym pani mówi. A co ma z tym wszystkim wspólnego Denny Blystone?

— Nieważne — zaczęła nerwowo bawić się pudełkiem zapalek leżącym na stole. — Widziałam pana wczoraj wieczorem w hotelu „Corinthian”. Obserwował pan nas bez przerwy. Potknął się pan nawet specjalnie o najbliższy stolik, żeby sobie nas dokładnie obejrzeć. Przypuszczam, że to właśnie pan powiedział nadinspektorowi o tym spotkaniu?

Przez moment H. M. nie odzywał się. Wydawał się dziwnie zmieszany. Mruczał coś do siebie, powoli wybierając cygaro z pudełek, które na tacce podsunął mu kelner.

— Cóż... przecież była tam pani...?

— Tak. O Boże, tak! Byłam.

— Z własnej woli?

— Z własnej woli.

— „Corinthian” nie jest zamkniętym klubem. W każdej chwili mogli się zjawić dziennikarze...

— Zgadza się. Dopadli nas, kiedy wstawaliśmy od stolika.

— Lubi pani tego rodzaju przygody?

— Nienawidzę — rzuciła z przejęciem Victoria. Odłożyła pudełko zapalek i po chwili mówiła już znacznie spokojniej. — Posiada pan dużo siły, sir Henry. Jest to rodzaj wewnętrznej siły, która każe innym ludziom myśleć i odczuwać tak jak pan. Dlatego proszę, żeby pan nie wyciągał wniosków, zanim nie pozna pan motywów takiego czy innego postępowania.

— To nie leży w moich zwyczajach — odpowiedział równie spokojnie H. M. — Przyznaję, gapilem się w waszym kierunku, ale daję słowo, że nie ze względu na panią. Chciałem obejrzyć ręce Pennika i dlatego... hmmm... potknąłem się obok waszego stołu.

— Ręce Pennika? — w. jej głosie zabrzmiało szczere zdumienie.

— Tak — potwierdził H. M. — I nie wykluczam możliwości, że pani intencje są lepsze, niż to się na pozór wydaje.

Victoria westchnęła z ulgą i oparła się wygodnie o oparcie krzesła. Śmiech Sandersa załagodził napiętą atmosferę.

— Czy może mi ktoś powiedzieć, o co tu chodzi? — zapytał. — Nie zebraliśmy się chyba po to, aby dyskutować o towarzyskich spotkaniach. Dlaczego Vicky nie może iść na kolację, z kim jej się podoba?

— Oczywiście. Dlaczego nie? — zapytała Vicky chłodno. — Wspomniałam o tym tylko dlatego, że nadinspektor zrobił aluzję...

— Ale panno Keen, to...

— A poza tym — ciągnął dalej Sanders. — Ja dzisiaj z nią idę na kolację. Tak, Vicky?

— Tak, oczywiście, John. Tylko...

— Idziesz ze „mną”?

— Tak, tak, oczywiście. Zresztą, to nie jest odpowiednie miejsce do rozmowy na ten temat. Wybaczcie, panowie, ale muszę już wracać do biura. — Dopiła szybko kawę, wstała i narzuciła nieprzemakalny płaszcz. Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Zachowywała się ze spokojną pewnością siebie: była w tym rezerwa i opanowanie.

— W porządku — powiedział wesoło Sanders. — Przyjadę po ciebie punktualnie o wpół do ósmej. Nie spóźnij się.

— John...

— Zaraz zawołam taksówkę. Nie możesz w taką psią pogodę maszerować aż na Richmond Terrace.

— John, chcę z tobą chwilę pomówić. Dobrze? Panowie nam wybaczą.

— Proszę pani — zaczął nadinspektor, przyglądając się jej z zainteresowaniem — może to i nie jest nasza sprawa. Z drugiej znów strony, proszę się nie gniewać, może i jest. Mogę się z panią założyć, że wiem, co pani chciała powiedzieć doktorowi. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy tego przekłętego Pennika albo ludzi, z którymi przebywa. Dlaczego nie może pani dzisiaj iść na kolację z doktorem...

Masters, nie kończąc zdania, zerwał się gwałtownie na równe nogi.

Na zewnątrz, za wysokim, podłużnym oknem przemknął się w deszczu jakiś mężczyzna. Zatrzymał się przed restauracją, pchnął obrotowe drzwi i wszedł do środka. Zdejmując przemoczony płaszcz i kapelusz Herman Pennik uśmiechnął się do nich i równocześnie gestem nie cierpiącym zwłoki skinął na kelnera.

ROZDZIAŁ XV

Drzewo mangowe rozrastało się.

Przybywały wciąż nowe pędy, oplatając wszystko jak liany. Takie niepokojące raczej skojarzenie uporczywie nasuwało się Sandersowi, ilekroć widział Pennika.

Najgorsze było to, że wszyscy musieli udawać, iż spotkali się na najzwyklejszym w. świecie lunchu, posiłku w środku dnia, takim, jaki spożywało jeszcze kilka osób w pustej już prawie restauracji. Przez uchylone okno napłynęła fala świeżego powietrza i mgła okrywająca lustra zaczęła powoli ustępować. Przy stolikach uwijali się kelnerzy, otrzepując obrusy. W tej poobiedniej, trochę sennej atmosferze każdy podniesiony głos czy też gwałtowniejszy ruch zwracał uwagę.

Pennik przemówił pierwszy. Oczywiście, była to czysta iluzja, że jego twarz czy też jakiś szczegół jego wyglądu zmienił się. Nie. A jednak było w nim coś nowego. Z jego zachowania przebijała wewnętrzna satysfakcja, której powodów nie mógł Sanders początkowo zrozumieć.

— Sir Henry Merrivale? — spytał Pennik. Utkwił badawczo jasne oczy w swoim, rozmówcy.

— Tak. Przyłączy się pan do nas?

— Dziękuję.

Podał płaszcz i kapelusz kelnerowi, w którego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Odebrał mokre rzeczy od Pennika i oddalił się szybkim krokiem.

— Muszę już iść — powiedziała Vicky. — Naprawdę muszę. John, chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

— Bardzo proszę, niech pani jeszcze zostanie — zwrócił się do niej Pennik. Powiedział to bezosobowym tonem, ale wyczulony słuch Sandersa uchwycił w jego głosie powstrzymywane siłą rozbawienie. Siła, tak! To było właśnie pierwsze wrażenie, którego kilka minut temu nie umiał zdefiniować. Pennik uwierzył w swoją potęgę. — Nie, nie, niech pani jeszcze nie odchodzi. Jeżeli nawet spóźni się pani do biura, wszystko da się

załatwić.

— Oby tak było.

— Tak? Żeby wszystkie inne sprawy były równie łatwe! — uśmiechnął się z pobłażaniem Pennik. — „Gdybym był królem, ozłociłbym cię słońcem, osrebrzył księżycem” — zadeklamował.

— To by było bardzo przyjemne — mruknęła speszona Victoria.

Usiadła z powrotem.

— Jak się pan ma, inspektorze? — przywitał Pennik Mastersa, obserwującego go tak uważnie, jak obserwuje się szalejącego w marcu kota, którego za chwilę trzeba będzie zdzielić butem. — Witam pana — zwrócił się do Chase’a.

— Przepraszam. Muszę już iść. Proszę mi wybaczyć — powiedział Chase.

Wstał sztywno i wyszedł z restauracji. Nie założył nawet nieprzemakalnego płaszcza, tylko przerzucił go niedbale przez ramię. Zatrzymał się bez kapelusza na zalanej deszczem ulicy, spojrzął w prawo i lewo, jak gdyby nie mogąc zdecydować się, w którym kierunku ma iść. Wpadł na grupkę gapiów, stłoczoną pod daszkiem przed wejściem, i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Przy stoliku zaległa cisza, którą przerwał Pennik zwracając się bezpośrednio do sir Henry’ego.

— Żałuję, naprawdę szczerze żałuję, że nie zgodziłem się na rozmowę z panem wczoraj wieczorem. Bardzo chciałem pana poznać. Ale w tych warunkach uważałem jednak, że może to wyrzucić niepotrzebny wpływ. Czy rozumie mnie pan?

Sir Henry długo zapalał cygaro.

— Obejdziemy się bez przeprosin, synu. Ale co pan tutaj robi?

— Jeżeli chce pan wiedzieć prawdę, to śledziłem pannę Keen.

— Więc to pan... — zaczęła Vicky.

— Jeździł za mną taksówką? — dokończył za nią Pennik. — Tak, maleńka, to byłem ja. Lubię patrzeć na panią. Tak, naprawdę sprawia mi to przyjemność. Proszę mnie dobrze zrozumieć! Pani działa na mnie jak natchnienie. Pod pani

wpływem nawet taki skromny człowiek, jak ja, może zdobyć się na wielkie czyny. — Na twarz Vicky wystąpiły krwiste rumieńce, ale nie odważyła się odezwać ani słowem. Pennik w podnieceniu zaciskał dłonie. — Kiedy zobaczyłem wszystkich moich... hm... przeciwników, zebranych na naradzie wojennej, nie mogłem sobie odmówić satysfakcji włączenia się do dyskusji. Ale główny powód jest inny. Chciałem pomówić z nadinspektorem 'Mastersem.

Masters zeszywniał.

— Chciałem zadać panu pewne pytanie — ciągnął dalej Pennik.

— Jeżeli ktoś tutaj będzie zadawał pytania — warknął Masters — to tą osobą będę ja. Po pierwsze, co pan robi w Londynie? Po drugie, jaki jest pana stały adres w wypadku, gdybyśmy chcieli się z panem skomunikować? Ostatnio zatrzymał się pan w gospodzie „Pod Czarnym Łabędziem”. No więc?

Pennik uśmiechnął się.

— Zatrzymałem się tam na bardzo krótko. Mam mieszkanie na Bloomsbury, skromne, ale mnie się ono podoba. Zapiszę panu adres. Taaak, ale jak już mówiłem, chciałem się pana o coś zapytać. Czy ma pan coś przeciwko mojemu wyjazdowi za granicę?

Nagłe uderzenie w żołądek nie mogłoby wyrzucić na Mastersie większego wrażenia.

— Za granicę? — wydawało się, że słowo to nie może mu przejść przez gardło. — Tak, mam diabelnie poważne obiekcje przeciwko pana wyjazdowi za granicę. Jeżeli myśli pan, że można rozpętać tego rodzaju awanturę, a potem, fiut, spakować manatki i dać drapaką za siódmą górę i siódmą rzekę, to przekona się pan szybko, gdzie leży błąd 'w tym rozumowaniu.

Pennik znowu się uśmiechnął. I chociaż jego małe oczka wpatrywały się z wyrazem uwielbienia w Vicky, odpowiedź nadinspektora nie uszła jego uwagi.

— Proszę się nie martwić, inspektorze. Nie mam zamiaru zdezerterować. Chcę wyjechać na kilka godzin do Francji.

Spotkał mnie wielki zaszczyt, radio Bretania zaproponowało mi, żebym wygłosił...

— Oooo, tak, tak — przerwał Masters ze złośliwym błyskiem w oczach. — Wiem. KoncERN serowy, co?

Pennik roześmiał się głośno. Zmieniło to w. dziwny sposób jego fizjonomię. Na twarz wystąpiły mu liczne, niewidoczne dotąd zmarszczki, tak jak gdyby nie. był przyzwyczajony do uzewnętrzniania radosnych uczuć. Wydawało się, że szczerze polubił inspektora i że nie istnieje nikt, do kogo żywiłby uczucie niechęci.

— Nie. Nie zna pan ostatnich nowości? Zostałem oficjalnie zaproszony przez paryską rozgłośnię radiową do wygłoszenia pogadanki jutro wieczorem. Będę mówił w języku francuskim, a następnie w angielskim. Jeżeli to pana interesuje, wyznaczono mi czas: dziewięta czterdzieści pięć do dziesiątej piętnaście. — Chociaż nadal się uśmiechał, widać było, że jest wyraźnie niezadowolony. — Wydaje mi się, mój drogi przyjacielu, że Francuzi źle zrozumieli moje wypowiedzi. Wszystkie te nonsensowne plotki na temat maszyn śmierci i temu podobnych bzdur...

Potrząsnął głową.

— Wprowadzają w błąd sami siebie. Uparli się, żeby przypisywać mi nadprzyrodzone siły, których nie posiadam i nigdy nie twierdziłem, że posiadam. Bóg jeden wie, że moja teoria jest zupełnie prosta. Wydaje się zadziwiająca jedynie dlatego, że przy obecnym stanie nauki jest całkiem nowa.... — Pennik zawahał się na moment. — Nie chcę więc, żeby zasugerowali się tego rodzaju bajkami, a potem byli rozczarowani. A zarazem sądzę, że kiedy usłyszą to, co mam do powiedzenia, nie rozczarują się. Dotyczy to również moich przyjaciół w Anglii. Na Boga, panowie, nie rozczaruję setek tysięcy moich słuchaczy!

Wszyscy spojrzeli na niego.

— Chwileczkę, synu — sir Henry odłożył cygaro na brzeg talerza. — Czy chce pan przez to powiedzieć, że zamierza pan zabić następną osobę?

— Tak — oświadczył spokojnie Pennik.

Zapadło milczenie. Dopiero po chwili, jak gdyby chcąc uprzędzić spodziewany atak, Pennik zaczął się gwałtownie tłumaczyć.

— Nie musicie mi wcale mówić, panowie, że, jak dotąd, ja sam przedstawiałem się w nie najlepszym świetle. Zgadzam się. Nie jestem mistrzem strategii. Jestem po prostu człowiekiem, który podlega zwykłym ludzkim impulsom. Zabiłem Samuela Constable'a rozmyślnie, bowiem byłem głęboko przekonany, że to jest słuszny i dobry uczynek. Ale śmierć pani Constable — cóż, dlaczego nie? Jeżeli działałem pod wpływem gniewu, dlaczego nie?

Głos Mastersa był zupełnie bezbarwny.

— Zrobił pan to, ponieważ powiedziałem, że nie potrafiłby pan zabić nawet mrówki packą na muchy?

— Nie. Przyjąłem jej wyzwanie. A teraz ona nie żyje. Ale wysłuchajcie mnie dalej, panowie! — stuknął palcem wskazującym w. stół. — Nie zamierzam nadużywać siły, którą uważam za całkiem nieskomplikowaną, a wam wydaje się taka tajemnicza. Powiedziałem, że siła ta musi być użyta dla czynienia dobra i dalej to podtrzymuję. Ale nie mogę zaprzepaścić takiej okazji jak obecna. Pomyślcie, co to znaczy. Otworzyły się przede mną takie możliwości, jakie posiadało tylko kilku ludzi w całej historii świata. Ludzie' są jak dzieci, którym staram się wytłumaczyć coś, czego nie rozumieją. Muszę więc udowodnić to na przykładach odpowiadających poziomowi przedszkola. Dobrze. Kiedy będę przemawiał do nich jutro wieczorem, same słowa im nie wystarczą. Wezmę w swe ręce ludzkie życie i tak jak szklaną kulę roztrzaskam je przed ich oczami. Powiem im, kto umrze, podam datę i godzinę. Kiedy przekonają się, że to nie są czcze pogroźki, może nareszcie zrozumieją, że nie rzucam słów na wiatr.

Wciągnął głęboko powietrze. Nie był już tak podniecony i odnosiło się wrażenie, że z trudem powstrzymuje jakąś rozpiekającą go, niesamowitą radość.

— Za dużo gadania, za dużo gadania — dodał, zacierając energicznie ręce. — Jak to powiedział Antoniusz do Kleopatry?... — zwrócił się z uśmiechem do Vicky. — Nie

przyszedłem tutaj po to, aby mówić... Jest coś w pana twarzy, inspektorze, co działa na mnie jak wyzwanie. Taaak, znacie więc moje plany. I doprawdy nie wiem, w jaki sposób możecie przeszkodzić mi...

— Spokojnie! — warknął H. M. na Mastersa. — Siadaj, synu.

— Ale...

— Powiedziałem, siadaj.

Zaskrzypiało krzesło. Podczas całego przemówienia H. M. palił spokojnie cygareto, z którego za każdym pociągnięciem strząsał popiół. Było to jedyną oznaką jego podniecenia. Siedzący nad filiżanką wystygłej kawy doktor Sanders nie spuszczał oczu z Pennika. I kiedy ten ostatni na początku swojego przemówienia pochylił się w kierunku Vicky, Sanders zauważył po raz pierwszy jego grube, wywinięte wargi.

— Jeżeli obecny tu dzentelmen — zaczął z ironiczną uprzejmością nadinspektor — myśli, że może pojechać do Francji i tam popisywać się, i jeżeli myśli, że ja nie mogę go zatrzymać, to na litość boską...!

— Czy będzie pan cicho? — przerwał mu H. M. i zwrócił się do Pennika: — Mmmm... taaak. Jeżeli pan chce pojechać i narobić szumu to pana sprawa. Nie wydaje mi się, że będzie pan nam potrzebny w najbliższym czasie. Wprawdzie jutro po południu odbędzie się śledztwo, ale pana zeznania nie są konieczne.

Pennik zainteresował się żywo.

— Śledztwo? Jakie śledztwo?

— W sprawie śmierci pierwszej ofiary, pana Constable.

— Chyba nie zrozumiałem dobrze szanownego pana. Przecież odbyło się już śledztwo w sprawie śmierci pana Constable. I zostało odroczone.

— Zgadza się. Odroczone. Ale że według prawa musi się ono odbyć wcześniej czy później, więc następna rozprawa śledcza wyznaczona została na jutro, żeby raz wreszcie z tym skończyć.

Pennik poruszył się niespokojnie.

— Nadal nic z tego nie rozumiem.

— Słuchaj pan — rzekł Ii. M., trąc rozpaczliwie dłońmi czoło.

— Człowiek umiera, tak? Policja myśli, że za tym kryje się jakaś

brudna robota. Odraczają więc dochodzenie, żeby mieć czas na przygotowanie sprawy. Ale jeżeli nie posiadają wystarczających dowodów przeciwko komukolwiek, koroner musi, według prawa, zarządzić następną rozprawę. Jest to konieczne dla ustalenia przyczyny zgonu.

— Ale przecież nie będą mogli ustalić, co spowodowało jego śmierć?

— Nie.

— To po co to całe śledztwo?

Sir Henry opanował się z wysiłkiem.

— Nie wiem — syknął. — Takie jest prawo. Niech to gęś kopnie, to nie ja ustanawiałem paragrafy. Nie mnie musi pan winić. Trzeba mieć trochę litości dla naszej ślepoty. Proszę łaskawie pamiętać, że niecodziennie zdarza się koronerowi prowadzenie śledztwa w sprawie ofiary wykończonych przy pomocy telepatii. Jeżeli nie chce mnie pan doprowadzić do ataku furii, to radzę przyjąć do wiadomości moje słowa. To zwykłą formalność, wydadzą orzeczenie stwierdzające, że pan Constable zmarł z niewiadomych przyczyn. Może pan więc jechać do Paryża czy Timbaktu, proszę bardzo. Nie jest pan przecież świadkiem.

— Zdaję sobie sprawę z tego — uśmiechnął się Pennik z wyraźnym zadowoleniem — że nie jestem świadkiem. Ale jestem mordercą i dlatego interesuję się dochodzeniem w sprawie mojej ofiary. Kiedy odbędzie się śledztwo?

— Jutro, o godzinie trzeciej po południu.

— Gdzie?

— Grovetop. Nie wybiera się pan tam chyba?

Pennik otworzył szeroko oczy.

— Sir — odpowiedział — proszę mi wybaczyć moje chorobliwe zainteresowanie publicznymi widowiskami, ale jeżeli pan myśli, że ja się tam nie zjawię, to się pan grubo myli. Może jestem tylko mordercą, ale tym niemniej ciekawi mnie to, co będą o mnie mówić. — Zamyślił się. — Trzecia godzina: tak, to się da załatwić. Złożę zeznanie, jeżeli to panom odpowiada. Może ono pomóc koronerowi w jego nieszczęsnym dylemacie.

Nadinspektor spojrzał na niego uważnie.

— Czy nie boi się pan... hm... czy nie boi się pan linczu?

Pennik roześmiał się.

— Nie. Nie zna pan swoich rodaków, drogi przyjacielu. Prywatnie, w cztery oczy, mogą dużo gadać. Ale ich główna cecha — strach przed zrobieniem z siebie widowiska w większym gronie ludzi — paraliżuje każdy żywszy odruch. Jeżeli bym został przedstawiony jednemu z nich, to w najgorszym wypadku będzie udawał, że mnie nie dostrzega. Jakoś to przeżyję.

— Więc zamierza pan jutro udać się tam w całym swoim splendorze?

— Tak.

— I naprawdę chce pan jechać do Paryża i... i...

— Uśmiercić następną osobę? Tak. Kierując się przy tym najsluszniejszymi-motywami. Powtarzam: tak. Proszę mi powiedzieć, czy nadal pan uważa, że jestem oszustem?

Masters uchwycił się mocno rękami za brzeg stołu.

— Dlaczego pan sam nie odpowie na to pytanie? Przecież pan potrafi odczytywać myśli albo udaje, że potrafi. No, niech pan odpowie?

— Z przyjemnością. Pan myśli, że ja rzeczywiście popełniłem te morderstwa i że użyłem do tego jakiejś banalnej metody, której nie zdołał pan jeszcze odkryć. Zgadza się? Ależ tak, poznaję po wyrazie twarzy. Cóż, jeżeli postanowił pan znacznie więcej uwagi poświęcić tej „banalnej” metodzie niż faktowi, że, skromnie mówiąc, przyznałem się do winy — nie zgłaszam żadnych sprzeciwów.

— Czy wybrał pan już swoją następną ofiarę?

— Tak, ale panu nic nie grozi, inspektorze. W głębi serca jest pan całkiem niezłym facetem i w pewnym sensie nawet użytecznym. Nie, to...

— Przepraszam, ale nie mogę już dłużej zostać. Muszę wracać do biura — przerwała Vicky ten, jak dotąd, bezkrwawy pojedynek.

Pennik Sprzeciwił się temu stanowczo: — Moja droga, jestem gotów przyjąć każdy pani kaprys. Ale to nie jest kaprys, to jest nonsens. Nie słyszała pani, co powiedziałem? Wszystko da się

załatwić.

— Och, co dobrego przyjdzie z takiej gadaniny! Nie chcę niczego „załatwiać”. Chcę tylko wydostać się stąd. Proszę odsunąć krzesło...

— Przepraszam — twarz Pennika zachmurzyła się — że tak nagle odsłoniłem moje plany. Ale nie mogłem oprzeć się zainteresowaniu rysującym się na twarzach tu obecnych dżentelmenów i dlatego ujawniłem pewne rzeczy trochę przedwcześnie. Na litość boską, proszę mnie wysłuchać. Nie chcę, żeby pani wracała do biura. Miałem nadzieję, że zdołam namówić panią na wyjazd razem ze mną do Paryża.

Sanders odezwał się po raz pierwszy od przyjścia Pennika.

— Proszę zabrać rękę z jej ramienia — warknął:

Wydawało się, że w restauracji wszystko zamarło: nie tylko w przenośni, ale i w dosłownym znaczeniu. Nie zdając sobie sprawy, Sanders uniósł głos ponad rozgwar rozmowy. Jego ostatnie słowa trzasnęły jak kamień rzucony przez okno. W głębi sali kelnerzy zatrzymali się bez ruchu.

— Słucham pana?

— Proszę zabrać rękę z jej ramienia — powtórzył doktor.

Ich głosy słyhać teraz było całkiem wyraźnie. Pennik przesunął krzesło z hałasem.

— Ach, mój przyjaciel, doktor Sanders — powiedział tak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności. — Jak się pan ma? Tak pan cicho siedział, pogrążony w myślach, że nie spostrzegłem pana. Bardzo to nietaktowne z mojej strony.

— Ciekawe, czy może się pan domyślić, o czym to ja tak rozmyślałem?

Pennik ze znużeniem machnął ręką.

— Drogi panie, już mieliśmy poprzednio tego rodzaju rozmowę. Wielokrotnie obawiałem się, że będę miał z panem trudności. Między innymi w niedzielę rano w gospodzie „Pod Czarnym Łabędziem”. Ale nie wracajmy już do tego... Proszę tylko, aby mi dał pan spokój z tą całą salonową zabawą. Nie miała ona najmniejszego znaczenia. Ot, po prostu chciałem na siebie zwrócić uwagę...

— Właśnie, właśnie — przerwał zaczepnie Sanders.

— Można wiedzieć, dlaczego pan to powiedział?

— Dlatego, że od początku przejrzałem pana gierkę.

Światło błyskawicy odbiło się ostrym blaskiem w wielkich szybach restauracji, uwidaczniając każdy najdrobniejszy przedmiot. W ułamku sekundy Sanders dojrzał zmienioną nie do poznania twarz Pennika. Uderzenie grzmotu przeszło powoli w ciężki szum deszczu.

— Nie bardzo rozumiem, co pan chciał przez to powiedzieć — wycedził powoli Pennik.

— Jak to, a ta historia z czytaniem myśli? Masters dowiedział się od Larry'ego, że starał się pan wyciągnąć od wszystkich po kolei informacje' na temat każdego z nas. Miał pan chyba niezłą zabawę z tym „odczytywaniem-my- śli-ukrytych-w-podświadomości”. Jeżeli któryś z nas miał jakieś poważniejsze kłopoty i pan powiedział: „to właśnie tkwiło w pana podświadomości”, trudno by było zaprzeczyć, co? Do tego potrzebna była panu znajomość paru intymnych szczegółów. Reszta to inteligentna dedukcja oparta o coś, co znalazłem wczoraj wieczorem w książce pod tytułem „Sztuka czytania mimiki”...

Victoria spoza pleców Pennika dawała mu jakieś rozpaczliwe znaki ręką. Ale Sanders nie zwracał na to uwagi.

— Tak więc, jeżeli pan rzeczywiście zabił tych dwoje ludzi...

— Jeżeli ja ich zabiłem? — powtórzył Pennik. — O ile sobie przypominam, powiedział pan to samo przy innej okazji. Proszę mi wybaczyć, ale dam panu tę samą odpowiedź i to samo ostrzeżenie, których, wykazując zdrowy rozsądek, nie zlekceważył pan dotąd. Rzuca mi pan wyzwanie?

Doktor odsunął z brzękiem filiżankę z resztkami wystygłej kawy.

— Tak — powiedział.

ROZDZIAŁ XVI

Wydawało się, że nigdy nie przestanie padać. Kiedy pociąg siedemnasta dwadzieścia wyruszył w obłokach pary ze stacji Charing Cross, za oknami nic nie było widać. Za to pociąg był prawie pusty i przedział pierwszej klasy mieli wyłącznie dla siebie.

Nie upłynęło jeszcze pięć minut, kiedy H. M. parsknął ze złością:

— Na miłość boską, nie może ta gąsienica szybciej się poruszać?

— Może pomówić z maszynistą? — zaproponował z sarkazmem Masters. — Wsunę mu w łapę pół korony, co? Po co ten nagły pośpiech, sir? Wczoraj w ogóle nie zjawił się pan w Fourways, a czekaliśmy dość długo. To dlaczego dzisiaj tak się śpieszymy?

Sir Henry nie odpowiedział. Uderzył kilkakrotnie pięściami po kolanach i spojrzął z niesmakiem na doktora Johna Sandersa, który właśnie usadawiał się na kanapce koło okna.

— Stary osioł — mruknął H. M.

Epitet ten wprowadził nadinspektora w doskonały humor. — Jak się pan czuje, doktorze? — zapytał żartobliwie. — Wali panu serce? A może wystąpiły zimne poty? Jak Boga kocham, dawno już mi nic tak dobrze nie zrobiło! Wygarnął pan Pennikowi prosto z mostu, że aż się kurzyło, a on był taki pewien, że będzie pan siedział cicho!

— Myślicie obaj, że to takie wesołe, co? — rozzłościł się H. M. — Zamknij się, pan — warknął na Mastersa. A ty, synu — zwrócił się do doktora — odpowiedz mi lepiej na jedno pytanie. Dlaczego to zrobiłeś?

Sanders dał się na to złapać.

— A cóż on sobie myśli, ten cały Pennik? Że kto on jest? Bóg jakiś, który mówi ludziom, kiedy mają umierać albo z kim pójdą na kolację? Jego słynny Teleforce to bzdura i pan o tym wie równie dobrze, jak ja. W porządku: pozwólm mu działać.

Twierdził przecież, że jego „fale myślowe” potrafią zabijać! Niech przycisnie guziczek w tej swojej mózgowicy, a zobaczymy, co się stanie!

— Hmmm — mruknął H. M. drapiąc się w podbródek. — Ma pan pietra, co?

— Tak, trochę — przyznał się szczerze Sanders.

— To dlaczego pan to zrobił?

(Dlaczego nie przyznać się? Dlaczego nie przyznać, że to właśnie niebieskie oczy Vicky, jej uśmiech, jej postać taka, jaką zobaczył teraz w wyobraźni, doprowadziły do tego... Tam gdzie jej osoba wchodziła w grę, on i Pennik zachowywali się jak dwa psy w pobliżu suki. Porównanie nie było ani ładne, ani przyjemne; i Sanders czuł do siebie niechęć za to, że nasunęło mu się ono w związku z Victoria; alt jeżeli miał być szczerzy w stosunku do samego siebie, porównanie to określało tylko stan faktyczny. Z drugiej strony Pennik nie zaliczał się do szlachetnych kawalerów, cierpiących w milczeniu. Wręcz przeciwnie — gdyby tylko mógł, zabiłby go bez mrugnięcia okiem. Przypomniała mu się scena w restauracji, kiedy Pennik skłonił się uprzejmie, odebrał płaszcz, kapelusz i spokojnie wyszedł na zalaną deszczem ulicę. I jeżeli pamiętało się przy tym poprzednie zachowanie Pennika — był to czerwony sygnał niebezpieczeństwa.)

Sanders uniósł głowę. — Nie wie pan, dlaczego to zrobiłem?

— Ja? — zastanowił się H. M. — Tak, oczywiście. Nie brak mi wnikliwości, jeżeli w ogóle w. tym wypadku była potrzebna, ale nie potrafię zapobiegać horrendalnym bzdurom, które robią inni ludzie, chociaż ich się niejednokrotnie uprzedzało. Pennik tylko czekał na okazję. Nie zauważył pan tego? Och, nie! Rękawica została rzucona i mam nadzieję, że jest pan dumny z siebie. Wbrew wszystkim znakom i ostrzeżeniom, które otrzymywał pan od pięciu dni...

— Ale...

— ...pozostał pan głuchy jak pień. A dlaczego córka Joe’ego Keena spotyka się z tym facetem i obchodzi się z nim jak z jajkiem? Po to, żeby zapobiec temu, co się dzisiaj stało. Po to, żeby nie stał się pan celem ataku Pennika.

Koła pociągu obracały się z hałaśliwym zgrzytem.

— Tak pan myśli? — zapytał szybko Sanders.

— Och, synu, czy ja tak myślę? Oczywiście, że tak. Wiem o tym. Trzeba mieć bielmo na oczach, żeby nie zauważyć, że Pennik chce się pozbyć pana. Czekał tylko na uzasadnione usprawiedliwienie... tak jest... uzasadnione usprawiedliwienie, żeby pokazać swoje pazury. Na tym polega kłopot. Pennik w pewnym sensie jest całkowicie uczciwym człowiekiem.

Nadinspektor całkiem niedwuznacznie stuknął się palcem w czoło.

Sir Henry spojrzął na niego ze złością. — Tak jest. Wiem, co mówię. Jeszcze jeden wyglup, a słowo daję, że rzucę całą sprawę, inspektorze!

— Bez nerwów, sir, spokojnie! Wszystko, co chciałem powiedzieć, to...

— Pennik to uczciwy człowiek — podkreślił H. M. -- Przyznaję, że bywa nieraz wyjątkowo nieprzyjemny. Podejrzewam również, że ma niezłego bzika i jeżeli ktoś się nim nie zajmie poważnie, wyłąduje w domu wariatów. Ale ten facet naprawdę nie jest pozbawiony sumienia, które go trochę niepokoi w związku z Sandersem. Diabeł-kusiciel mówi: „Tak”. Sumienie mówi: „Nie”. Diabeł-kusiciel mówi: „Wykończ go”. Sumienie mówi: „Nie, jeżeli to zrobisz, będzie to objawem zazdrości w stosunku do każdego, kto znajduje się blisko niej i dowiedzie, że nie jesteś nadczłowiekiem”. Diabeł-kusiciel mówi: „To będzie w interesie nauki”. Sumienie mówi: „Bujda!” Ale teraz, kiedy mu pan sam podsunął usprawiedliwienie, zapomni o wszelkich skrupułach. Jeżeli tylko uda mu się tego dokonać, będziesz, synu, jego następną ofiarą.

Masters zaniepokoił się poważnie.

— Chwileczkę, sir! Czy pan myśli, że on to zrobi?

— Jeżeli tylko mu się uda — powtórzył H. M. z uporem. — Nie, może trochę za mocno powiedziałem. Mogę was pocieszyć. Według mnie Sanders jest zupełnie bezpieczny...

— Tak, sir, według pana — zaprotestował nadinspektor. — Ale to samo powiedział pan o Minie Constable. I co? Martwa jak mumia.

— Ładni z was pocieszyciele! — przerwał ze złością Sanders.
— Przekłete, stare kruki! Czy mam już teraz zamówić wieniec, czy zdążę *po powrocie do miasta?

Sir Henry starał się załagodzić sytuację.

— Spokojnie, synku, wygląda pan zupełnie zdrowo. Wszystko będzie w. najlepszym porządku, jeżeli tylko...

— Wiem. Jeżeli tylko zaufam Staremu. Doskonale, ufam panu. A w razie czego, zamiast kwiatów, datek na nieślubne dzieci...

Doktor zamyślił się.

— Aż do chwili obecnej zawsze myślałem — ciągnął dalej — że żyję w zorganizowanym, normalnym świecie, gdzie nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Zazdrościłem Marcji... to jest, zazdrościłem ludziom, którzy mogli sobie pozwolić na podróż, powiedzmy do Japonii. Jeżeli chodzi o stan faktyczny, niewiele się właściwie zmieniło. Jem i śpię tak jak dawniej. W mieszkaniu mam te same tapety i nie zarabiam więcej pieniędzy. Ale czuję się tak, jak gdybym znalazł się w innym świecie, gdzie wszystko może się wydarzyć.

— Wszyscy będziemy to samo odczuwać — oświadczył ponuro nadinspektor — jeżeli dopuści się, żeby ta idiotyczna historia z Teleforce rozwijała się dalej. Teleforce! Słyszeliście, co mówili na stacji? Co wrzeszczał przez okno pociągu ten gruby babsztyl? A przy kiosku z gazetami? Chciałbym przeczytać gazetę wieczorną. Może się uda coś zdobyć na następnej stacji?

W parę minut potem pociąg gwałtownie zahamował. Masters wyskoczył na zadeszczony peron i po chwili powrócił z całym naręczem gazet.

Pociąg ruszył i przez pewien czas słychać było jedynie szelest papieru. — Zaczyna się nam to wszystko piętzyć — mruknął znad gazety H. M. — tak jak gdyby wieżę Babel ustawili na wieży w Pizie. Ci naukowci zarozumiałcy wdali się teraz w spór. Od profesora Huxdane'a wyciągnięto w wywiadzie tylko jedno słowo: bzdury. To doprowadzi Pennika do wściekłości. Natomiast profesor Trippletts, dopuszczając teoretyczną możliwość istnienia tego rodzaju broni, powiedział, że sam

pomysł nie jest nowy. Już widzę, jak Pennik bluzga jadem. Taaak, całkiem niezłe. — Spojrzał z niechęcią na Sandersa. — Gdyby tylko się pan w. to nie wpakował! Jaka szkoda, że nie ugryzł się pan w język przy Penniku!

Doktor z urazą zerknął na swojego rozmówcę.

— Jedno pytanie. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego ja mam odgrywać rolę czarnego charakteru? Czepiacie się mnie obaj bez żadnego powodu. Rzuciłem Pennikowi wyzwanie, żeby dowieść, jaki z niego blagier. Wykonałem więc robotę za was. I zamiast mi dziękować, zachowuje się pan tak, jak gdybym popsuł wam jakieś plany.

— Popsuleś, synku.

— Ja?... Ale jakim cudem?

— Bez żadnych cudów. Przez cholerną złośliwość przypadku — mruknął H. M. ze znużeniem. — Byłem taki przemyślny: miałem wszystko dokładnie zaplanowane. Złapałbym Pennika na łąso... ot tak...! — pstryknął palcami. — W każdym bądź razie określiłbym szanse na jakieś czterdzieści procent i więcej chyba nie można wymagać. Zredukował to pan do jednej dziesiątej. Co za kurza ślepotą! Dlatego tak na zbity łeb gnamy do Four ways. Pozostały mi jeszcze dwie możliwości...

— Złapania Pennika? — nadinspektor ledwo panował nad swoim głosem.

— Tak.

— Kiedy?

— Jutro, jeżeli nam się poszczęści.

Masters uśmiechnął się złośliwie. — Cóż, lepiej będzie, jeżeli pan się pospieszy, sir. Nie wierzę, oczywiście, w te wszystkie bzdury. Ale co będzie, jeżeli Pennik zdecyduje się trochę wcześniej wykończyć naszego doktora?

— Nie — zupełnie poważnie zaprzeczył H. M. — Możemy liczyć na dwadzieścia cztery godziny zwłoki. Pennik nie zacznie działać, dopóki nie wygłosi swojego przemówienia jutro wieczorem w Paryżu i...

— Cha, cha, cha — zaśmiał się sztucznie Sanders.

— Niech pan siedzi cicho, dobrze? — przywołał go surowo do porządku sir Henry. — To pana nie dotyczy. Jak już mówiłem,

inspektorze, mamy trochę czasu, zanim Pennik nie uzna, że może wyciągnąć z zanadru następną bombę. W tej chwili nie ma powodu do niepokoju.

— Mam nadzieję, że pań wie, co pan robi, sir. Ale powiem prosto z mostu. Wygląda na to, że dostał pan, za przeproszeniem, kompletnego bzika! Nie zamierza pan chyba pozwolić mu gadać przez radio? Nie wierzę w to! Można go zatrzymać. Jest wiele sposobów, całkiem łatwych... co?

— Mmmm, mmm. A po co?

— I jeszcze jedno — ciągnął dalej nadinspektor. Wziął do ręki gazetę i w oczach jego zabłyśło podejrzenie. — Widział pan to? „Evening Planet”?

— Nie widziałem — z miną winowajcy przyznał się H. M. — A co tam jest?

— Co tam jest? To dobre! Moje dwa zdjęcia! Jedno z podpisem: „Nadinspektor Masters”, drugie: „Nadinspektor Masters przebrany za chuligana z East Endu”. I co więcej, na tym pierwszym wyglądam sto razy gorzej niż na tym drugim! Drobnostka, no nie? Ale, jak to mówi sir Henry: „nie przeszkadzać, siedzę i myślę”. Zrobiłem to samo i niech mnie diabli wezmą, jeżeli pamiętam więcej niż jedną osobę, która posiada moje zdjęcie w tym sławetnym przebraniu! Czy to pan dał moje zdjęcie do prasy?

— Wolnego, wolnego.

— Dał pan?

— Niech pan przestanie rozrabiać...

— Postaram się. Domyśliłem się również od razu, że to . pan napisał ten list na całą kolumnę do „Daily Wireless”. Nie mówię, że panu króliki zaległy się w głowie: nie, tego nie powiedziałem. Ale jak już pana wtrynią do Izby Lordów, to siądę w pierwszym rzędzie na galerii, żeby nic ! nie uronić z tego całego przedstawienia. To wszystko. Chciałbym tylko wiedzieć, po co jedziemy teraz do Surrey? Czego pan tam szuka?

— Po pierwsze — upierał się przy poprzednich swoich wywodach sir Henry — muszę znaleźć album Miny Constable z wycinkami prasowymi.

— Co? Niemożliwe! Przewróciliśmy wszystko do góry nogami, a pan nadal wierzy, że ten album znajduje się w domu?

— Tak.

— I gdzie pan zamierza go szukać?

— Właśnie o to chodzi. Nie wiem.

Masters wzruszył ramionami. Ostre światło błyskawicy rozjaśniło zalane deszczem okna przedziału. Huk piorunu zlał się ze zgrzytem i stukotem kół. Żaden z nich już niej odezwał się aż do przybycia pociągu na stację Camberdene, gdzie oczekiwał ich z samochodem komisarz Belcher zawiadomiony telegraficznie przez nadinspektora.

Podróż przez otwartą przestrzeń podczas burzy nie należała do najprzyjemniejszych. Fourways w deszczu wyglądało dużo bardziej ponuro niż zazwyczaj; a trawniki zamieniły się w błotnistą maź. Olbrzymie domisko sprawiało wrażenie wymarłego i bezdusznego, jak po wielkim pożarze. Komisarz miał klucz do drzwi frontowych. Deszcz dudniący o dach brzmiał jak wewnątrz silne uderzenia młotkiem.

— I co dalej? — zapytał Masters zapalając światło.

Sir Henry rozejrzał się po frontowym hallu.

— Proszę mnie nie popędzać, inspektorze. Muszę pomyśleć. Zaraz, mam! Czy szukaliście albumu w oranżerii? Sprawdziliście dokładnie?

— Może pan być o to spokojny! I nie ma się co łudzić, że został ukryty pod palmami. Nie wykopywaliśmy ich, oczywiście. Ale ziemia w skrzyniach i donicach była tak sucha, że zauważylibyśmy najdrobniejszy ślad.

— Chciałbym tam zajrzeć.

Salon, jadalnia, oranżeria. Sanders z niemiłym uczuciem uświadomił sobie, że wszystko jest takie samo, jak owej pamiętnej nocy, kiedy umarła Mina. Na stole w jadalnym pokoju, pod błyszczącą kopułą, leżały kawałki szkła; przypomniało to Sandersowi moment, kiedy za drzwiami oranżerii zobaczył twarz Pennika i z rozdygotanych nagle rąk wypuścił szklanekę z resztkami piwa. Wszystko to przywracało przeszłość — tak jak zapach czy dźwięk.

Pennik nic nie może zrobić. Pękł jak nakłuty balon, gdy mu wygarnął prosto w oczy, co o nim myśli. A jednak...

Sir Henry otworzył szklane drzwi do oranżerii i zaczął je dokładnie oglądać.

— Jeżeli pan szuka śladów palców — zauważył Masters z sarkazmem — to traci pan tylko czas. Nic takiego nie znaleźliśmy. Tak, wiem, doktor powiedział, że Pennik oparł nos i palce o szkło; nie zaniedbaliśmy tego. Są tylko takie alternatywy: albo ślady zostały potem wytarte, albo nigdy ich nie było.

Doktor nie dał się sprowokować.

— Zaczyna mnie już pan podejrzewać o halucynacje... — mruknął ze znużeniem.

— Nie zapominajmy o widmie astralnym — podsunął H. M. otwierając i zamykając drzwi do oranżerii. — I jeszcze jedna rzecz. Czy widział pan coś więcej poza nosem i palcami Pennika?

— Prawdę mówiąc, to niewiele.

— Czy słyszał pan, jak uciekał?

— Nie, nie słyszałem. Ale mogę przysiąc, że był tutaj: to nie był żaden hokus-pokus ani gra wyobraźni.

W tym momencie nic nie mogło grozić ze strony Pennika. A jednak urojony jego obraz, potężny i okrutny niczym śmierć, unosił się nad całym Fourways.

Masters przesunął się koło H. M. i przekreślił kontakt elektryczny. Pęki świetlistych owoców zakwitły w kątach szklanego dachu. Strugi deszczu rozbijały się z tak głośnym łoskotem o kopułę, że musieli krzyżeć, aby słyszeć własne głosy. Sanders uczył podświadomą ulgę na widok pustego krzesła wiklinowego wciśniętego pomiędzy podzwrotnikowe rośliny; krzesła, na którym zaledwie kilka dni temu siedział Pennik. H. M. podszedł do nieczynnej fontanny.

— Hej! — wrzasnął.

— Co?

— Bardzo ważne pytanie. Kiedy zobaczył pan Pennika i wybiegł za nim do oranżerii, czy ta fontanna działała?

— Nie.

— Jest pan tego pewien? — nastawał sir Henry.

— Mogę przysiąc. W całym domu panowała martwa cisza. Co więcej, pamiętam, że przechodziłem obok tej fontanny. Ale dlaczego?

— Dlatego — powiedział H. M. z podejrzaną łagodnością — że jeżeli jest tak, jak pan mówi, to zdobyliśmy jeden z najważniejszych dowodów w tej całej sprawie.

Masters w mgnieniu oka znalazł się przy nim. — Powoli! Jeden z najważniejszych dowodów? Myśli pan, że wreszcie będziemy mogli stwierdzić, czy Pennik był, czy nie był... przepraszam, doktorze... w oranżerii? A jeżeli był, to dlaczego? Ale co to ma wspólnego z fontanną? To zwykła ogrodowa fontanna; ciągnie kilka galonów wody i obraca nią w kółko. Obejrzałem ją dobrze, bo chcę kupić podobną do naszego ogródka.

— Czy zamierza pan sobie kupić wodotrysk, czy nie, to w tej chwili nieistotne, grunt, że mamy ważny dowód w rękę. I nic mnie nie interesuje, jak to całe urządzenie pracuje. Nie o to chodzi. — Przeszedł do przeładowanego dekoracjami hallu. — Są tutaj jakieś inne drzwi? Ach! tylko jedno. Do kuchni, co? Tak myślałem. Ale nie ma kuchennych schodów na górę. Trzeba to zapamiętać, inspektorze, nie ma schodów.

Sir Henry zajrzał do kuchni. Masters chodził za nim krok w krok.

— Ale...

— Z drugiej znów strony — ciągnął H. M. wymachując rękami, aby utrzymać w pewnej odległości od siebie następującego mu na pięty Mastersa — sypialnia naszego nieodżałowanej pamięci przyjaciela, Samuela Constable'a, znajduje się dokładnie nad jadalnią. O ile sobie przypominam, pani Constable mówiła mi o tym. Tak. I pamiętam również, że pod jednym z okien jego sypialni był balkon z kamiennymi schodkami prowadzącymi do ogrodu. Synku, jeżeli się nie odsuniesz, to popełnię morderstwo...! Można więc z pokoju jadalnego przedostać się do sypialni na pierwszym piętrze, wrócić z powrotem na dół i nikt niczego nie zauważy. Jeżeli my...

— Na Boga! — wyrwało się bezwiednie nadinspektorowi.

Jaskrawe światło błyskawicy odbite przez szklany dach wpadło do oranżerii i w jego ostrym, krótkim błysku zobaczyli swoje przerażone twarze; potężne uderzenie gromu rozległo się tuż nad ich głowami wprawiając w gwałtowne drzenie całą kopułę. Jedna z szybek w górze pękła, rozbiła się z łoskotem o posadzkę i poprzez otwór wpadł strumień deszczu. Wszystko to stało się w ułamku sekundy. Wyładowanie elektryczne spowodowało chyba również krótkie spięcie, bowiem światło w całym domu zgasło.

— A niech to wszyscy diabli! — zaklął w ciemności H. M.

— Nie ma się czym przejmować — uspokajał pogodnie komisarz Belcher. — Mam latarkę. Ale co mogło nawalić? Przewody zewnętrzne czy bezpiecznik?

Masters był wytrącony z równowagi. Czuł jeszcze szok wywołany gwałtownym uderzeniem pioruna, a nieprzenikniona ciemność działała mu na nerwy. Mówił głośno, starając się przekrzywić szum deszczu.

— Chyba przewody. Tyle tutaj mają dodatkowych instalacji elektrycznych, że dali je na rozdzielcze bezpieczniki, jeden na dwa, trzy pokoje. Nie można ich wszystkich przepalić za jednym zamachem, chyba że...

— Skrzynka na bezpieczniki — powiedział nagle H. M.

— Co takiego?

— Skrzynka na bezpieczniki — powtórzył. — Czy przeszukując dom, zajrzeliście również do skrzynki na bezpieczniki?

— Nie, a po co? Mogę przysiąc, że nikt przy niej nie majstrował przed ani po śmierci pani Constable...

— Nie mówię o tym w związku z czyjąkolwiek śmiercią — zniecierpliwził się sir Henry. — Po prostu pomyślałem, że może to być doskonały schowek na płaski album o wymiarach: osiemnaście cali na dwanaście...

Po chwili milczenia dodał:

— Gdzie jest ta skrzynka?

— W pokoju pani Constable, w szafie ściennej... idziemy?

Ruszyli na górę, przy świetle latarki Belchera. W najdalszym

kącie opustoszałej sypialni znajdowała się szafa ścienna z rozsuwanymi drzwiami. Wewnątrz, nad najwyższą półką, zobaczyli żelazną, pomalowaną na czarno pokrywę skrzynki, około dwóch stóp wysokości i półtora szerokości. Masters wszedł na krzesło i palcami poruszył nie- dokręcone śrubki. Przykrywa otworzyła się ze zgrzytem i na twarz inspektora spadł podłużny, spory album ze złożonymi brzegami.

— To tutaj był ukryty... — mruknął ze złością.

— A tak, synu. Nietknięty, od czasu kiedy Mina Constable wsunęła go tam po śmierci męża. Doskonały schowek. Człowiek patrzy na skrzynkę z bezpiecznikami i nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że mogą tam się znajdować także inne przedmioty. Ale tym razem przykrywa nie domykała się dokładnie, bo za mało było miejsca na obiekt o takich rozmiarach. Jeżeli chce pan dobrze ukryć przed złodziejami swoją fortunę, niech pan wzoruje się na Minie. To był jeden z jej najlepszych pomysłów.

Masters zeskoczył z krzesła.

— Znakomity pomysł, co? — powiedział potrząsając albumem. — Pewnie! No, ale mamy go! Myśli pan, że to nam właśnie było potrzebne? — zwrócił się do sir Henry'ego, podsuwając mu zdobycz pod nos.

— Tak. Może. Jeżeli zawiera to, co mam nadzieję, że zawiera... to mamy Pennika w ręku. Połóż tę księgę na stole, synu, to sobie zerkniemy.

Światło latarki padło na tytuł albumu, który Masters położył na nocnym stoliku: „Nowe sposoby popełniania morderstw”. Pochylili się nad nim w milczeniu. Tylko deszcz bezustannie bębnił o szyby.

Był to wyjątkowo ponury eksponat. Zawierał kolekcjonowane od siedmiu czy ośmiu lat wycinki prasowe dotyczące wypadków nagłej śmierci. Niektóre pozółkły od starości; inne zaś były postrzępione lub podarte, tak jak gdyby leżały długo w szufladzie, zanim zdecydowano się włączyć je do kolekcji — reszta wycinków pochodziła z ostatniego okresu. Na kilku wypisano datę i nazwę gazety, większość jednak była niewiadomego pochodzenia. Część z nich wycięto z

popularnych tygodników, jeden czy dwa z miesięcznika medycznego. Nie były ułożone w porządku chronologicznym; 1937 rok wklejony był przed 1935, a pomiędzy nimi znalazł się rok 1932. Odzwierciedlało to w pewnym stopniu charakter Miny Constable: kobiety mądrej, ale nie zorganizowanej.

Sir Henry jęknął na widok tego bałaganu. Ale jęknął dużo boleśniej, kiedy znaleźli na przedostatniej stronie skrawek postrzępionego papieru. Prawie cała stronica — artykuł, nazwa gazety, data — zostały nierównie wycięte nożyczkami.

— Nie chciała ryzykować — mruknął H. M. — Mogła to łatwo spalić. Wystawiono nas do wiatru.

— Tak bardzo liczył pan na ten album, sir?

— No, może tak niezupełnie do wiatru... hmm, może nie. Ale byłem przekonany, że wreszcie będę mógł dowieść sobie i innym, że miałem rację. Gdyby w tym notatniku była jedna maleńka rzecz, jedna maleńka...

Zgiętym palcem kilkakrotnie stuknął w album. Następnie ciężko przeszedł przez ciemny pokój i usiadł w fotelu. Za nim, w zalanych deszczem szybach, odbiło się białe światło błyskawicy.

Masters potrząsała głową.

— Niestety, nic nie da się zrobić, sir. Gdybyśmy posiadali najmniejszy choćby ślad, postawiłbym na nogi cały aparat policyjny i założył się, że znaleźlibyśmy ten wycinek. Ale nic nie ma, cholera! Nie wiemy nawet, z jakiej on jest gazety ani z jakiego kraju, bo w tym notatniku są również wycinki z prasy amerykańskiej i francuskiej. Nie znamy dnia, miesiąca ani nawet roku wydania. Nie wiemy, jakiego artykułu szukać. Gdyby — nadinspektor wrzeszczał doprowadzony do białej gorączki — gdyby mógł mi pan powiedzieć, w jakim kierunku pan zamierza, czego pan chce dowieść!?

Sir Henry oparł głowę na dłoniach. Zamyślił się. Po chwili zaczął gwałtownymi ruchami wicherzyć resztki bogatego niegdyś uwłosienia — rzadkie pęczki sterczące po obu stronach skroni.

— Tak, tak! Oczywiście. Znam te wszystkie trudności. Mina nie miała sekretarki. Nie prenumerowała wycinków, sprawdziłem to. A czego chcę dowieść? Mogę to powiedzieć w

kilku słowach.

— No więc?

— Chcę dowieść, że ktoś może być jednocześnie martwy i żywy.

Słuchającym ciarki przebiegły po plecach. Atmosfery nie poprawił diabelski chichot sir Henry Merrivale'a.

— Cha, cha, cha! Jesteście przekonani, że już zupełnie zbzikowałem, co? Smutna ruina wspaniałego intelektu. Nie, moi drodzy. Powiedziałem dokładnie to, co myślę. Inspektorze, przeoczył pan motywy tej całej sprawy.⁶ Nie chciał mi pan w swoim czasie wierzyć, że istnieje Okno Judasza. Pamięta pan tę sprawę? I kiedy wreszcie pokazałem...

— Może mi pan pokazał, a może i nie. Ale, żeby nie wiem co, nie pokaże mi pan żyjącego trupa; i nikt tego nie potrafi dokonać. Nie, nie dam z siebie zrobić wariata. Mam wszystkiego po dziurki w nosie! Myślałem, że już dawno przekroczył pan wszelkie granice, ale o czymś podobnym jeszcze nie słyszałem! Może pan wziąć swoje widma astralne, swoje zielone świece, swoje fontanny i swoich żyjących nieboszczyków i może pan...

— Oho? Ma pan pietra, co?

— Można wiedzieć, sir, kto ma pietra?

— Pan, mój drogi. Ma pan takiego stracha, aż miło! Boi się pan tego domu i tych wszystkich gratów! Co, może nie?

— Nie. Wcale się nie boję. Zaprzeczam...

— Ale przy byle błyskawicy skacze pan jak oparzony! Nie wstyd panu: no tak szczerze?

— Hola, wolnego! — wtrącił zaniepokojony doktor Sanders.

— Jak pan nie przestanie go podpuszczać, to za chwilę Masters zacznie gryźć dywan!

— Słuchajcie — powiedział nagle H. M. tak stanowczym i spokojnym głosem, że wszyscy umilkli. Sanders był prze-

⁶ Teraz dopiero zauważyłem, jaka to słuszna uwaga. Motywy morderstwa, chociaż wspomniano o nich w tekście, nie zostały ujawnione w sposób oczywisty; wchodzi tu w grę również aspekt prawny. Zainteresowanym w rozwiązaniu tego problemu radzę czytać między wierszami. Czytelniku, zostałeś ostrzeżony. — J. S.

konany, że w tym momencie Stary łypnął złośliwie okiem. — Taaak, teraz dużo lepiej. A więc: czy chce pan złapać mordercę?

— Oczywiście, że chcę!

— W porządku. Jeżeli nie interesują pana fakty naukowe, to dam panu coś lepszego do rozgryzienia niż dywan. Posłuchajcie, jaki mam plan. Jutro rozpoczynamy atak. Może to nas kosztować dużo czasu i wysiłku, ale mamy szansę i to jest wszystko, czego nam potrzeba. Zaczniemy na rozprawie śledczej. Pennikowi wydaje się, że da tam znakomite przedstawienie. Nic z tego nie będzie. W każdym bądź razie chodzi o to, aby on był przekonany, że nic z tego nie będzie. Musimy mieć na to pozwolenie, ale myślę, że uda mi się je wycygnąć. Wydamy oświadczenie, że...

Część IV

PORANEK Dotycząca zakończenia

PRASA:

„DAILY NON-STOP”:

Środa 4 maja 1933

Nagłówki:

**PENNIK NIEDOPUSZCZONY DO ROZPRAWY ŚLEDCZEJ
W SPRAWIE OFIAR DOMNIEMANEGO MORDU:
DZISIAJ WIECZOREM PODEJMIE PRÓBĘ UŻYCIA TELEFORCE**

„DAILY TRUMPETER”:

**ROZPRAWA ŚLEDCZA W SPRAWIE ŚMIERCI CONSTABLE’A
PRZY DRZWIACH ZAMKNIĘTYCH POWAŻNY BŁĄD RZĄDU
TELEFORCE — DZISIAJ WIECZOREM Z PARYŻA**

„NEWS-RECORD”:

**PENNIK ZAPOWIADA NOWĄ OFIARĘ DZISIAJ WIECZOREM
ODPOWIE NA WYZWANIE SAMOZWAŃCZY ZABÓJCA
NIEDOPUSZCZONY DO ROZPRAWY ŚLEDCZEJ USTALAJĄCEJ
PRZYCZYNY ŚMIERCI JEGO OFIARY**

„DAILY WIRELESS”.

SIR HENRY MERRIVALE
(Wywiad na prawach wyłączności)

TELEFORCE
9.45

TELEFORCE
9.45

TELE FORCE
9.45

...i chociaż możemy się uśmiechać na wspomnienie niektórych wypowiedzi, jakimi zostaliśmy zasypani, człowiek myślący nie może przejść obojętnie wobec problemu, przed którym stanęliśmy dzisiaj: zagrożenie wolności osobistej, tak drogiej sercu każdego obywatela naszego kraju. Rozprawa śledcza przy drzwiach zamkniętych, rozprawa, na którą publiczność nie ma wstępu, jest tego rodzaju wydarzeniem, które wymaga wyjaśnienia. Nasz rząd postępował dotąd słusznie i rozsądnie, powinien więc ustalić tożsamość i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje wobec inspiratora tych niecodziennych posunięć. Odpowiedzialność za nie nie powinna spadać wyłącznie na barki koronera — pana Freedyce.

— Hej, pani Topham, idzie pani na rozprawę?

— No! Niech mnie tylko spróbują nie wpuścić, to jak Boga kocham...!

ROZDZIAŁ XVII

Ratusz w Grovetop, gdzie odbywała się rozprawa śledcza, przedstawiał sobą jeden z bardziej pretensjonalnych obiektów epoki wiktoriańskiej. Ale pomieszczenie, w którym toczyło się śledztwo, różniło się całkowicie od reszty budynku. Była to podłużna, niska sala zajmująca część suterenu. Przez zakratowane okna widać było nogi przechodniów. Ciemna i zawsze chłodna, mimo biegnących pod sufitem rur centralnego ogrzewania. Unosił się w niej zapach pokoju szkolnego. O kamienną posadzkę głośnym echem odbijały się kroki.

Nad stolikiem koronera, obok którego ustawiono krzesło dla świadków, wisiała żarówka osłonięta białą, szklaną kulą. Na czymś w rodzaju podium usadowili się ławnicy. Resztę sali wypełniały równo poustawiane krzesła; tylko w pierwszym rzędzie siedziało kilka osób. Ale jeżeli wszystko tutaj wydawało się zimne i oficjalne, to atmosfera panująca na zewnątrz stanowiła zdecydowany kontrast. Wesołe okrzyki i rozgwar wielu głosów przedostawały się do sali rozpraw, a przez zakratowane okienka widać było nie tylko nogi, ale i pochylone twarze.

— Proszę o ciszę — zdenerwował się koroner ciskając zapisane arkusze papieru na stół. — To jest nie do wytrzymania. Sierzancie!

— Jestem.

— Proszę zamknąć okna. Nie słyszać nawet, co świadek mówił.

— Tak jest.

— Nie mogę prowadzić rozprawy w tym hałasie. Co ci wszyscy ludzie tutaj robią? Dlaczego ich nie rozpędzicie?

— Ooo, to spory tłum, panie koronerze. Od High Street do głównej drogi tak jest napchane, że... podobny ścisk widziałem ostatnio podczas wojny, kiedy zestrzelili zeppelin nad farmą Heideggera!

— Sierzancie, nie wzruszyłoby mnie, gdyby nawet cała

ludność Londynu zdecydowała się złożyć nam wizytę. Mam swoje instrukcje i zamierzam się do nich stosować. Proszę rozpedzić tłum. Czy prawo jest już zupełnie bezsilne? Dobry Boże, a to co takiego?

— Chyba akordeon, panie koronerze.

— Naprawdę?

— Tak, jest. To John Crowley gra piosenkę o Johnie Peelu.

On...

— Nie obchodziłoby mnie to nawet, gdyby Rachmaninow grał swoje Preludium. Nie wolno mu grać przed oknami sali rozpraw. Proszę zaprowadzić porządek, sierżancie.

— Tak jest, sir.

— Taaak. Panowie przysięgli. Przykro mi, że zostaliśmy narażeni na tego rodzaju nieprzyjemności. Jeżeli potraficie skupić się w tym hałasie, to może przystąpimy do dalszego przesłuchiwania naszego ostatniego świadka. Doktor Sanders!

Sanders, siedzący na ławie świadków, rozejrzał się wokół. Nigdy dotąd nie widział bardziej posępnego miejsca niż ta podłużna sala. Z mroku wyłaniały się kamienne twarze sir Henry Merrivale'a, nadinspektora Mastersa, komisarza Belchera, doktora Edge'a i Lawrence Chase'a, który oficjalnie zidentyfikował zwłoki. Siedzieli bez ruchu.

Wydawało mu się natomiast, że ławnicy z trudem powstrzymują śmiech.

— Doktorze, złożył pan nam jasne i zwięzłe zeznanie dotyczące badań, które przeprowadził pan na nieboszczyku bezpośrednio po jego zgonie, jak również przy sekcji zwłok. Czy uważa pan, że badania te uwzględniły wszystkie możliwe przyczyny zgonu?

— Tak.

— Zgadza się pan więc z opinią przedstawioną nam przez doktora Edge'a?

— Zgadzam.

— *Hej tam! Rozejść się! Rozejść się!*

— *Zaraz! Co się pchasz?*

— *Spokój! Rozejść się! Roozejść się!*

- *Patrzcie go! Myślisz, żeś taki ważny w tym hełmie, co?*
- *Gliiina! Gliiina! Gliiina!*
- *Razem, chłopaki!*

Poznajecie Boba Peela W hełm blaszany się wystroił,
Poznajecie Boba Peela Jeszcze wczoraj krowy doił...

— Czy można kogoś z panów prosić o zamknięcie drugiego okna? Dziękuję, inspektorze. Wolę się udusić, niż ogłuchnąć. Trzeba będzie zastosować ostrzejsze środki. Słucham, doktorze Sanders.

Sanders odpowiadał machinalnie. Głowa pękała mu z bólu, bo całą noc siedział nad książkami, a hałas dobiegający z zewnątrz nie działał kojąco. W jego podświadomości tkwiła jak zadra myśl, że Vicky nie spotkała się z nim poprzedniego wieczoru, tak że pierwszą rundę wygrał Pennik.

— Powiedział nam pan również, doktorze, że żaden organ konieczny człowiekowi do życia nie został uszkodzony.

— Tak jest.

— I że chociaż istnieją przyczyny, które mogą wywołać tego rodzaju stan, niemożliwe jest stwierdzenie, czy i która z tych przyczyn spowodowała śmierć pana Constable'a?

— Tak.

(Niech diabli porwą Pennika razem z jego Teleforce. Żebym nawet nie wiem jak się starał i tak bym nie usnął ostatniej nocy. To nie taka prosta sprawa z tą sugestią. Nerwy ma się napięte jak struny. Człowiek wyobraża sobie nie wiadomo co. Jest teraz kilka minut po trzeciej. Zaraz zajdzie słońce. Pennik będzie się starał wykończyć mnie... co za bzdura... dzisiaj wieczorem, pomiędzy dziewiątą czterdzieści pięć a dziesiątą. Jeszcze siedem godzin.)

— Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy zgon pana Constable'a był natychmiastowy?

— Nie. Nastąpił szybko, ale nie natychmiast. Agonia trwała co najmniej dwie minuty.

— Czy uważa pan, że zgon nastąpił w bólach?

— Tak. W dużych bólach.

(Tak. To było upokarzające. Polazłem do mieszkania Vicky na Westminster; zarezerwowałem stolik w restauracji „Corinthian”; a potem okazało się, że ona już wyszła z Pennikiem i zostawiła dla mnie kartkę z kilkoma słowami przeprosin: „Proszę, ufaj mi, to wszystko. Pracuję teraz razem z Twoim H. M. i on ma pewien plan.” Ale jaki plan?)

— Czy mogę pana prosić o większą uwagę, doktorze?

— Bardzo przepraszam.

(Ale jaki plan? Co się kryło za kamienną twarzą H. M.?)

— Wyjašnjmy sobie jeden punkt, doktorze. Nie wierzy pan w nadprzyrodzony czy też ponadnaturalny powód śmierci?

— Nie. W żadnym wypadku.

— Czy według pana tego rodzaju sugestia jest czystym nonsensem?

— Tak. Jak najbardziej.

— Możemy więc podsumować pana opinię twierdzeniem, że jest niemożliwe dla pana, dla mnie czy też kogokolwiek innego określić przyczynę śmierci. Zgadza się?

— Tak.

— Dziękuję, doktorze. To wszystko.

Jeden z ławników — który wiercił się bardziej od innych — rudowłosy, żyłasty mężczyzna w wysokim kołnierzyku chrząknął głośno.

— Zara, zara! — zagrzmiał. — Przepraszam, panie koronerze, ale czy my możemy zadawać pytania?

— Tak, oczywiście. Może pan zadać świadkowi, jakie pan chce pytanie, o ile ma ono związek z toczącą się sprawą.

Rudzielec pochylił się do przodu i oparł dłonie na kolanach.

— A co z Teleforce? — domagał się wyjaśnień.

Na ławie przysięgłych zapanowało wyraźne poruszenie. Członkowie tego dostojnego zgromadzenia pochylili się raptownie do przodu jak kukielki za pociągnięciem sznurka. Przewodniczący, tęgi mężczyzna, właściciel najlepiej prosperującej gospody w Grovetop, miał niezadowoloną minę; przed chwilą zadano pytanie, na które on sam się szykował od początku posiedzenia. Powtórzył je więc jeszcze raz donośnym głosem.

— Nigdy o tym nie słyszałem — odpowiedział Sanders krótko.

— Czy nie czyta pan gazet, sir?

— Chciałem przez to powiedzieć, że nie słyszałem, aby Teleforce miał coś wspólnego z nauką. Jeżeli chce pan znać moją opinię, mogę tylko przyłączyć się do tego, co powiedział profesor Huxdane: bzdury.

— Ale...

— Panowie — przerwał lodowato koroner. — Przykro mi, że muszę zakończyć waszą interesującą dyskusję, ale dotyczy ona bardzo szerokiego zagadnienia i dlatego też proszę o ograniczenie pytań do faktów ściśle związanych ze śledztwem. Wysłuchaliście ekspertyzy lekarskiej doktora Edge'a i doktora Sandersa. I wasza decyzja musi być oparta wyłącznie na tym. Takie są obowiązujące reguły i nakazuję wam stosowanie się do nich. Trudno było opanować podniecenie, które ogarnęło ławników. Wszyscy zaczęli mówić naraz.

— To niesłuszne! — zarzucił ktoś koronerowi.

— Sir, czy kwestionuje pan sposób prowadzenia przeze mnie śledztwa?

— Lekarze — odezwał się inny, pełen pogardy głos. — Doktorzy! Weźmy dla przykładu moją żonę. Kiedy umarła, doktorzy stwierdzili, że...

— Panowie, prosiłem już raz o ciszę i nie chciałbym się powtarzać. Mam nadzieję, że wszyscy mnie zrozumieli?

— *Jak Boga kocham, on tu jest!*

— *Kto?*

— *Szybko, Sally! Podtrzymam cię. Wychodzi teraz z samochodu!*

— *To dopiero!*

— *O rany, to ten sam bubek! Widziałem jego zdjęcie. Hej, stary kogucie, a może tak ukatrupisz moją kobitę?*

— A teraz panowie, bardzo proszę, abyście skierowali swoją uwagę na moje słowa, zamiast patrzeć w okna. Nie muszę chyba podkreślać, że to, co dzieje się za tymi murami, nie dotyczy nas w żadnej mierze. Dziękuję, doktorze Sanders,

panowie ławnicy nie mają już żadnych pytań. Są w pełni przekonani...

– *Ten gość to morderca!*

– *Hej, słuchajcie! Nie róbcie grandy! Dajcie człowiekowi jakąś szansę. Co on takiego zrobił?*

– *Co on takiego zrobił? To faszysta, nie wiedziałeś o tym?*

– *O czym oni mówią? Co się stało?*

– *Faszysta. Wielki przyjaciel Hitlera.*

– *No, święta prawda. Słyszałem o tym w barze wczoraj wieczorem. Taki duży, gruby, łysy jak kolano facet z Londynu, ma tytuł artys... tfu... ale słowo... arystokratyczny, mówił, że...*

– ...że dowody, i tylko dowody, mają dla nas znaczenie. W związku z tym, że doktor Sanders był ostatnim świadkiem, spoczywa na mnie teraz obowiązek podsumowania wszystkich faktów, które pomogą wam w wydaniu werdyktu. Wydaje mi się, panowie, że jest tylko jeden werdykt, który możecie ogłosić. W każdym bądź razie, zastanowiwszy się nad...

Sanders na palcach przemknął się koło kilku osób siedzących nieruchomo jak manekiny w pierwszym rzędzie. Zerknął na H. M., którego oczy były zamknięte, ramiona skrzyżowane na piersiach, a potężny brzuch unosił się i opadał rytmicznie jak w głębokim śnie. Masters, czujny jak zawsze, nie spuszczał oczu z koronera. Ale doktor w tym momencie pragnął nade wszystko zaciągnąć się głęboko papierosem.

Pchnął skrzypiące drzwi, które prowadziły do korytarza, i nagle zatrzymał się z nie zapalonym papierosem w ustach.

Wpadające przez okno ostatnie promienie słońca oświetliły schodzącego po stopniach Hermana Pennika. Sanders, stojący w cieniu, jak urzeczony wpatrywał się w jego twarz marzyciela, rojącego sny o wielkiej, nieograniczonej potędze. Ciężkie powieki uniosły się do góry, ukazując pełne żaru oczy. Ubrany był do podróży; sportowa czapka i płaszcz, w rękę trzymał walizkę. Zawahał się przez chwilę, kiedy przez nie domknięte

drzwi ujrzał salę sądową w suterenie; miał bowiem zdecydowaną awersję do wszelkich podziemnych pomieszczeń. Ale nie zdążył jeszcze zejść z ostatniego stopnia, kiedy nagle znalazł się przed nim policjant.

— Czego pan sobie życzy, sir?

— Życzę sobie, mój przyjacielu, być na śledztwie w sprawie śmierci Samuela Constable'a.

— Czy jest pan świadkiem?

— Nie.

— Prasa i publiczność nie mają prawa wstępu. Proszę na górę.

— Wiem, ale ja zamierzam złożyć zeznanie. Poinformowano mnie, że każdy, kto chce, ma prawo do wzięcia udziału w śledztwie i złożenia zeznań.

— Ale nie w tym śledztwie. Takie wydano rozkazy.

— Nie rozumiecie, o co mi chodzi! Ja jestem Herman Pennik. Ja jestem tą powszechnie już znaną osobą, która zabiła...

— W takim razie — powiedział niewzruszonym tonem policjant — niech pan idzie na komisariat i tam złoży zeznanie. Wszystko mi jedno, kogo pan zamordował. Nie ma pan prawa tutaj przebywać.

— Czy zamierzacie mi przeszkodzić... — zaczął zdławionym wściekłością głosem Pennik.

Przez moment wyglądało na to, że się nie opanuje. Uniósł swoją szeroką dłoń i już... już... a trzasnąłby na odlew policjanta po twarzy, tak od niechcienia, jakby miał przed sobą pajęczynę zagrządzającą drogę. Ale opuścił rękę i na czole wystąpiły mu żyły. Policjant spojrział na niego z nieukrywaniem zainteresowaniem.

— Nie wiem, coś ty zamierzał tą ręką zrobić, cwaniaku — warknął — ale jeżeli jeszcze raz spróbujesz coś podobnego, to się nie pozbierasz.

Drzwi od sali rozpraw zaskrzypiały znowu. Sir Henry, trzymając się pod boki jak baletnica, zbliżał się w ich kierunku.

— Wszystko w porządku, synu — zwrócił się po policjanta. — Pozwólcie mu przejść. Koroner właśnie kończy rozprawę, a ja chcę pogadać z tym panem.

Pennik zszedł z ostatniego stopnia. Postawił na kamiennej podłodze walizkę, zdjął rękawiczki i wsadził je do kieszeni swojego jasnobrązowego płaszcza. Zdawał się nie dostrzegać Sandersa.

— Aha, to śledztwo już się zakończyło? — zapytał. — Przykro mi. Tak się niefortunnie złożyło, że zostałem trochę przetrzymany. Prosto stąd, aby zaoszczędzić czasu, udaję się na lotnisko w Croydon. Dlatego mam przy sobie walizkę i...

— Wygląda pan jak sam maitre elegantiarum, synu — mruknął H. M. przyglądając mu się z żywym zainteresowaniem. — Zastanawiałem się właśnie, czy pan się tutaj zjawi.

— Do usług. A teraz postaramy się rozszyfrować pańskie myśli, sir. — Pennik mówił przymilnym tonem dentysty przed bolesnym zabiegiem. — Muszę się zorientować, o co tu właściwie chodzi. Przyznaję, że zdziwiła mnie decyzja Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w sprawie przeprowadzenia tego śledztwa przy drzwiach zamkniętych. Ciekaw jestem również, dlaczego prasie zabroniono wstępu. Nie widziałem tu ani jednego dziennikarza. Zastanawiałem się nad tym, czy to wszystko nie miało posłużyć jako przynęta, a może wyzwanie pod moim adresem?

Sir Henry potrząsnął głową.

— Nie, synu. Wcale nie chciałem, aby pan tu przyjeżdżał. Naprawdę. Ale, skoro pan już jest tutaj, to myślę, że możemy wejść do środka i posłuchać orzeczenia.

— Ach, stara się pan mnie nastraszyć? — Pennik roześmiał się w twarz swojemu rozmówcy. — To jest niegodne pana, sir. — Otarł się prawie o ramię Sandersa, ale nadal ignorował zupełnie jego obecność. — Zasięgnąłem porady prawnej. Wiem z całą pewnością, że nie mogę zostać skazany za żadne przestępstwo.

— Tak, racja. Nie może pan być skazany za żadne przestępstwo związane z tą sprawą. Ale mimo to wejdźmy i posłuchajmy werdyktu. Taaak. Niech pan go weźmie pod drugie ramię — zwrócił się do nadinspektora, który właśnie wyłonił się z sali rozpraw. — Idziemy.

— Można wiedzieć, co pan robi?

— Idziemy posłuchać werdyktu. Fiu... używa pan perfum, co? A może to brylantyna?

— Czy byłby pan tak uprzejmy zabrać rękę z mojego ramienia?

— Tak jest, przejdziemy tędy. Usiądziemy w ostatnich krzesłach, tu nas nikt nie zobaczy.

Odgłosy z zewnątrz, które słabo docierały na korytarz, uderzyły w nich teraz ze zdwojoną siłą. Zapadał zmierzch, a przesuwane się za oknami w nieprzerwanym korowodzie nogi i twarze rzucały coraz dłuższe cienie na mroczną już salę.

— Panowie przysięgli, czy podjęliście decyzję?

Po ostatnich słowach koronera ławnicy skupili się razem, a następnie rozstąpili, tworząc zwarty front jak drużyna rugby w czasie meczu. W tym właśnie momencie ktoś przytknął do okna aparat fotograficzny z lampą błyskową; światło wpadło do pokoju ukazując Pennika wraz z jego przymusową eskortą. Przewodniczący ławy przysięgłych, czerwony na twarzy, zerwał się na równe nogi. W rękę trzymał kartkę papieru, którą kontemlował ze zmarszczonym czołem.

— Panie koronerze!

— Tak, słucham? Chwileczkę!

Tym razem za oknami policja przypuściła prawdziwy atak. Nogi się rozpierzchły. Przewodniczący nerwowo obejrzał się za siebie. Po chwili opanował się i z ponurą miną spojrzał na kartkę papieru.

— Panie koronerze — powtórzył — zanim przekażę nasze orzeczenie, czy mogę zadać pytanie?

— Tak, tak, oczywiście, jeżeli uważa je pan za konieczne. Co chce pan wiedzieć?

— Panie koronerze, czy jest pan zobowiązany przyjąć każde orzeczenie, które panu przekazemy?

— Oczywiście.

— No, bo kilku z nas nie było tak zupełnie o tym przekonanych — nastawa! przewodniczący. — Przepisy prawne to jedno, a każdy pitrasi je po swojemu. Czy jest jakiś sędzia albo urząd, gdzie składa się apelację, no, coś czy ktoś, kto może odwołać nasze orzeczenie i powiedzieć, że możemy je sobie

wsadzić...

— Nie, oczywiście, że nie — przerwał nerwowo koroner. — I nie widzę powodu, dla którego musi pan używać tego rodzaju określeń i tego rodzaju języka, panie przewodniczący. To nie jest sąd, tylko przewód śledczy i muszę działać zgodnie z waszymi wytycznymi. Ale na pewno...

Przewodniczący wciągnął głęboko powietrze i uniósł do góry potężną pięść, aby powstrzymać dalsze komentarze koronera.

— Dobra, to właśnie chciałem wiedzieć. — Spojrzał na kartkę papieru, którą trzymał w, drugiej dłoni. — My, sędziowie przysięgli — ryknął na całe gardło — orzekamy, że zmarły został z premedytacją zamordowany przez Hermana Pennika przy pomocy czegoś, co się nazywa T e l e force!

Koroner zerwał się na równe nogi. W podnieceniu zapomniał o lampie wiszącej nad stołem. Uderzył czołem w szklany, cienki abażur, który rozdzwonił się donośnie. Sięgając ręką, aby uspokoić dziko roztańczony drut, mówił jednocześnie:

— Panowie, proszę, chwileczkę!

— A co, nie mówiłem ci, Ted, że to mu się nie spodoba — odezwał się jakiś głos.

— Nie mogę, oczywiście, wpływać na wasze orzeczenie, i nie mam zamiaru tego robić. Do was należy osądzanie faktów, a nie do mnie. Ale zanim wasze orzeczenie zostanie oficjalnie zarejestrowane, jeszcze raz proszę, zastanówcie się. Chcecie, żebym oddał Hermana Pennika pod sąd za dokonanie morderstwa?

— Tak, panie koronerze.

— A czy zdajecie sobie sprawę, że taki proces to zwykła farsa? Czy zdajecie sobie sprawę, że nie ma żadnych możliwości skazania go?

Mały, rudowłosy ławnik wyciągnął szyję.

— No, to powinni się wstydzić za siebie — oświadczył. — Mordercy pozwala się latać na wolności, a kto myśli o tym, co się z nami stanie? Mało nas obchodzi, co mówią doktorzy. W gazetach dokładnie opisali całą sprawę! I jeżeli napisali o tym we wszystkich gazetach, to już nie jest polityka, tylko prawda. Było nawet w tym waszym konserwatywnym „Daily Wireless”.

Wywiad z grubą szyszką, sir Henry'm Jak-mu-tam. Jeżeli oni nie mogą go skazać, to ich sprawa i tym bardziej powinni się wstydzić, no, ale myśmy zrobili, co do nas należy.

— Dobrześ mu wygarnął, Charley— przytaknął ktoś z aprobatą.

— Panowie, pozwólcie mi po raz ostatni zwrócić się do was z prośbą o dokładne rozpatrzenie całej sprawy! Czy zastanowiliście się, na przykład, ile będzie kosztował poddatników proces o morderstwo?

— Ile? — zapytał rudowłosy ławnik z żywym zainteresowaniem.

— To nie ma nic wspólnego z naszą rozprawą i...

— Ej, a dopiero co pan powiedział, że ma! — nastawał ten sam głos.

— No, jeżeli już panowie tak bardzo mnie naciskają, to sądzę, że koszty wyniosą około pięciu tysięcy funtów.

— Pięć tysięcy funtów!

— Tak, panowie, coś około tego. Czy nawet to nie ma żadnego znaczenia?

Twarz przewodniczącego aż pociemniała z wściekłości.

— Ma, i to nieliche — syknął. — Jeżeli oni mogą pozwolić sobie na to, żeby rzucać pieniądze w błoto, tak jak robią w wielu wypadkach, to mówię, że, u diabła, mogą trochę wydać na obronę naszych praw. W moim barze był wczoraj wieczorem jeden taki tęgi facet — bardzo grzeczny, prawdziwy dżentelmen, i tak właśnie powiedział. Jeżeli oni mogą rzucać...

Koroner pochylił głowę.

— Nie przeciągajmy dyskusji, panowie. Jestem gotów wysłuchać waszego orzeczenia.

Z powagą przysłuchiwał się odczytanemu po raz wtóry orzeczeniu.

Sanders obserwował jego twarz. Nie miał odwagi spojrzeć na H. M., Mastersa czy Pennika siedzącego pomiędzy nimi. Na surową, bladą twarz koronera padało ostre światło lampy i Sanders mógł przysiąc, że ujrzał na niej z trudem powstrzymywany uśmiech.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Czy jest obecny na sali

oficer policji odpowiedzialny za sprawę?

W głębi podłużnej, ciemnej sali zaskrzypiało odsuwane krzesło i Masters powstał.

— O, nadinspektor? Na podstawie przysługujących mi uprawnień, polecam panu ująć...

— On jest tutaj, sir — przerwał pospiesznie Masters kładąc rękę na ramieniu Pennika. — Proszę powstać i podejść do koronera.

Sędziowie przysięgli zerwali się, jak jeden mąż, na równe nogi. Sanders nie widział twarzy Pennika i bynajmniej nie pragnął jej zobaczyć. Miał świeżo przed oczyma groteskowy obrazek: jasnowidz między H. M. a Mastersem, dźwigającym nową, lśniącą walizkę. Z zewnątrz nie dochodziło już światło. Nogi policjantów zciemniały teraz zupełnie okienka sutereny.

— Pan Herman Pennik? — zapytał koroner.

Pennik skłonił się.

— W związku z orzeczeniem sądu przysięgłych muszę pana oddać pod sąd. Nadinspektor Masters poinformuje pana, że nie jest pan obowiązany do składania zeznań, ale cokolwiek pan powie, zostanie zanotowane i traktowane jako materiał dowodowy. Następnie...

Pennik przerwał, mówił bardzo wyraźnie donośnym głosem.

— Panie koronerze, ta cała sytuacja jest wręcz fantastyczna. Naprawdę nie wiem, czy się śmiać, czy gniewać. Sam pan zresztą powiedział, że mój proces będzie zwykłą farsą.

— Zgadzam się. Gdyby pan był, wbrew moim instrukcjom, na naszej rozprawie — odpowiedział koroner dziwnym tonem — wiedziałby pan, że nawet gdybym był pana obrońcą, nie mógłbym więcej zrobić w pana sprawie, niż zrobiłem. Nie mam wyjścia.

— To jest pozbawione rozsądku. A gdzie tu sprawiedliwość? Jednak, jeżeli upiera się pan przy tym, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zrobić dobrą minę do złej gry. Zgadzam się stawić na mój proces, kiedykolwiek będzie pan to uważał za konieczne. Wie pan, gdzie mnie można znaleźć. A tymczasem spoczywa na mnie poważny obowiązek: wizyta w, Paryżu. Oczywiście, złożę kaucję gwarantującą mój powrót. A teraz,

jeżeli panowie pozwolą, muszę iść...

Dwóch policjantów przeszło przez pokój i stanęło koło drzwi.

Koroner potrząsnął przecząco głową.

— Niestety, proszę pana — powiedział ponuro — to nie jest takie proste. Nie pojedzie pan do Paryża ani gdziekolwiek indziej. Będzie pan przetrzymany w więzieniu aż do procesu, co ograniczy zasięg pańskiej działalności do czterech ścian.

Minęło kilka sekund, zanim Pennik przemówił. Sanders zauważył, jak jego szerokie ramiona zadrżały pod płaszczem.

— Chyba pan nie chce przez to powiedzieć, że... że zostanie uwięziony? Zamknięty w celi?

— Oczywiście. Takie jest normalne postępowanie. 'Nie może pan oczekiwać, że będzie pan traktowany lepiej lub gorzej niż inni ludzie oskarżeni o morderstwo i przekazani sądowi!

— Ale ja nie mogę zostać skazany! — bronił się rozpaczliwie Pennik. — Sam pan przecież tak powiedział. Zamykać człowieka, który nie może być skazany, to oczywiste szaleństwo. Dlatego, że paczka głupców postanowiła podjąć decyzję niezgodną z prawem i zdrowym rozsądkiem...

— Co, pije pan do nas? — domagał się gwałtownie wyjaśnień przewodniczący ławników zeskakując z podium.

Koroner szybko odwrócił się.

— Panowie przysięgli, bądźcie uprzejmi udać się do sąsiedniego pokoju i poczekać tam na mnie. Chciałbym zamienić z wami kilka słów. Proszę, nie sprzeczczać się ze mną, ale spełnijcie moją prośbę. Nie zajmę panom dużo czasu... Panie Pennik, nie mogę już dłużej z panem dyskutować. Nadinspektorze, zostawiam więźnia pod pana opieką.

Pennik zaczął nieomal krzyczeć.

— Kiedy odbędzie się proces? Jak długo będziecie trzymali mnie w więzieniu!?

— Tego nie mogę dokładnie powiedzieć. Teraz mamy początek maja. Najprawdopodobniej pana proces odbędzie się pod koniec lipca w Kingston. Naprawdę, trudno mi podać panu dokładniejsze informacje.

— Trzy miesiące!

— Coś około tego...

Pomimo że Pennik był barczystym mężczyzną, Sanders nie uwierzyłby nigdy, że aż tyle jest w nim siły. Skoczył z taką szybkością, że Masters zdążył zaledwie musnąć palcami wierzch płaszcza. Pennik uniósł wysoko ciężki, dębowy stół i opuściłby go jak kamienną płytę na głowę koronera, gdyby nie to, że skręcił nogę w kostce. Stół za-kołysał się w powietrzu; w mgnieniu oka nadinspektor rzucił się na Pennika chwytając go żelaznym uściskiem w pasie. Dwóch policjantów pospieszyło z pomocą. Stół jeszcze przez sekundę kołysał się w dłoniach Pennika, po czym opadł z ciężkim łoskotem na kamienną posadzkę.

Koroner blady na twarzy dotknął palcem okularów, tak jak gdyby chciał się upewnić, że znajdują się jeszcze na jego nosie.

— Myślę, że to wystarczy. Trzyma go pan dobrze, inspektorze?

— Jeszcze jak, sir.

— Uważam, że lepiej nie ryzykować niczego. Po wybuchu tego rodzaju zdaję całkowicie na pana wybór odpowiedniej celi dla aresztowanego. Prosił pan — zwrócił się do Pennika — o dokładne trzymanie się przepisów prawnych. Postępujemy zgodnie z nimi. Zauważyłem, że nie odpowiada panu smak lekarstwa, które chciał pan zaaplikować innym. Panowie przysięgli, może udacie się za mną?...

Wśród ogólnego hałasu, ponaglani przez koronera, ławnicy przeszli do sąsiedniego pokoju. W mrocznej sali pozostał jedynie pokonany jasnowidz i jego pogromcy.

Narastającą ciszę przerwał drżący głos Pennika:

— Boże w niebiosach — wyszeptał, przykładając zaciśnięte pięści do oczu — nie możecie tego zrobić. To jest potworne. Brutalne. Przecież to czysta tortura. Trzy miesiące w celi, trzy miesiące zamknięcia, trzy miesiące, żeby zwariować. Ja tego nie wytrzymam! Domagam się sprawiedliwości!

Sir Henry przytłumionym głosem wydał jakieś rozkazy. Ruszył naprzód prawie bez szmeru, co było zadziwiające przy jego tuszy, i zatrzymał się przy Penniku. Wziął krzesło i przesunął je do przodu.

— Siadaj, synu — powiedział.

ROZDZIAŁ XVIII

Dzielnicowy Leonard Riddle miał swoją stałą trasę, która, prawdę powiedziawszy, należała do najbardziej spokojnych w okolicy. I Riddle był bardzo z tego zadowolony.

Lubił tę trasę nie tylko dlatego, że reprezentowała sobą stateczne, a zarazem urozmaicone życie: znajomość ze szlachetnie urodzonymi mieszkańcami tej dzielnicy łechtała przyjemnie jego próżność. Znajdował się poniekąd za kulisami, ale w ten sposób, chociaż niewidocznie, pomagał przecież w strzeżeniu larów i penatów możliwych tego świata. Trasa jego przebiegała przez Park Lane, następnie wzdłuż Mount Street do Berkeley Square, skręcała w Curzon Street i z powrotem do Park Lane. Zabawne, jak wiele informacji można było zebrać o ludziach, chociaż zdawali się oni wcale nie zwracać uwagi na solidną postać policjanta. Wiedział dobrze, co się dzieje w jego dzielnicy. Gdzie kto-poszedł, jakie kto ma kłopoty domowe i wiele innych rzeczy o tych, dla których istniał jedynie jako fragment krajobrazu londyńskiej ulicy; jednakże jako żywy fragment, któremu wieczorem rzucało się kilka uprzejmych słów pożegnania.

Riddle miał swoje ulubione odcinki trasy, tak samo jak miał faworytów wśród mieszkańców. Znał nazwiska kilku z nich, większość szoferów, należała do jego przyjaciół. Jednak w stosunku do dużej części swoich podopiecznych postępował jak wykwalifikowany szatniarz, który miał zarejestrowane numerki w mózgu i nigdy, nawet w największym tłoku, nie pomylił się przy wydaniu odpowiedniego kapelusza. Czuł się trochę jak dobry Bóg czuwający nad zbłąkanymi owieczkami. A kiedy zdarzyło się, że ; ktoś mu powiedział, iż jest znawcą ludzkiej natury, sprawiło mu to większą przyjemność niż trzy kufle jego ulubionego piwa.

Określenie „znawca ludzkiej natury” zostało mu nadane przez jeden z jego „numerów”. Kiedyś, o trzeciej nad ranem, numer jedenasty z D'Orsay Street (junior a nie starszy pan)

wracał do domu z cocktail-party. Będąc po kilku głębszych, numer jedenasty D'Orsay Street objął skrzynkę pocztową i początkowo chciał koniecznie wygłosić prelekcję na temat astronomii, a następnie o przewrotności kobiecej natury. Jego filozoficzny nastrój był spowodowany „koszem”, który dopiero co dostał od narzeczonej. W czasie swojego przydługiego wywodu nazwał Leonarda Riddle'a znawcą ludzkiej natury. Po prostu zachował się jak my wszyscy, kiedy lekko zawiani pragniemy widzieć w naszym rozmówcy równie nie-1 przeciętny intelekt, jak nasz własny. Ale od tego czasu dzielnicowy polubił numer jedenasty. Była to jeszcze i jedna przyczyna, dla której ulica D'Orsay, tworząca ślepy zaułek na tyłach Mount Street, tak bardzo go interesowała.

Teraz jednak zainteresowanie jego tą ulicą nie wynikało ze zbyt przyjemnych asocjacji. Riddle znał tam nazwiska kilku mieszkańców. Numer dziewiąty, dla przykładu, wspaniały dwór, zbudowany w stylu Regencji, obecnie przerobiony na apartamenty o nieprawdopodobnie wygórowanych czynszach. Państwo Constable zajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze. Podobnie jak większość londyńczyków, Riddle wiedział wszystko o losie rodziny Constable'ów; ale wiadomości te doszły do niego dopiero niedawno, kiedy echa zbrodni dotarły do ekskluzywnej dzielnicy Mayfair.

A choćby ta biedna pani Constable. Ileż to razy próbowała wyciągnąć od niego informacje o pracy policji. Kiedyś zbiegła ze schodów prosto na ulicę z dużym kapeluszem w rękę i podskakując starała się dotrzymać mu kroku, zarzucając przy tym mnóstwem pytań. A Riddle zdecydowanie nie lubił, kiedy ktoś maszerował wraz z nim po jego trasie.

Od wielu nocy Riddle myślał o niej. Przesadą byłoby powiedzieć, że był przez nią nawiedzany; nigdy nic go do tej pory nie nawiedzało. Ale w czasie tej całej wrzawy, kiedy we wszystkich gazetach i w radiu bez przerwy komentowano Teleforce, zawsze w pobliżu numeru dziewiątego na D'Orsay Street zwalniał krok i zamyślał się głęboko.

Riddle nie był specjalnie zainteresowany- śledzeniem przestępstw kryminalnych Kiedy przeprowadzono nalot na

jeden z wytwornych domów przy Curzon Street i odkryto w nim jaskinię hazardu, był tym zupełnie zaskoczony. Mimo że znał dobrze swoją dzielnicę, nie miał pojęcia o istnieniu tego rodzaju spelunki, dopóki go o tym nie poinformowano. Przez dłuższy czas czuł głęboką urazę do jaskini hazardu za to, że prosperowała tak znakomicie poza jego plecami. Ale w związku z ostatnimi wydarzeniami, podobnie i tym razem, jak większość londyńczyków, szukał po omacku jakichś wyjaśnień. Inna sprawa, że nie lubił myśleć na ten temat; nie lubił myśleć na temat niczego, co burzyło jego spokój. Taki już był i nie miał na to rady.

W tę środową ulewną noc — parę godzin po śledztwie w sprawie przyczyny zgonu Samuela Constable'a — kiedy przechodził koło kiosku z gazetami, oczy jego zatrzymały się na olbrzymim nagłówku reklamującym ostatnie sensacje. Nie czytał jeszcze dotąd wieczornej gazety, nie miał na to czasu. W jakiś mglisty sposób miał nadzieję, że szybko załatwią się z Hermanem Pennikiem. Ale czerwone litery tytułu rozczarowały go gorzko.

PENNIK W PARYŻU Gniew wezbrał w duszy Riddle'a jak spieniona rzeka w porze deszczowej. Pozwolili mu więc wyjechać. Na pewno teraz będzie poszukiwał nowej ofiary. I tym razem tylko Bóg wie, jak daleko ta bestia się posunie. Riddle miał to samo uczucie, kiedy zbliżał się kryzys wojenny: że nikomu i niczemu na świecie nie można wierzyć; że w przeciągu zaledwie kilku dni zostaje się rzuconym w wir nieprawdopodobnych wprost wydarzeń, które wszystko wywracają do góry nogami.

Przed wejściem na Mount Street zwolnił kroku. Korciło go, żeby zrobić coś, czego nigdy dotąd w życiu nie zrobił. Miał kumpla, który z uporem piął się po szczeblach kariery policyjnej: był obecnie sierżantem w laboratorium daktyloskopii należącym do ich okręgu. Dzielnicowego korciło, żeby zadzwonić do Bill a Wvne'a (mógł skorzystać z telefonu aptekarza, pod czwórka) i podzielić się z nim podejrzeniem, które od pewnego czasu zagnieździło się w jego mózgu. Oczywiście, Bill nie był żadną grubą rybą. No, ale z drugiej

znów strony był jednak pracownikiem policji kryminalnej i na pewno będzie wiedział, do kogo się zwrócić. Cóż, Riddle nie znał osobiście żadnej grubej ryby. Co prawda z widzenia znał jednego z nadinspektorów Scotland Yardu, Humphreya Mastersa; natknął się na niego kilka lat temu, kiedy wybuchła awantura na Lancaster Mews — głośna sprawa pod kryptonimem „Dziesięć Filiżanek”. Był tam również starszy, gruby facet, jak to on się nazywał... Merrivale... oczywiście. Tak, ale lepiej będzie pogadać z Billem i niech on coś zrobi.

Zadzwoń do Billa?

Nie., lepiej nie. Zmyje mu tylko głowę i słusznie.

Ruszył w dalszy obchód. Słabo oświetlona ulica robiła wrażenie wymarłej. Na bezchmurnym niebie świecił księżyc i wilgotny, porywisty wiatr gnał po trotuarze brudne gazety.

Monotonny szum ruchu ulicznego; monotonne tykanie zegarka; wszystko monotonne. Była za dwadzieścia minut dziesiąta. Pennik w Paryżu, Pennik w Paryżu, Pennik w Paryżu! Zaraz, zaraz: czy nie ma przemawiać przez radio paryskie za kwadrans dziesiąta? Właściciel owocarni na Russel Lane 4-b, małej alejce odległej tylko o parę kroków, ma radio i właściwie mógłby wpaść do niego na kilka minut i posłuchać. Ale lepiej nie. O dziesiątej miał spotkać się ze swoim sierżantem, nie może ryzykować spóźnienia. Odbędzie więc ten obchód z dokładnością co do sekundy.

Riddle jeszcze raz zwalczył pokusę i trzymając się regularnej trasy skręcił w ślepy zaułek, zwany D'Orsay Street.

W połowie drogi nagle przystanął.

Do uszu jego dobiegł niezwykle hałas.

Znał dobrze odgłosy swoich ulic, tak jak człowiek zamieszkały od lat w tym samym pokoju zna wszystkie rysy na suficie. Jego mózg rejestrował każdy niespodziewany dźwięk na kilka sekund wcześniej, niż zaczynało się świadome myślenie. Był to słaby odgłos, ale Riddle, kierując się wyostrzonym słuchem, szybko zorientował się, skąd pochodzi. W szklanej tarczy nad masywną bramą ostro odbijał się księżyc. D'Orsay Street numer dziewięć.

Obok numeru dziewiętego, którego pierwsze piętro

zajmowali państwo Constable, znajdowała się wąska furtka z ozdobnej 'żelaznej kraty. Na tyłach numeru dziewiątego, a Riddle znał to wszystko jak własne palce, za wysokim murem rozpościerał się duży ogród, do którego od żelaznej furtki prowadziła wąska- ścieżka. Ku wielkiemu zaniepokojeniu dzielnicowego furtka ta była teraz Otwarta i wiatr poruszał nią ze zgrzytem. Zdarzyło się to po raz pierwszy od czterech lat, podczas których patrolował swoją dzielnicę.

Państwo Constable nie żyli, tak że to nie oni otworzyli furtkę. Lokator parterowego apartamentu znajdował się daleko poza domem. Tego Riddle był pewien. Nie był natomiast pewien, co się dzieje z mieszkańcem najwyższego piętra. Ostatnio przebywał w południowej Francji, ale może już wrócił. Tak, ale jeżeli był w domu, to świeciło się tam zwykle we wszystkich oknach i nieraz dobiegały stamtąd odgłosy wesolej zabawy. Teraz jednak dom na D'Orsay Street numer dziewięć stał cichy i ciemny, tylko furtka bezustannie skrzypiała.

Riddle przytrzymał ją ręką i wszedł do ogrodu' Nic było tam wiele do oglądania; tylko drzewa i trawa, na którą padał blask księżyca, pogrążając w cieniu tył domu. W mroku dojrzał zarys budynku pokrytego białym tynkiem, który łuszczył się jak olbrzymie liszaje. Wzdłuż każdego piętra ciągnął się długi, żelazny balkon z ozdobną poręczą i oddzielnymi schodami na dół, tak aby każdy lokator miał dostęp do ogrodu.

Kryjąc się w cieniu domu Riddle rozejrzał się wokoło.

Zamarł w bezruchu z wyciągniętą do przodu dłonią. Na trawniku stał Pennik.

Nie mógł się pomylić; ta twarz, na którą padało teraz światło księżyca, już od kilku dni patrzyła na niego z każdej gazety. Kasztan obsypany młodymi listkami rzucił gęsty cień, ale Pennik wpatrując się uważnie w dom — wyszedł spod tej naturalnej osłony.

Był bez kapelusza i jego twarz (a może to była wina oświetlenia) przypominała twarz topielca. Dzielnicowy zauważył, że wsunął rękę do kieszeni i coś wyciągnął. Mimo wiatru szumiącego w gałęziach usłyszał szcęk sprężyny i ujrzał światło odbijające się w ostrzu noża. Pennik wsunąwszy

otwarty nóż do kieszeni zaczął skradać się cicho w kierunku domu.

Policjant ruszył w ślad za nim, trzymając się cienia. Kiedy Pennik wszedł na żelazne schodki, Riddle był tuż za jego plecami. Mógł złapać go za rękę, kiedy jasnowidz uchwycił się poręczy. Ale nie zrobił tego; poczekał, aż Pennik przeszedł kilka stopni i dopiero wtedy podążył za nim.

To groteskowe, prawie małpie wspinanie się po schodkach odbywało się w zupełnej ciszy i w ciemnościach. Pennik dotąd nie obejrzał się i na tym Riddle opierał całą swoją nadzieję, że nie zostanie spostrzeżony. Myślał tylko o jednym: koniec końcem on miał rację. Powinien był zadzwonić do Billa Wynne'a. Na pewno zyskałby sobie dobrą markę w komendzie.

Ach, nie ma znaczenia. Leonard Riddle i tak odczuwał głęboką satysfakcję. Gdyby tylko chciał, mógłby wyjaśnić niejedną rzecz. Znowuż Pennik był w dwóch miejscach naraz? Wykluczone! I Len Riddle mógłby im powiedzieć, na czym polega cały trik! Wprawdzie w Londynie dużo wiedzą na temat pracy detektywa, ale za to mało wiedzą o kłusownikach...

Lekko zazgrzytały żelazne schodki. Pennik był już prawie na pierwszym piętrze; Riddle odróżnił na tle muru ciemne oczodoły okien. Nagle jasnowidz zatrzymał się, a kilka stopni za nim zamarł w bezruchu dzielnicowy. Na balkonie, nad ich głowami znajdował się jakiś mężczyzna.

Był średniego wzrostu, nosił kapelusz i trzymał się poręczy. Riddle nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale odniósł wrażenie, że był młody; wydawało mu się również, że kiedy głowa Pennika ukazała się zza poręczy balkonu, mężczyzna przeżył głęboki szok. Przez kilka sekund obaj patrzyli na siebie w milczeniu.

Pennik przemówił pierwszy, ledwo dosłyszalnym szeptem, tak że trudno było odróżnić słowa.

— Bobry wieczór, doktorze Sanders...

(Sanders? Sanders? Gdzie on już słyszał to nazwisko?)

Nieznajomy poruszył się i stanął w obronnej postawie na szczycie schodów. Mówił równie głębokim szeptem:

— Co pan tu robi?

— Przyszedłem uregulować kilka spraw...

Przytłumiony odgłosami nocy zegar na odległej wieży kościelnej wybił godzinę za piętnaście dziesiąta. Pennik, odchyliwszy głowę do tyłu, uniósł rękę w ciemności i usiłował dostrzec wskazówki zegarka.

— Co do sekundy — szepnął z zadowoleniem. — A co pan tutaj robi, doktorze?

— Sam bym chciał to wiedzieć — odrzekł mężczyzna, nazwany Sandersem, chwyciwszy się ręką mocno poręczy balkonu. — Na Boga, sam bym chciał to wiedzieć. Gdyby mi chociaż napomknęli...

— Ja mogę panu powiedzieć — mruknął Pennik i błyskawicznie znalazł się na balkonie.

W tym momencie dzielnicowy zaczął działać. Nie dramatycznie, broń Boże, bowiem w jego naturze nie leżało dramatyzowanie jakichkolwiek sytuacji. Po prostu, jednym sprawnym, długim susem przebył schody oddzielające go od balkonu i zagiętym palcem delikatnie stuknął Pennika w plecy. Odczepił latarkę od pasa, zapalił ją i, kiedy Pennik gwałtownie odwrócił się, skierował ostre światło prosto na niego.

— Zaraz, zaraz — powiedział Riddle. — Co się tutaj dzieje?

Było to czysto retoryczne pytanie. Sam nie wiedział, jakiej spodziewać się odpowiedzi. Ale ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał, był wyraz, który malował się na zwróconej ku niemu twarzy. Pennik poruszał się dotąd pewnie i spokojnie, a to, co ujrzał dzielnicowy, było do tego stopnia nieoczekiwane, że aż nim wstrząsnęło. Pennik płakał jak małe dziecko; płakał tak rozpaczliwie, że powieki miał zapuchnięte a białka zaczerwienione. Drżącą ręką zasłonił oczy od światła. Z wygiętych płaczliwie ust wydobywał się jakiś nieartykułowany bełkot.

Na żelaznych płytach balkonu coś się poruszyło. Były to ostrożne kroki, ale tak wyraźne, jak chrobotanie szczurów. Ktoś zapalił latarkę i oświetlił nią Riddle'a.

— Co wy, do diabła, tutaj robicie? — warknął cicho nabrzmiały wściekłością głos. — Zgaście natychmiast to światło!

Oba światła znikły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej,

ale w ostatnim błysku latarki Riddle zobaczył twarz swojego rozmówcy i z wrażenia otworzył szeroko usta. Był to nadinspektor Masters w nasuniętym na bakier meloniku; lewą ręką odpędzał się niecierpliwie od światła jak od atakujących komarów. Obok niego stał starszy dżentelmen, którego Riddle dobrze pamiętał z awantury na Lancaster Mews. Dzielnicowy usiłował zebrać swoje rozbiegane myśli. Taka okazja...

— Co jest? — mruzczał Masters. — Czego chcecie?

— Furtka była otwarta, sir... — zaczął machinalnie Riddle. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z dużo ważniejszego wydarzenia. — Mam Pennika — dodał zaciskając rękę na kołnierzu tego ostatniego.

— Tak, tak, w porządku. Ale teraz zwiewajcie! Już was tu nie ma! Albo nie, zostańcie, możemy was potrzebować.

— Sir, to jest Pennik. Wcałe nie wyjechał do Paryża.

I ja wiem, w jaki sposób może znajdować się w dwóch miejscach naraz. To samo robili kłusownicy w Lancashire. Mój tata...

— Puśćcie go! Co wy wyprawiacie?

— Bardzo przepraszam, sir. Chciałem zadzwonić do Billa W'ynne'a, ale może lepiej będzie, jak pan mnie wysłucha. W Lancashire mieliśmy dwóch braci bliźniaków, najlepsi kłusownicy na całą okolicę. Potrafili nabić w butelkę wszystkich leśniczych, razem z wysokim sądem. Tom i Harry Godden; jeden sprzątał pod nosem dozorca co lepszą zwierzynę z parku sir Marka Wilmana, no i miał świetne alibi, bo drugi siedział przy piwie w karczmie w towarzystwie kilku świadków...

— Upadliście na głowę?

— Jest dwóch Penników — obstawał przy swoim Riddle zaciskając palce na kołnierzu swojego jeńca. — Już przedtem tak mi się wydawało, sir, ale teraz wiem na pewno.

— Nie gorączkujcie się — przerwał jakiś gruby głos i Riddle usłyszał ciężki, astmatyczny oddech sir Henry Merrivale'a. — Tylko bez nerwów, inspektorze. On w pewnym sensie ma rację...

— Dziękuję, sir. Mój tata..

— Tak, tak, wolnego. Puść go, synu, zabierz rękę. On nie

zrobił nic złego.

— Ale te wszystkie morderstwa...

— On nikogo nie zamordował.

Masters zrobił krok w jego kierunku i ręka Riddle'a bezwolnie opadła. Zapadła cisza, którą przerwał Sanders. Mówił spokojnie i rozsądnie; a jednak dzielnicowy miał wrażenie, że domagał się stanowczo odpowiedzi i gdyby tylko rozumiał, o co tu chodzi, dałby mu ją natychmiast.

— Karty na stół, sir Henry — zniecierpliwził się Sanders. — To nie jest najlepszy czas na sztuki magiczne. Prosię mi powiedzieć, co mam robić, a zrobię to. Proszę mi wyjaśnić, jak dalece jestem uwikłany w to wszystko, przed czym mieć się na baczności i jak mogę pomóc. Ale niech mi pan wierzy, że będzie nie, tylko uczciwiej, ale i rozsądniej, jeżeli choć trochę zorientuje mnie pan w tej całej sprawie.

— Taaak? A o co chodzi?

— Stwierdził pan przed chwilą, że Pennik nie popełnił tych morderstw?

— On niczego nie zrobił — wyjaśnił H. M. zmęczonym głosem. — Nie zamordował nikogo i nie ma zielonego pojęcia o żadnym morderstwie. Jest absolutnie niewinny i nie współdziałał w niczym, co miałoby charakter zbrodniczy.

Pod nimi wiatr szumiał w młodych, wiosennych liściach.

— Tak to wygląda — ciągnął dalej H. M. — To nie ten upiór dręczył nas i świat od przeszło tygodnia. Ale chodź ze mną, synu. Pokażę panu prawdziwego upióra...

Ruszył w kierunku schodów prowadzących na balkon położony piętro wyżej. Mimo ciężkiego chodu i poważnej tuszy poruszał się lekko i zwinnie. Sanders postępował w ślad za nim.

— Ale tu jest przecież mieszkanie Constable'ow! O, to! Na tym piętrze! Oni tutaj mieszkali. Dlaczego idziemy wyżej? — szeptem dopytywał się dzielnicowy.

Ta cała nienaturalna rozmowa, prowadzona zduszonym szeptem, zaczęła wszystkim działać na nerwy. Pierwszy wstąpił na schody H. M., a za nim reszta. Na najwyższym piętrze promień światła księżycowego przedostał się przez żelazne ozdoby balkonu. Sir Henry przystanął i odwrócił się.

Światło odbiło się w jego okularach i w meszku staromodnego melonika zsuniętego na tył głowy. Rozpostarł szeroko ramiona, jak gdyby bronił przejścia. W chwili, kiedy odwrócił się do nich, wszyscy usłyszeli przytłumione, ale ostre dzwonienie: był to dzwonek do frontowych drzwi mieszkania na ostatnim piętrze.

— To chyba dzwoni morderca — szepnął H. M. — Słuchajcie, mamy doskonały punkt obserwacyjny przy oknach. Postarałem się o to, aby były nie domknięte. Jeżeli ktokolwiek szepnie choć słówko, zamorduję... Tam na górze znajduje się mieszkanie osoby, będącej prawie od początku tej sprawy głównym celem, i która, według zamierzeń mordercy, ma umrzeć dzisiejszej nocy. Chodźmy...

Sir Henry zniknął im z oczu. Balkon na ostatnim piętrze nie posiadał daszku. Światło księżyca wysrebrzało jego żelazną konstrukcję i wysokie francuskie okna. Dwa z nich, przysłonięte grubymi różowymi zasłonami, pozostawiono lekko uchylone. W tej całej scenie było coś nierealnego, bowiem poza ciężkimi draperiami z okien spływała cieniutka jak mgła, złotawa siatka. Nawet najłżejszy wiaterek nie poruszał nią. Jakby przez woal zajrzeli do wnętrza słabo oświetlonego pokoju.

Była to sypialnia albo buduar, umeblowany w stylu francuskim z połowy dziewiętnastego wieku. Obite jedwabiem ściany grały ciepłą gamą kolorów w lustrach, zdobnych u góry w medaliony. Ze złożonej obręczy na suficie opadały bogate draperie tworząc rodzaj namiotu wokoło łóżka ustawionego po lewej stronie pokoju. Ciężki żyrandol składał się z mnóstwa drobnych kryształków. Ale poza dwoma kinkietami, w całym pokoju nie było żadnego innego światła. Ktoś, kogo nie mogli dojrzeć, najprawdopodobniej właściciel mieszkania, siedział w fotelu z wysokim oparciem, zwrócony tyłem do okna.

Dzwonek do drzwi, naciśnięty ręką 'mordercy, zadzwieczał raz jeszcze. Z fotela odezwał się głos zapraszający do wejścia. Do uszu nasłuchujących za oknami dobiegł przytłumiony odgłos kroków.

Sir Henry chwycił za ramię Sandersa, którego serce waliło jak młot pneumatyczny, i pchnął go w przerwę pomiędzy

zasłonami. Dokładnie naprzeciwko niego znajdowały się drzwi. Otworzyły się bez szmeru i oczekiwany gość wszedł do pokoju.

W tym momencie dzielnicowy po raz pierwszy w życiu sprzeniewierzył się rozkazom i przemówił trzęsącym, przerywanym szeptem, prosto w ucho Sandersa.

— Ja... ja wiem, kto to jest, sir. Ona cz... często odwiedza swoją macochę. To panna Victoria Keen.

ROZDZIAŁ XIX

Nierealność tej całej przesłoniętej złotym woalem sceny z dwoma kinkietami rzucającymi nikłe światło na obite jedwabiem ściany, grube dywany tłumiące kroki, a nawet głosy — wszystko to przytępiało umysły spoglądających przez okno mężczyzn jak silna dawka opium.

Do tego całego przepychu nie pasowała skromna i niepozorna postać Vicky. Wniosła wprawdzie ze sobą atmosferę pewnego podniecenia, a policzki miała mocno zarumienione, ale mogło to być rezultatem szybkiego wspinania się po schodach. Pod prawym ramieniem trzymała dużą, czworokątną paczkę owiniętą w brązowy papier. Ubrana była w ładnie skrojony kostium z ciemnozielonego tweedu i miękkiej, filcowej kapeluszy nasuniętej na oczy. Twarz jej powoli rozjaśniła się szczerym i bezpośrednim uśmiechem.

— Kochanie, jak to dobrze, że przyszedłeś! — rozległo się z głębokiego fotela serdeczne powitanie pani domu. Zerwała się na widok gościa.

Sanders po raz pierwszy zobaczył wdowę po Josephia Keenie, a raczej jej odbicie, w jednym z podłużnych lusterek na przeciwległej ścianie. Była to mała, pulchna, wyjątkowo ładna blondynka, z lokami opadającymi na ramiona, szerokimi ustami i oczami, w których migotały wesołe błyski. Choć mniej więcej w wieku Vicky wyglądała przy niej drobno i nieporadnie. Nosila négligé z delikatnej koronki, który pochlebnie podkreślał jej kształty. Podbiegła do Vicky i ucałowała ją głośno w oba policzki.

— Jak się masz, Cynthio?! — Vicky pochyliła głowę przyjmując pocałunek.

— Wiedziałam, że przyjdiesz — powiedziała z zadowoleniem Cynthia. — Przynależę ci, że poza nami nikogo nie będzie i dotrzymałam słowa. Vicky, jesteś zupełnie nieznośna, od wielu już dni starałam się skomunikować z tobą...

— Przecież wróciłeś z Riwieri dopiero w niedzielę —

zaprotestowała Vicky. Zamyśliła się i po paru sekundach zapytała zmienionym głosem: — Jak było na Riwierze?

— Bosko! Zupełnie cudownie!

— Wyobrażam sobie.

— Spotkałam najprzyjemniejszego... ale to nieważne. Umieram z ciekawości... musisz mi opowiedzieć wszystko o Penniku. Vicky, stałaś się sławna. I te okropne historie w gazetach, naprawdę nie wiem, co się z nami dzieje. A ty w centrum podniecających wydarzeń. Ale nie to jest najważniejsze! Pennik! Mówią, że zrobiłby wszystko dla ciebie, że cię uwielbia i na twoim punkcie jest zupełnie zwariowany...

— Tak, chyba tak.

— Stella Erskine widziała was wczoraj wieczorem w restauracji Boroniniego. Powiedziała, że przy wszystkich pochylił się i pocałował cię w rękę. Na kontynencie to stary zwyczaj, ale u nas daje dużo do myślenia... Nie jesteś podniecona?. Ja bym chyba wylazła ze skóry. To tak, jak gdybyś pokazywała się publicznie, z Hitlerem albo Mussolinim; niebywała sensacja, rozumiesz, o co mi chodzi? Wiesz, Vicky, ludzie po prostu nie dają mi spokoju, od kiedy dowiedzieli się, że jesteśmy spowinowacane. Ale ja będę pierwsza, której wszystko opowiesz, co? Proszę cię, Vicky!

— Opowiem ci wszystko dokładnie. Możesz być pewna, moja droga.

Cynthia aż podskoczyła z zadowolenia.

— Kochana Vicky! Chodź tutaj i siadaj koło mnie. Nie mogę wytrzymać z ciekawości. Czy on jest przyjemny? Czy ma... wiesz, co mam na myśli, kochanie? Mówią, że to jego prawdziwe, wielkie uczucie jak... no, pamiętasz te książki o królach francuskich, którzy tyle szumu robili wokół tego... — zamyśliła się, ale niezbyt poważnie i wesoło paplała dalej: — Stella mówi, żebym była ostrożna. Podobno Pennik powiedział, że nie zasługuję na to, żebym żyła, bo zamiast ciebie ja otrzymałam spadek po twoim ojcu. Co za absurd! No, powiedz sama, kochanie! Ale proszę cię, nie stój jak posąg i rozbierz się. A co to za paczka?

— Prezent dla ciebie.

Cynthia otworzyła szeroko oczy i aż zarumieniła się z zadowolenia.

— Dla mnie? Och, Vicky, jak to ładnie z twojej strony. Ale to mi przypomniało, że również przywiozłam dla ciebie coś z Riwiery. Niby drobiazg, ale najlepszy zegarek, jaki mieli w sklepie. Ma dużo kamieni w werku, czy jak to tam się nazywa; zupełnie nie znam się na tym. No i wygadałam się, co ci przywiozłam. A co ty tam masz? Proszę cię, rozpakujmy, wiesz, jaka jestem ciekawska!

— Za minutkę, moja droga — odpowiedziała zimno Vicky.

Unikając zręcznie wyciągniętych rąk gospodyni, położyła paczkę na marmurowym gzymsie kominka. Uśmiechnęła się, zdjęła z głowy kapelusz i odgarnęła energicznym ruchem brązowe, lśniące włosy.

— Vicky! Czy stało się coś złego? Przecież ty cała drzysz!

— Wydaje ci się, moja droga. Czy mogę na chwilę wejść do łazienki?

— Oczywiście — Cynthia uśmiechnęła się filuternie.

Vicky obrzuciła swoją towarzyszkę dziwnie przeciągłym spojrzeniem, sztuczny uśmiech nie schodził jej z twarzy; i Sanders miał wrażenie, że serce w nim na moment zamarło. Następnie schwyciła torebkę, szybkim krokiem przeszła przez pokój do łazienki i zamknęła drzwi za sobą.

Doktor wyraźnie słyszał tykanie czyjegoś zegarka. Głowę miał zupełnie pustą; nie miał odwagi myśleć. W pewnym momencie postąpił krok naprzód, ale palce H. M. kurczowo wpiły się w jego ramię.

Cynthia zanuciła coś pod nosem; powoli i z upodobaniem przejrzała się w lustrze i zaśmiała nerwowo. Usiadła w fotelu. Z pudełka leżącego na stoliku wyciągnęła papieros, zapaliła go i prawie natychmiast zgasła. Była tak widocznie spragniona wszelkich informacji, że nie mogła usiedzieć spokojnie. Drzwi do łazienki otworzyły się i atmosfera całego pokoju uległa zmianie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Trudno jednak byłoby powiedzieć, na czym to polegało. Przyćmione światło kinkietów umieszczonych po obu stronach drzwi łazienki rzucało ukośne cienie na twarz Vicky. Może była

niecو mocniej zarumieniona i oddychała trochę szybciej. Wyglądała jak zwykle przyjemnie i sprawiała wrażenie opanowanej i spokojnej. Rękami założonymi do tyłu zatrzasnęła drzwi do łazienki. Zrobiła krok do przodu.

— Kochanie, co się z tobą dzieje? Dawno już nie widziałam podobnie idiotycznego wyrazu twarzy! Czy stało się coś złego?

Vicky ciągle trzymając ręce założone do tyłu zrobiła następny krok.

— Vicky!

— Nic... — powiedziała Vicky swoim spokojnym, przyjemnym głosem. — Nic złego się nie stało, tylko...

Kilkoma skokami znalazła się przy fotelu. W tym momencie mężczyźni stojący za oknem poczuli zapach przedostający się z przegrzanego pokoju — zapach chloroformu. Cynthia widocznie również go poczuła albo zaniepokoiło ją coś w zachowaniu Vicky, bowiem odwróciła się gwałtownie i jej śmiertelnie blada twarz odbiła się w lustrach wiszących na ścianach. Vicky nie podniosła głosu, ale różnica pomiędzy jej spokojnym tonem a znaczeniem słów była przerażająca.

— ...tylko zabiję cię, moja droga, tak jak zabiłam Minę Constable — powiedziała spokojnie i rzuciła się na swoją ofiarę.

Pośpieszyła się trochę z tym oświadczeniem, bowiem każdy lekarz mógłby jej powiedzieć, że zaaplikowanie chloroformu broniącemu się przed tym pacjentowi wcale nie jest tak łatwe, jak to się niektórym prawnikom wydaje. Ręcznik nasycony chloroformem omal nie wysunął się jej z rąk i Cynthia otworzyła usta do krzyku. Przez moment widzieli białe zęby, zanim Vicky brutalnym ruchem nie przycisnęła jej głowy do swojego ramienia. Obie kobiety zniknęły za oparciem wysokiego fotela. W ciszy słychać było gwałtowne oddechy i zamierające odgłosy walki. Minęła chyba minuta, zanim stopy Cynthii, w białych, satynowych pantofelkach, przestały kopać i spoczęły bez ruchu na podłodze.

Vicky wstała i cofnęła się do tyłu.

Włosy zakrywały prawie całą jej twarz i oddychała ciężko. Niebieskie oczy były rozbiegane i czujne. Z nerwowym napięciem lustrowały każdy kąt, starając się przeniknąć pełną

utajonych niebezpieczeństw ciszę.

Następnie przyjrzała się sobie. Jedna pończocha puściła oczko. Odruchowo uniosła palec do ust, zwilżyła śliną, natarła miejsce, w którym pękła nitka, i wyprostowała się. Przyciskając ręce do walącego serca, odrzuciła ruchem głowy włosy do tyłu i podeszła do lustra nad kominkiem, które odbiło jej bladą twarz. Ani na moment jednak nie opuściła jej nerwowa czujność. Rozglądała się, kręciła w koło, tak jak gdyby oczekując czegoś niespodziewanego, kryjącego się w, kątach pokoju. Cisza była zupełna — nawet zegar nie tykał.

Nagle coś sobie przypomniała, podbiegła i zamknęła drzwi na klucz. Dopiero wtedy rozerwała pośpiesznie sznurek, którym przewiązana była paczka leżąca na gzymsie kominka. Wyciągnęła pudełko i otworzyła je. Najpierw wyjęła rozmaitej długości kawałki grubo splecionego czarnego jedwabiu. Był to najprawdopodobniej pocięty sznur od szlafroka.,-Następnie założyła z wprawą gumowe rękawiczki.

Pół niosąc, pół ciągnąc nieprzytomną kobietę, skierowała się w stronę łóżka. Jej twarz, czerwona z wysiłku i nagle zupełnie brzydka, ukazała się sponad koronkowego rękawa Cynthii. W półmroku, rozsuwając nieporadnie brokatowe draperie, pchnęła swoją ofiarę na łóżko.

Po raz pierwszy Vicky przemówiła głośno:

— Ściągnę z ciebie szatki, moja miła. Umrzeć tak jak Constable'owie, można tylko na golasa. Kiedy już będziesz rozebrana, zwiążemy cię tymi sznurami, które nie zostawiają najmniejszego śladu. Potem — podbiegła do gzymsu kominka i wróciła z chusteczką i kawałkami plastra — włożymy ci to do ust i zakleimy knebelek plastrami. Kiedy będziesz umierała, chcę, żebyś była całkowicie przytomna.

Poruszyła się nagle i bystrym spojrzeniem objęła cały pokój.

Tak jak poprzednio jej głos, tak teraz lekkość i gracia jej ruchów stanowiły kontrast z wyrazem oczu. Zerknęła w stronę okna, zawahała się i odwróciła. Cynthia zajęczała cicho.

— Tak, zaraz odzyskasz przytomność. Kilka drobnych zabiegów i wszystko będzie gotowe.

W chwilę później zakryła kapą aż pod szyję rzucającą się

niespokojnie kobietę, której zdołała już skrepować ręce i nogi.

— Cynthio, czy słyszysz mnie? Gdybym miała odwagę... gdybym tylko miała odwagę wyciągnąć ci ten knebel... porozmawiałybyśmy trochę...

Cynthia!

Pochyliła się nad łóżkiem i potrząsnęła gwałtownie swoją ofiarą. Nagle przystanęła bez ruchu i jakby rozbudzona z letargu podbiegła przed siebie. Po drugiej stronie pokoju stała na wygiętych nóżkach bogato złożona, pękata komoda. Zdobiła ją scenka z obrazu Watteau przedstawiająca parę pastuszków. Wewnątrz, wmontowane przemyślnie, znajdowało się radio. Vicky przekręciła gałkę, ale radio milczało. Pośpiesznie sprawdziła, czy aparat jest podłączony do gniazdka, i znowu kilkakrotnie pokręciła gałkę.

— Cynthio, dlaczego to radio nie działa?

Odpowiedziała jej głucha cisza.

— Muszę usłyszeć przemówienie Pennika — tłumaczyła Vicky ze spokojem. — Biedna owieczka! Ma zapowiedzieć twoją śmierć i chcę wiedzieć, kiedy mam ciebie zabić. Bez mojej pomocy, z której, oczywiście, nie zdaje on sobie sprawy, Teleforce jest, niestety, do niczego. Poczciwy nadinspektor Masters słusznie kiedyś powiedział, że Pennik nie mógłby zabić nawet mrówki packą na muchy. Chociaż ten niby cudotwórca jest przekonany, że posiada nieograniczoną potęgę i uderzyło mu to do głowy.

Nie uwierzyłabyś, jakie miałam kłopoty, zanim go przekonałam, żeby ciebie zabił. On tak pragnął wykończyć Johna Sandersa! Awanturował się w nieprzyzwoity wprost sposób! Wszystko już miałam ślicznie przygotowane, aż tu doktor wetknął swoje trzy grosze i rzucił wyzwanie Pennikowi. Musiałam zacząć pracę od nowa. Ale jakoś mu wyperswadowałam, żeby wybrał ciebie. Wiesz, w jaki sposób, Cynthio? Oczywiście, że wiesz! Bez przerwy mi powtarza, że: „Gdybym był królem, ozłociłbym cię słońcem, osrebrzył księżycem”. Nie mógł więc odmówić takiej skromnej prośbie, jak zabicie ciebie...

Vicky roześmiała się. Jej niespożyta energia znalazła ujście w

dźwięcznych kaskadach śmiechu. Ale ten nastrój szybko minął. Pochyliła się nad łóżkiem, jak troskliwa matka nad kołyską.

— Chciałaś, żebym opowiedziała ci wszystko? Wszystko o Penniku, co on robi i kim jest? Usłyszysz, przyrzekam ci. Mówiąc wulgarnie, myślałaś, że udało mi się znaleźć „ciepłe miejsce”. Dowiesz się, jakie to jest ciepłe miejsce. Czy ty wiesz, kim jest Pennik? Czy ty wiesz, czym on jest?

Wyciągnęła rękę ku postaci leżącej bez ruchu. Rozległ się nieprzyjemny odgłos odrywanego plastra i po paru sekundach chusteczka zastępująca knebel leżała na podłodze.

— Czy ty wiesz, Cynthio?

Z łóżka odpowiedziało niezrozumiałe mamrotanie.

— Pennik jest Mulatem ze Wschodniej Afryki. Ojciec jego pochodził z dobrej angielskiej rodziny, w każdym razie on tak twierdzi. Jego matka była dzikuską ze szczepu Matabele. Dziadek czarownikiem ze szczepu Bantu i Pennik żył w tym prymitywnym środowisku aż do ośmiu lat.

Mężczyźni stojący na balkonie spojrzeli nawzajem po sobie. Tylko jeden, z nich nie oderwał ani na chwilę błędnych oczu od Vicky.

Tak jak celnie wyrzucona strzała trafia dokładnie w sam środek tarczy — tak prawda zawarta w tych słowach dotarła nagle do ich umysłów. Zachowane w pamięci, pełne niekonsekwencji migawki, nagle jak łamigłówka, zaczęły układać się w jeden obraz. To było przecież oczywiste: od samego początku Pennik był wyraźną mieszaniną tych dwóch sprzeczności.

— Widziałas go chyba — ciągnęła Vicky. — Przypomnij sobie kształt jego głowy. Przypomnij sobie jego usta i nos, a przede wszystkim małe, niebieskie półksiężyce na paznokciach. Nie można się pomylić, nawet jeżeli obserwuje się tylko jego zachowanie. Trzyma siebie w żelaznych cuglach. Nie bierze kropli alkoholu do ust. I mimo to jest „niewypałem”. Wyborowa mieszanka: trzy czwarte kulturalnego dżentelmena i jedna czwarta zabobonnego dzikusy. 1 to ostatnie przeważa, bo — wybaczyć wulgaryzację — ogon kręci psem, a nie pies ogonem. To jest to „ciepłe miejsce”, które znalazłam dla siebie.

Tak, moja droga: czarny chłopiec.

Vicky nie mogła ustać spokojnie. Kręciła się nerwowo po pokoju, na policzki wystąpiły jej ciemne plamy rumieńców i drżała na całym ciele.

— W każdym bądź razie jest bardzo inteligentny. Nie możesz temu zaprzeczyć. Zdali sobie z tego sprawę, że ma nieprzeciętny umysł, kiedy był jeszcze chłopcem. Jakiś angielski pastor i niemiecki doktor zajęli się jego wykształceniem. Zabrali go od dziadka-czarownika, który dorabiał sobie handlem amuletami, sprzedali za dobrą cenę jego maskotki z kości słoniowej i uzyskali wystarczającą ilość pieniędzy na utrzymanie cudownego dziecka. Szkoda tylko, że ten dziadek-czarownik pozostawił na nim takie głębokie piętno. Tak... i muszę to znosić... przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Nauczył go za to wielu rzeczy. Widział, jak dziadek-czarownik mrucał zaklęcia, które miały trafić w człowieka odległego o setki mil. On w to wierzy, rozumiesz? Widział rezultaty. I przez całe swoje życie starał się wytłumaczyć to naukowo. Bez przerwy powtarza: „naukowe możliwości ludzkiego mózgu” i wierzy, że mózg posiada nieograniczoną potęgę, którą o n tylko potrafi ujarzmić, złapać w siatkę tak, jak się chwyta motyle — dobre, co? — określić jej zasięg, dokładnie zdefiniować i... użyć. Posiada pewnego rodzaju siłę. Nie przeczę. Ale nie aż taką...

Nagle coś niespodziewanie zatrząskuje się w jego mózgu i przeistacza się w przesądnego dzikusa. Ale to mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Dzięki temu mała Vicky będzie miała już niedługo to, czego pragnie. Oczywiście, po twojej śmierci, moja droga. Taki właśnie dzikus w garniturze dżentelmena wylazł z niego w piątek wieczorem u Constable'ów. Zaczęliśmy mówić na pewien temat i ani rusz nie mogliśmy z tym skończyć.

To było tak, moja droga — rozpamiętywała z upodobaniem Vicky. — Siedzieliśmy wszyscy w oranżerii: Sam i Mina Constable, doktor Sanders, Larry Chase i ja, i nie mieliśmy zielonego pojęcia, co się święciło. Samuel Hobart Constable — co za wspaniały okaz typowego dżentelmena — znęcał się

bezustannie nad Pennikiem, tak że ten już nie mógł dłużej wytrzymać. Potem drogi doktor Sanders wyskoczył z niefortunnym zdaniem: „Pomińmy na chwilę pytanie, czy mógłby pan zabić człowieka posługując się jedynie myślą, tak jak to podobno czynią czarownicy z plemienia Bantu”.

Pennikowi już raz wyrwało się coś przez nieuwagę. Argumentując użył słowa: „dzikus”, ale prawie od razu przeszedł na inne porównanie. Potem jednak nie mogliśmy skończyć tego tematu. Ktoś rzucił uwagę o czapkach kucharskich i pan Constable wtrącił z tym swoim złośliwym uśmiechem, że Pennik będzie dobrze wyglądał w takim nakryciu głowy. Mina przypomniała sobie, że Dumas przygotował kiedyś kolację dla smakoszy francuskich; a Dumas — czego ty najprawdopodobniej nie wiesz — posiadał domieszkę krwi murzyńskiej. Na zakończenie Samuel oświadczył z wielką pompą: „Jeżeli przebierałem się do kolacji pomiędzy gromadą przeklętych Murzynów, to mam chyba prawo przebrać się do kolacji we własnym domu”. I wściekłość odebrała rozsądek mojemu małemu Mulatowi. Przepowiedział, że Samuel umrze.

I na pewno by umarł, gdyby zakłęcia Bantu mogły go zabić. Nad miską sałaty Pennik rzucał „uroki” na Sama. Przeraziło to tak kobietę, którą Mina zaangażowała do pomocy w kuchni, że zmykała razem z synem — jakby im diabeł deptał po piętach. A że w czasie tego rodzaju „czynności” Pennikowi występuje piana na ustach — możesz sobie wyobrazić, jak on ślicznie wyglądał... Przyleciał na górę i usiłował zgwałcić mnie przed kolacją — mam nadzieję, moja droga, że tw⁷oi klienci zachowują się trochę lepiej — i powiedział, że zabije Constable’a i złoży go jako ofiarę przed moim ołtarzem, że rzuci mi pod stopy wszystkie klejnoty świata; krótko mówiąc, moja miła, napędził mi niemałego stracha. Ale wywarło to na mnie wielkie wrażenie. Bo sprawdziło się to, co Pennik przepowiedział — Samuel Hobart Constable umarł. Rzecz jednak polega na tym, i to jest najzabawniejsze, że Pennik nie miał z tym nic wspólnego. Ten mieszaniec jest całkiem nieszkodliwy, jeżeli się umie nim pokierować. W każdym bądź

razie stanowił znakomitą osłonę, kiedy zabiłam Minę. Zabiłam Minę, żeby uniemożliwić jej wyjawienie prawdy o śmierci Sama. Dopiero potem mogłam się zabrać do właściwej roboty — to jest, zająć się tobą — nadal pod osłoną tajemniczej potęgi Pennika. Potęga Pennika — co za bzdury!

Wiem dobrze, co robię, aniołku. Wiem, że przez pewien czas będą mnie trochę podejrzawać i zasypią najdziwniejszymi pytaniami. Ale jestem przyzwyczajona do tego. I w takiej sytuacji wolę mieć do czynienia z mężczyznami. Ale sprawa polega na tym, że — gdyby nie wiem jak mnie podejrzewali — nigdy nie będą mogli niczego mi udowodnić. I nawet, jeżeli zdemaskują fanfaronadę Pennika, to i tak będą nadal go podejrzewali, a ja uśmiechnę się skromnie i ślicznie — jak zwykle — bo śmierć Samuela... ooo... na to mam żelazne alibi.

1 wtedy Vicky popełniła błąd. Straciła zupełnie głowę. Zaczęła mówić i nic już nie mogło jej powstrzymać.

Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki. Zrobiła z wielką gracją kilka kroków tanecznych, ale wyglądało to groteskowo. Ten ruch podobnie jak i słowa zdradzał stan jej umysłu.

— Zmęczyło mnie już robienie wszystkiego grzecznie i ostrożnie, kiedy ludziom takim jak ty wystarczy gwizdnąć, żeby mieli wszystko, co zechcą. Kiedy tylko usłyszałam, jak naprawdę umarł Constable, zdecydowałam, że pójdziesz w jego ślady.

Nie zabiłam go, Cynthio. Nie, nie. Do chwili jego śmierci moje myśli były w gruncie rzeczy niewinne i czyste. W przeciwnym razie nie przyznałabym się tak szczerze Sandersowi, że pragnęłam twojej śmierci. Dowiedziałam się, jak umarł Samuel Hobart, bo przez dwie noce po tym wypadku spałam w jednym pokoju z Miną; a Mina, o czym wszyscy wiedzą, mówiła przez sen. Połączyłam to wszystko w jedną całość i dopiero wtedy zobaczyłam, jak mogę posłużyć się Pennikiem, żeby ugodzić w ciebie.

Z prawnego punktu widzenia można powiedzieć, że śmierć Samuela spowodował wypadek. Jeżeli chodzi o sam mechanizm tego, co się stało — to tak — ale w rzeczywistości nie był to wypadek. Pennik ponosił za to odpowiedzialność.

Gdyby Pennik nie powiedział tego, co powiedział, i nie zrobił tego, co zrobił, i nie przepowiedział śmierci w Fourways przed godziną ósmą wieczorem, Samuel Hobart żyłby do tej pory. To musiało się stać. Gdybym tylko słuchała uważniej tej całej rozmowy w oranżerii, na pewno już wtedy zdałabym sobie sprawę, że to było nieuniknione. Każdy człowiek postępuje zgodnie ze swoją naturą i dlatego małe ścierwo siedzące w Samuelu przegrało, a ja odniosłam korzyść. Zaraz zobaczysz, jak on umarł, bo umrzesz w ten sam sposób, moja droga...

Vicky złożyła dworski ukłon — i Sanders przypomniał sobie, że kiedyś zrobiła to samo na klatce schodowej w Fourways. Rozpoznał również wyraz jej twarzy — taki sam jak pod szklaną kopułą stołowego pokoju; kolory na policzkach, błyszczące oczy — kiedy zęgnęła się z nim na kilka godzin przed śmiercią Miny Constable.

Podskakując jak uczennica, pobiegła w stronę kominka. Wsadziła rękę do pudełka, które stało na gzymsie.

— Jeżeli radio nie będzie działało, no to trudno — stwierdziła praktycznie. — Mam zresztą masę czasu, zanim zapowiedzą występ mojego jasnowidza. Musisz teraz bardzo uważać, moja droga. To jest najlepszy sposób zabijania ludzi, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Nie potrzeba do tego specjalnych wiadomości, bo inaczej nie dałabym sobie rady. Nadinspektor Masters trafił nieświadomie jeszcze raz w sedno sprawy. Podśluchiwałam pod drzwiami, zanim wsadzili mnie do pociągu, którym, oczywiście, nie pojechałam. Powiedział: „Coś nieuchwytnego jak wiatr a zarazem codziennego jak chleb. Coś, co można zrobić we własnym domu przy pomocy wody i kawałka mydła.” I miał rację. Mydło! Mydło! To mi właśnie przypomniało... Musisz poczekać minutkę!

Zniknęła za drzwiami łazienki i po chwili słychać było gwałtowny szum wody leżącej z kranów.

— Nie muszę u ciebie uważać na każdy najmniejszy hałas — tłumaczyła stając w progu — tak jak to było w Fourways, kiedy posłałam na tamten świat Minę. Poczciwy doktor Sanders usłyszał szum wody, ale myślał, że to fontanna w oranżerii.

Nie udało mi się z tym chłopcem, Cynthio. Chciałam

spropokować wybuch gwałtownej miłości, siedziałam z nim nawet po ciemku, żeby miał łatwiejsze zadanie. Ale nic z tego. Zakochany jest bez pamięci w jakiejś głupiej dziwce, w twoim rodzaju, a ta, zamiast go trzymać w garści, podróżuje po świecie. John myśli, że ona przyprawia mu rogi, co jest bardzo prawdopodobne. Ale jemu to nie przeszło i dureń jest zbyt wielkim dżentelmenem, aby wykorzystać chwilę słabości kobiecej... Wprawdzie był moment, że już... już... Powiedział, że zachowuję się, jak „bohaterka sensacyjnej powieści”. Nic w tym dziwnego, bo uważałam, że to jest najlepszy sposób grania mojej roli. Zgadzasz się ze mną?

To był całkiem dobry pomysł. Johna łatwo okłamać i wiedziałam, że jeżeli złapie mnie w niedzielę wieczorem w Fourways, przekonam go jakoś, żeby mnie chronił. Mógł mi bardzo pomóc. Zresztą, nieświadomie pomógł. Musiałam dać po nosie Larry’emu. Bardzo był niezadowolony, biedaczek! Tak go zachęcałam, żeby mnie zabrał do Constable’ow i... nic z tego...

Wiesz, Cynthio, po raz pierwszy zaczynam naprawdę cię lubić. Nie masz pojęcia, co za ulga nie być już dłużej dystyngowaną panną, a w rzeczywistości: małym-pieskiem-na-posyłki-dla-wszystkich! Myślę, że moje najlepsze triki i pomysły przejęłam od ciebie. Obserwowałam cię od momentu, kiedy wydałaś się za mojego ojca. Tylko taki już mój pech, mężczyźni, którzy tracą dla mnie głowę, nie tracą forsę, bo jej nie mają. Pod tym względem ty zawsze byłaś szczęściarą... A nieładnie! Cicho bądź!

Kobieta na łóżku, wijąc się rozpaczliwie pod kapą, krzyknęła. Vicky w mgnieniu oka znalazła się przy niej, zupełnie opanowana i spokojna.

— Za dużo mówię. Zupełnie jak Pennik — skonstatowała. — Nie krzycz! Wiesz, myślałam o tym, żeby ci palce u nóg podpiec zapałkami, zanim poślę cię do piekła. Nie sądzę, aby ktokolwiek potem zajmował się takimi głupstwami jak drobne poparzenia. Sprawiloby mi to wielką przyjemność! No, przygotuj się, moja droga, muszę cię przenieść.

Cynthia Keen przemówiła nagle głosem urywanym, ale

nadspodziewanie wyraźnym.

— Nic z tego...

— A to dlaczego, kochanie?

— Bo mamy spore audytorium na balkonie — ciągnęła dalej.

— Jeszcze mi trochę wstydu pozostało, mimo tego, co o mnie plotłaś. Rozwiązałam już większość tych przeklętych węzłów i mogę wreszcie przykryć się szlafrokiem, ale myślę, że mogli mnie uprzedzić o twoich planach.

— Jazda, chłopcy! — powiedział najspokojniej w świecie H.M.

Pchnął na oścież oszklone drzwi, odsunął firanki i wszedł do pokoju.

ROZDZIAŁ XX

— Taaak — powiedział H. M. trzymając pod światło wysoką szklanę napełnioną płynem. — Taaak, teraz już mogę mówić, synu. Masters i ja mieliśmy dotąd usta zamknięte na kłódki z obawy, że nawet niechcący wygada się pan przed tą dziewczyną. To bardzo prosta sprawa...

— Chcę wiedzieć wszystko — przerwał Sanders — łącznie z metodą morderstwa. Jak to powiedział Masters: „Coś, co można zrobić we własnym domu przy pomocy wody i kawałka mydła?”

Sir Henry skinął głową, a nadinspektor uśmiechnął się z zadowoleniem: już po raz trzeci ktoś cytował jego wypowiedź.

Wczesnym rankiem, po nocy pełnej dramatycznych wydarzeń, siedzieli w biurze sir Henry Merrivale’a, znajdującym się na tyłach Whitehallu. Przez kilka godzin telefon dzwonił bez przerwy i H. M. w znakomitym humorze wydawał mnóstwo instrukcji. To samo szerokie biurko, ta sama stojąca lampa, ten sam sejf pełen butelek i szklanek; wszystko to było bliskie i znajome.

— Hmm — H. M. skrzywił się, dmuchnął potężnym kłębem dymu z czarnej fajki i pociągnął kilka łyków ze szklanki. — Jak wiecie, mam swoją metodę: siedzę i myślę. Ale w tym wypadku nie było to nawet konieczne, kiedy już raz dotarło do mojej świadomości, że człowiek może być jednocześnie martwy i żywy, i że medycyna zna tylko jedną fizjologiczną przyczynę, która może ten stan spowodować. Masters dostał napadu szału, kiedy mu pierwszy raz o tym powiedziałem, no, ale fakt jest faktem.

Zamyślił się.

— Najlepiej będzie, jeżeli opowiem wszystko po kolei, począwszy od tego pamiętnego piątkowego wieczoru. Vicky Keen, cóż — zerknął sponad okularów na Sandersa — postaramy się jak najmniej o niej mówić, ale ta dziewczyna zrobiła kiedyś bardzo słuszną uwagę, a mianowicie, że to, co się

stało, było właściwie nieuniknione, ponieważ każdy człowiek postępuje zgodnie ze swoją naturą. Potwierdziły to dalsze wypadki.

Proszę sobie wyobrazić, że jest piątek, około wpół do ósmej wieczorem i siedzi pan przy miniaturowej fontannie w oranżerii w Fourways. Przed panem czysta karta papieru: umarli jeszcze żyją i wszystko powtórzy się od początku. Przed chwilą Pennik wywołał ogólną konsternację swoim oświadczeniem, że Sam Constable umrze najprawdopodobniej przed godziną ósmą.

Ale co właściwie Pennik takiego powiedział? Czy powiedział, że go zabije? Nic podobnego! Czy ktokolwiek z obecnych zrozumiał jego wypowiedź w ten sposób? Nie! Zabawialiście się w odczytywanie myśli i dlatego Victoria Keen od razu zapytała: „Czy pan chce przez to powiedzieć, że w czyjeś głowie zrodził się pomysł zabicia pana Constable’a?” I Pennik odpowiedział na to: „Prawdopodobnie”.

Każdy z was interpretował tę wypowiedź po swojemu. Ale nikt z was nie pomyślał o Penniku jako o hipotetycznym mordercy. Zatkąło was zupełnie, kiedy później Pennik wyjaśnił z zimną krwią, co właściwie miał na myśli. Zrozumieliście jego słowa w ten sposób, że ktoś w tym domu postanowił zamordować Constable'a i że Pennik odczytał te grzeszne myśli. No co, zgadza się? synu?

Sanders skinął głową.

— Tak — przyznał i przed oczami jego przesunął się obraz przegrzanej oranżerii.

— Dobrze, a jakie wrażenie wywarło to na waszych gospodarzach? Jaki wywarło to efekt na Minie i Samie Constable'ach? Zastanówcie się nad tym. Samuel Constable, typowy hipochondryk, najpierw pomyślał o ataku serca, a zaraz potem o morderstwie, zanim ktokolwiek zasugerował tego rodzaju możliwość. Z powrotem wsiadł na swojego ulubionego konika, którego dosiadał od dłuższego już czasu, a mianowicie, że jego młoda, atrakcyjna żona może go zamordować. Oczywiście, był to dowcip. Nigdy w to poważnie nie wierzył. Ale należał do typu ludzi, którzy lubią tego rodzaju żarty kierować

pod adresem własnej żony; zasadniczo jako dowcip, ale częściowo też jako ostrzeżenie: no, no, tylko bez żadnych kawałów! Wszystko, co mówił, było zaprawione tym specyficznym poczuciem humoru. Wskazał nawet, w -jaki sposób może ona go zamordować: „Mina zabije mnie kiedyś przez to swoje wieczne upuszczanie przedmiotów”. Albo bardziej bezpośrednio: „A może zabije mnie i upozoruje wypadek, o którym tyle pisała prasa?” To była aluzja, którą oboje rozumieli, ponieważ wycinek z opisem takiego wypadku znajdował się w albumie Miny.

A co, sądzicie, podczas tych niby to żartobliwych oskarżeń myślała jego żona? Słyszała już przygaduszki na ten temat poprzednio. Była to pełna imaginacji, chora i roztrzęsiona nerwowo nawrotem malarii kobieta, reagująca na najlżejszy szmer. I naprawdę kochała tego starego durnia. Myślała: Biedny, drogi Sam obawia się, że ja mogłabym go zabić! Mój Boże, nigdy! Ale przypuśćmy, że coś takiego zrobiłabym niechcący. Wtedy wierzyła jeszcze żarliwie w Pennika. I przypomniała sobie jego przepowiednię, którą przyjęła bezpośrednio do siebie. „Powieszą mnie, gdybym go zabiła”. To była bardzo nieprzyjemna myśl.

A Pennik?

Pennik był odpowiedzialny za wszystko — II. M. odpowiedział na własne pytanie.

On to rozpętał — ten bożek z plemienia Bantu. Jego osobowość była nieporównanie silniejsza, niż zdawaliście sobie z tego sprawę. Zrobił eksperyment z grupką normalnych, zwykłych ludzi i zanim go zakończył, doprowadził do tego, że każdy z was myślał dokładnie to, czego nie powinien był myśleć. Ty, mój młody człowieku, myślałeś, że już ci nic nie zależy na Marcji Blystone. Victoria Keen snuła bardzo nieprzyjemne myśli na temat swojej macochy. Sam Constable zaczął się trochę obawiać, że jego żona może go zabić, a Mina umierała ze strachu, że mogłoby się jej to przypadkowo wydarzyć. Wasze nerwy były napięte do ostatnich granic. Coś musiało wybuchnąć. No i wybuchło.

O wpół do ósmej Constable'owie poszli przebrać się do

kolacji. Mina, z jej trzęsącymi się rękami i wybujałą, nerwową wyobraźnią miała przygotować kąpiel dla Samuela i wsadzić spinki do jego koszuli. Napomknął już na dole, w jaki sposób ona mogłaby go zabić. A nuż coś się stanie, gdy będzie pomagała przy ubieraniu? Przypuśćmy, że jest w niej jakieś podświadome, do licha, jak my wszyscy lubimy i boimy się tego słowa, podświadome pragnienie zabicia go? Ta myśl była najgorsza.

Albo weźmy na przykład inny fakt — perorował z przejęciem H. M. — Czy Samuel wykąpał się od razu po przyjeździe do pokoju? Później powiedziała, że tak, że był już po kąpieli, prawie ubrany i kiedy zawiązywała mu lakierki, usłyszeli hałas, Samuel pobiegł sprawdzić, co się stało. Była godzina za piętnaście ósma. Ale, jak już wiemy, kłamała. Za piętnaście ósma Constable nosił jedynie szlafrok i ranne pantofle. Dlaczego? Dlatego, że jeszcze się nie wykąpał. Gderał bez przerwy, czym jeszcze bardziej wyprowadzał z równowagi Minę. Kiedy właśnie miał wejść do wody, usłyszeli hałas rozbijającej się lampy. Pobiegł zobaczyć, co się stało, wrócił i wszedł do wanny pomiędzy godziną siódmą czterdzieści pięć a ósmą.

A teraz zbliżamy się do sedna sprawy!

Samuel zawsze narzekał na zimno. Nigdy nie było mu dostatecznie ciepło w Fourways. I to była jedna z ostatnich rzeczy, na które się skarżył przed pójściem na górę o godzinie wpół do ósmej. Zupełna mania! Taaak, i co zrobił, żeby ogrzać łazienkę, gdzie zazwyczaj jest dość chłodno?

Sir Henry spojrział złośliwie na Sandersa.

— Killkrotnie widział pan w łazience piecyk elektryczny, synu. Nieduży, na dwie spirale. Potknął się pan o niego, pamięta pan? Dziwne więc — a nawet bardzo dziwne — że chociaż widział pan ten przekłety piecyk w sobotę i niedzielę, nie widział go pan w piątek, kiedy zajrzał pan do łazienki parę minut po śmierci Samuela Constable'a.

Tak, to była prawda.

Sandersowi przypomniała się mała, wilgotna łazienka i apteczka, w której szukał środków uspokajających dla Miny.

Pamiętał dokładnie każdy szczegół. Sir Henry miał jak zwykle rację. W piątek wieczorem nie było tam piecyka. Ale następnego dnia zwrócił na niego uwagę: brązowo pomalowany przedmiot, o który on i Mina potykali się wielokrotnie.

— Łazienka pachniała wilgocią... — skonstatował nagle.

— Oczywiście — mruknął H. M. — Ponieważ Samuel wlaźł do wanny dopiero za piętnaście ósma. Niech mnie spala! Mogę sobie wyobrazić, co on jej w międzyczasie nagadał!

Zanurzył się w wodzie. I jak to leżało, w jego zwyczaju, natychmiast zaczął narzekać na przeciągi i zimno. Żona kręciła się nerwowo wokół niego, tak jak przy podobnych okazjach jego służący. On był panem i władcą. Odruchowo, nie myśląc nawet o tym, co mówi — tyle przecież razy zwracał na to samo uwagę swojemu służącemu — wrzasnął na nią, żeby postawiła piecyk bliżej wanny. I tak jak się tego obawiała, opanował ją podświadomy strach. Trzęsącymi się rękami, które nie mogły spokojnie utrzymać szklanki, uniosła metalowy przedmiot. W tym momencie oboje pomyśleli o tym samym. Pośliznęła się — i piecyk wpadł do wody.

To wszystko, panowie.

— Niechybna śmierć — zawyrokował Sanders.

Sir Henry wciągnął ze świstem powietrze.

— Widzisz, synku, londyńskie władze miejskie całkiem słusznie wydały szereg rygorystycznych przepisów dotyczących wszelkiego rodzaju instalacji elektrycznych w łazienkach. Niedozwolone jest nawet umieszczanie wyłącznika elektrycznego. Ale ustawianie piecyka blisko wanny to po prostu czyste samobójstwo.

Jeżeli wpadnie do wody, następuje natychmiast krótkie spięcie. Prąd błyskawicznie przechodzi przez wodę i poprzez zanurzone w niej ciało ofiary. Nie pozostawia żadnego znaku czy oparzenia, ponieważ jego działanie rozłożone jest równomiernie na powierzchnię całego ciała. Jedyne ślad to rozszerzone źrenice. Ostatnio w Bristolu wydarzyły się dwa tego rodzaju wypadki i biedna Mina Constable wiedziała o tym bardzo dobrze. Wkleiła wycinki z prasy do swojego albumu. Napięcie nie ma żadnego znaczenia; 210 wolt wystarczy, żeby

zabić.

Tak. To, że nie mogła utrzymać w rękach żadnego przedmiotu, spowodowało jego śmierć. Stało się to, czego się najbardziej obawiała — H. M. przerwał i po chwili ciągnął w zamyśleniu:

— I co dalej? Ciemno, łazienka zachlapana wodą, a w wannie martwy małżonek. Nie, nie przerywajcie mi! Musiała sprawdzić, miała jeszcze wątłą nadzieję. Światło zgasło, kiedy przepalił się bezpiecznik. Ale, jak wiemy, w Fourways zainstalowano system, przy którym na każde dwa lub trzy pokoje przypadał jeden bezpiecznik. Tak że światło zgasło tylko w pokoju Miny, łazience i sypialni Samuela.

Na komodzie, w pokoju jej męża, stały dwie świece. Pobiegła, zapaliła je i wpadła z powrotem do łazienki. Ale, że ręce jej się trzęsły, pochłapała stearyną nie tylko rękaw szlafroka, ale i dywan. Jedna plama znajdowała się przy nodze łóżka, a druga przy drzwiach do łazienki. Powiedziałem, żebyście obejrzelili te plamy, pamiętacie? Ona wtedy była z nami w pokoju i przeżyła bardzo nieprzyjemny moment. I powiem wam szczerze, diabelnie mi przykro! Ale tak, niestety, wygląda prawda.

Sprawdziła. Jej mąż był martwy. Powiesz ją za to.

Wicie, jaki ona miała charakter. Oczami wyobraźni zobaczyła już sędziego, szubienicę i swoje ostatnie chwile. Nagle przypomniała jej się przepowiednia Pennika. Nikt teraz nie uwierzy, że to był wypadek. Samuel powiedział przecież przy kilku osobach, że ona go zabije: „i będzie to przypominało upozorowany wypadek, o którym tyle pisała prasa”. Myślała nawet o tym, żeby zastosować tę metodę morderstwa w następnej swojej książce. Ona była winna.

Wicie już, o czym myślała, kiedy tak stała z zapaloną świecą w łazience. Diabeł-kusiciel szeptał: „Czy nie możesz udawać, że tego nie zrobiłaś?” Sumienie odpowiadało: „Nie, nie mogę, bardzo go kochałam”. „Ale przecież nie zamierzałaś tego zrobić” — dręczył kusiciel. „To nie ma znaczenia” — odpowiadała już mniej pewnie. „Gdybyś mogła — nacierał diabeł — wyciągnąć go z wanny, tak żeby nikt niczego się nie domyślił...”

To jest całkiem proste. Była do niego głęboko przywiązana, ale opanował ją strach na myśl o aresztowaniu i egzekucji. Nigdy nie myślała bardziej gorączkowo. Pisarka, Mina Shields, znalazła rozwiązanie w przeciągu dwóch minut. Kiedyś spłodziła powieść kryminalną — Lawrence Chase wspomniał o tym — w, której morderca zabił swoją ofiarę w jednym miejscu, następnie przeniósł ją gdzieś indziej i twierdził, że zgon nastąpił właśnie tam...

Sanders skinął ponuro głową.

— Tak — potwierdził. — Chase wspomniał o tym. Przedstawił mnie właśnie Minie i powiedział ą propos tej książki, że nie wierzy, aby coś takiego można było zrobić.

— Widzicie? Ten pomysł okazał się teraz przydatny. Zaczęła obmyślać, w jaki sposób przenieść ciało.

Nietrudno było włączyć światło, tak aby tego nikt nie widział. Bezpieczniki znajdowały się w szafie ściennej w jej pokoju. Wkręciła zapasowy na miejsce przepalonego i odstawiła z powrotem świecę na komodę w sypialni Sama. Następna czynność niemal załamała ją nerwowo: musiała ubrać ciało męża. Panowie, widziałem ją w niedzielę i twierdzę, że tylko myśl o szubienicy trzymała ją w ryzach. Pamiętajcie o jej późniejszym postępowaniu i zrozumiecie wiele rzeczy. Przeniesienie Sama nie stanowiło problemu: nie był duży ani ciężki. Widziałem, jak drobne kobiety dają sobie radę z zalanymi w sztok mężczyznami, rozbierają i kładą do łóżka bez większych kłopotów. Ona musiała zrobić coś wręcz przeciwnego. Pozostało jej jeszcze przeszło dziesięć minut. Ubranie było przygotowane, spinki w mankietach i kołnierzyku koszuli.

Sądziła, że przeżywa najcięższy moment w swoim życiu, kiedy ciągnęła jego martwe ciało przez hall. Wreszcie dotaszczyła go do schodów i oparła o poręcz, poprzez którą przechylił się jego bezwładny tułów. Ale nie był to najgorszy moment w jej życiu. O nie!

Panowie — ciągnął H. M. obrzucając ponurym spojrzeniem swoich towarzyszy — następna scena dramatu to krzyk Miny. Byliście wszyscy wprost nim sparaliżowani. Nieludzkie krzyki

— tak mniej więcej każdy z obecnych wtedy je określał. Stała w drzwiach swojego pokoju i krzyczała, krzyczała tak, jak gdyby dostała pomieszania zmysłów; zresztą była bardzo bliska tego. Ona nie grała. Po nadludzkiej pracy, żeby tylko uniknąć stryczka, oparła bezduszną kukłę o poręcz. I kiedy już zamykając drzwi za sobą, rzuciła ostatnie spojrzenie na męża, zobaczyła, że o n się porusza.

Zwróć przy tym uwagę, mój młody przyjacielu, że nikt z was nie widział Sama Constable'a stojącego o własnych siłach. Ty go nie widziałeś, a znalazłeś się w hallu prawie natychmiast po jej pierwszym krzyku. Nie widziałeś żadnego „tańczenia i zataczania się”, które ona wymyśliła dla własnej obrony. A więc, co konkretnie zobaczyłeś? Constable'a przechylonego przez poręcz z jedną ręką opartą o filar. Ale zauważyłeś również, że poruszył się.

Pamiętasz? Jego ciało szarpnęło się gwałtownie, druga ręka uniosła się do góry spazmatycznie rozkurczając palce. Leżał bezwładny na poręczy, a jednak plecy jego drgały i poruszył ręką. Bardzo charakterystyczne symptomy, co?

Zwrócił się do Mastersa: — Doktor może ci powiedzieć, przyjacielu, że istnieje jedyna forma śmierci, przy której człowiek może być uznany za zmarłego, serce przestaje bić, a mimo to ciało daje oznaki życia w parę minut po zgonie. Jest to śmierć spowodowana szokiem elektrycznym.

Zdarzało się to dawniej przy egzekucjach ⁷na krześle elektrycznym w Ameryce; wówczas nie wiedziano jeszcze tyle, co teraz. Kiedy człowiek zostanie porażony prądem, często można jeszcze uzyskać oznaki życia przez zastosowanie sztucznego oddychania. Zwracam uwagę, inspektorze, powiedziałem: oznaki życia. Bo nawet najlepiej zastosowane sztuczne oddychanie nie podtrzyma na długo bicia serca. Zresztą, zacznijmy od tego, że jeżeli serce przestaje bić, to następuje śmierć. Ale można otrzymać pewne oznaki życia, takie jak Sanders zaobserwował u Constable'a. Dlaczego? Dlatego, że zupełnie nieświadomie Mina zastosowała sztuczne

⁷ Patrz: Taylor: „Teoria i praktyka medycyny sądowej”. Rozdział: Porażenia prądem, tom I, str. 560—573.

oddychanie. Kiedy? To zupełnie proste — podczas ubierania go.

I gdy wreszcie oparła go o poręcz, wywołała w nim oznaki życia. Drobny ruch, skurcz palców — nic więcej. Ale tak, jak to się często zdarza w tego rodzaju „ślepych przypadkach”, Sanders, badając Constable’a, wyczuł drgnienie uchodzącego życia i był przekonany, że w tym właśnie momencie nastąpił zgon.

Na Boga, nie można mieć do niego pretensji! Któż by się domyślił, że ma do czynienia z „ożyciem” śmiertelnie rażonego prądem człowieka, gdy w oparciu o dowody i zeznania świadków — po prostu upadł i umarł we własnym hallu?

To był... hm... rodzaj drugiej śmierci. Wszystko odbyło się w innej kolejności: czas, miejsce i sposób, w jaki umarł. Skierowało to nasze podejrzenia na niewłaściwe tory. Nie wierzę w zdolności detektywistyczne naszego młodego przyjaciela, ale jako lekarz posiada moje całkowite zaufanie. Nikt poza nim nie mógł wiedzieć dokładnie tego, co się stało. Był to ten sam „ślepy przypadek”, który tym razem o mało co nie wykończył pani Constable.

— Dziękuję — powiedział cicho Sanders.

Przypomniała mu się Mina siedząca skulona w sypialni.

Jej oszołomienie i gwałtownie bijący puls — to był przecież rezultat fizycznego wysiłku. Jej słowa: „To nieprawda, że on nie żyje! Nie! Sama widziałam... — można było tłumaczyć teraz w zupełnie inny sposób. — Pan przecież musi wiedzieć! Pan jest lekarzem! Pan wiedziałby, gdyby...” Tak; pojął teraz każdą zmianę jej uczuć; pogardę dla siebie samej, wahania, jakie przeżywała będąc bliska wybuchu, i chęć wyznania wszystkiego zaraz, natychmiast...

— Rozumiecie teraz — ciągnął sucho H. M. — stan jej uczuć, kiedy Pennik z całym spokojem oznajmił, że to on za pomocą Teleforce zabił Samuela. Dlatego cały swój ból i nienawiść skoncentrowała na Penniku i powtarzała przy każdej okazji, że to oszust i przestępca. A przy tym Pennik komentował to jeszcze na swój sposób: że jest dobroczyńcą, bo usunął bezużytecznego członka społeczeństwa. Na jej nieszczęściu budował swoją sławę. A cóż jej pozostało? Rozpacz i

wspomnienie, które doprowadzało ją prawie do szału. Problem jednak polegał na tym, że nie mogła powiedzieć prawdy. Ponad wszystko na świecie pragnęła zdemaskować Pennika. Rzuciła mu wyzwanie: proszę, niech spróbuje mnie zabić za pomocą Teleforce! Ale nie mogła powiedzieć prawdy...

I tutaj możemy zostawić panią Constable. To nie była morderczyni. O nie. Porządna kobieta, starająca się uratować własną skórę. Po wypadku ukryła w, szafie ociekający wodą, przepalony piecyk elektryczny i następnego dnia zmieniła go na inny, dobrze działający. W tym domu, jak wiecie, było mnóstwo piecyków. Ukryła również album z wycinkami, któremu Sanders dosyć uporczywie się przyglądał. Taaak, skończyliśmy już z Miną. Przejdźmy teraz do niezbyt przyjemnej osoby mordercy — prawdziwego mordercy — jedyne go mordercy w tej całej sprawie.

Victoria Keen. Joe Keen przepisał całą dużą fortunę swojej drugiej żonie, Cynthii. Po jej śmierci majątek przechodził w ręce Vicky.

Nadinspektor chrząknął i uniósł głowę znad notatnika, w którym dotąd pozornie był zagłębiony. Za szerokim biurkiem, usunąwszy lampę na bok, H. M. rozparł się wygodnie w obrotowym fotelu i osłaniał ręką oczy od światła. Kąciki jego ust były wygięte ku dołowi i głośno ssał pustą fajkę. Ale Sanders miał wrażenie, że spod osłony ręki spoglądały na niego małe, bystre oczka.

Po chwili milczenia H. M. ciągnął dalej:

— 'Nie, nie lubiłem jej. I ona była na tyle mądra, że zdawała sobie z tego sprawę. Znałem jej ojca. Nie wrodziła się w niego. To zła, bez skrupułów kobieta. Ale nie mogłem ci tego powiedzieć, synu, bo skoczyłbyś mi do gardła, że prześladowę biedną, niewinną dziewczynę. Nie zakochałeś się w niej, chociaż robiła wszystko, żeby ciebie do tego doprowadzić. Mogłeś jej się przydać... Bardzo mnie to cieszy, że nie dałeś się złapać, bo gotów, jestem założyć się z wami o co chcecie, że niedługo zawiśnie na stryczku...

(Tak, to były pierwsze słowa, które naprawdę zabolowały.)

Nie denerwuj się tak, synu. Wiem, to nie jest przyjemne, ale

ona również nie była przyjemna. Gdybym był tobą, zaliczyłbym to do smutnych doświadczeń życiowych i nie wspominał ani słowem przy Marcji Blystone, kiedy w czerwcu wróci do domu. Słyszałeś, co mówiła w pokoju Cynthii, kiedy czuła się całkowicie bezpieczna. Nie muszę więc chyba nic dodawać na temat jej charakteru: duża inteligencja przy zahamowaniach emocjonalnych. Umiała szybko wykorzystywać sytuację. Oto na horyzoncie pojawił się jak deus ex machina Herman Pennik. Absolutnie przekonany, że to on zabił Sama Constable'a i że posiadał siłę, która swoją potęgą nawet jego przerażała. Taki był stan umysłu Pennika. Błyskawicznie zorientowała się, w jaki sposób może to wykorzystać.

Twarz H. M. zmieniła się przybierając wyraz świętego oburzenia.

— A teraz wam opowiem, jak ja to wszystko widziałem. Wciągnęliście mnie w tę całą hecę w niedzielę po południu. Po tym wszystkim, co przeszedłem w Londynie — ta przeklęta Izba Lordów, zresztą, sami wiecie — przyjechałem na wieś, żeby spędzić spokojnie kilka godzin. I co zastaję? Dom wariatów! Częstujecie mnie banialukami o zabijaniu ludzi przy pomocy fal myślowych. Pani Constable błaga mnie ze łzami w oczach prawie na kolanach, żebym zdemaskował Pennika — iw tym samym czasie częstuje mnie stekiem kłamstw.

Ślicznie. A co ja myślałem? Co myślałby każdy rozsądny facet na moim miejscu? Zgodziłem się z Mastersem, że jeżeli dokonano morderstwa, to sprawcą jego była Mina Constable. Powiedziałem, że nic jej nie zagraża i że jest równie bezpieczna w Fourways, jak gdyby znajdowała się w sejfie w Banku Angielskim. Nadal uważam, że miałem prawo tak twierdzić.

Ale Pennik niepokoił mnie. I jeżeli pani Constable zabiła swojego męża, nie miałem zielonego pojęcia, w jaki sposób to zrobiła. Wiedziałem jedynie, że łazienka musiała mieć z tym jakiś związek. Wiodły do niej wszystkie ślady, łącznie z plamami stearyny. Kiedy zapytałem Miny, o której godzinie jej mąż poszedł się kąpać, skłamała. Po śmierci Constable'a Sanders opisał nam dokładnie łazienkę i powiedział, że nie było w niej piecyka elektrycznego. A w niedzielę po południu

znalazłem tam pomalowany na brązowo piecyk. Wydawało mi się dziwne, że człowiek, któremu stale było zimno, nie trzymał piecyka tam, gdzie go najbardziej potrzebował.

Żyłem w cholernym napięciu — westchnął H. M. — Zżerał mnie niepokój, bo nie mogłem się uporać ze świadectwem lekarza przysięgającego, że Constable umarł w hallu. Dopiero w niedzielę w nocy, kiedy siedziałem w domu i zastanawiałem się nad tym, przyszło mi na myśl, że ktoś musiał zapalić świece w tej łazience, ponieważ światło elektryczne wysiadło; a wysiadło dlatego, że ktoś upuścił piecyk do wanny. Piecyk, który się nagle ulotnił. To tłumaczyłoby „powrót do życia” nieboszczyka. I była to również jedyna rzecz, która wyjaśniała rozszerzone żrenice trupa.

Wyglądało na to, że Pennik działał wspólnie z panią Constable. On miał zamydlić oczy „czarną magią”, a Mina zajęła się „mokrą” robotą. W nocy miałem bardzo przyjemne sny, jak to dobioreę im się do skóry — a kiedy obudziłem się, pani Constable była już na tamym świecie i Pennik znów miał alibi! Doprowadzało mnie to do wściekłości!

Spory na temat Teleforce wywołały piekielny szum na całym świecie. Byłem tak zajęty, że dopiero na wtorkowym lunchu dowiedziałem się od was obu dokładnych szczegółów. To była kropka nad „i”. Wiedziałem, że mam rację, ponieważ primo, znowuż ktoś zapalił świece, secundo, Sanders, który podczas tych wydarzeń siedział w stołowym pokoju, położonym prawie dokładnie pod łazienką na pierwszym piętrze, zwrócił uwagę na lekki, wibrujący szum wody, który nie mógł pochodzić z fontanny w oranżerii.

Zapadła cisza. Sanders skinął ponuro głową.

— Rozumiem. Szum wody napełzczanej do wanny.

— Nie, synku.

— Jak to nie?!

— Szum wody spływającej z wanny — sprostował H. M. — Widzicie, bardzo łatwo jest napełnić wannę nieomal bez żadnego odgłosu. Po prostu należy to robić bardzo powoli. Jest prawie niemożliwe, żebyś przez grube mury tego domu usłyszał szum wolno i równomiernie napełnianej wanny. Ale czego nie

można zatrzymać i co wydaje wibrujący dźwięk? Woda wypuszczana z wanny.

I tylko dlatego usłyszałeś ten szum, że rury odprowadzające do kanału przebiegały po zewnętrznej ścianie pokoju stołowego. Było więc dla mnie zupełnie jasne, że Vicky Keen jest morderczynią.

Masters podskoczył na krześle.

— Powoli, sir. Tego już zupełnie nie rozumiem.

— Nieee? — zdziwił się H. M. — No, to przyjrzyjmy się innym dowodom. Co nam powiedział Sanders na temat niedzielnej nocy w Fourways? Ułożył panią Constable w łóżku, dał jej pastylkę morfiny i zeszedł na dół. Godzina: mniej więcej dwadzieścia minut po dziesiątej. Nieco przed wpół do dwunastej usłyszał szum spływającej wody, rozejrzał się i zobaczył przez szklane drzwi do oranżerii „widmo astralne” Pennika. Przeszukał bez żadnych rezultatów oranżerię, a następnie pognął na górę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pani Constable spała spokojnie.

No dobrze, ale wobec tego, kiedy ona umarła? Po opuszczeniu jej sypialni doktor siedział przez piętnaście minut na schodach, dość blisko drzwi. W domu panowała martwa cisza. Inspektorze, jeżeli myśli pan, że podczas piętnastu minut morderca dokonał tego wszystkiego: wyciągnął z łóżka odurzoną kobietę, która na pewno rozbudziłaby się częściowo, ściągnął z niej bieliznę, skrępował, wsadził do wanny, wrzucił piecyk, który wydaje w zetknięciu z wodą bardzo głośny syk, wyciągnął ją z wanny, osuszył, ubrał i ułożył z powrotem w łóżku... jeżeli myśli pan, że jest to możliwe, aby człowiek siedzący tak blisko drzwi nie usłyszał najmniejszego szmeru — to jest z pana większy tuman, niż sądziłem... A jeżeli uważa pan, że to wszystko mogło się zdarzyć w przeciągu dwóch minut, kiedy Sanders odbierał telefon, to radziłbym sprawdzić, czy uszy pana nie nabrały oślego kształtu... Nie, fakt, że woda została wypuszczona z wanny nieco przed wpół do dwunastą — mógł oznaczać tylko jedno...

Pani Constable nie żyła już przed jedenastą trzydzięci. Ale o wpół do dwunastej Sanders znalazł w łóżku żywą, oddychającą

kobietę. Co prawda, sam nam powiedział, że nie zapalił światła. Poza tym, kiedy opuszczał jej pokój, Mina, spowita w gruby szlafrok, leżała na łóżku z głową przysłoniętą rogiem poduszki. Ale ta leżąca kobieta nie mogła być Miną Constable! I jeżeli nią nie była — to — wysilcie swoje mózgownice — kto zajął jej miejsce?

Dla Sandersa był to najbardziej przykry fragment wspomnień. Uniósł głowę i przez moment on i Masters patrzyli na siebie.

H. M. skinął ze zrozumieniem.

— Oczywiście, synu. Córka Joe'ego Keena. Kiedy odwieźliśmy ją na stację, udawała, że wsiada do pociągu. Wiedziała już w sobotę, że wcześniej czy później pani Constable rzuci wyzwanie Pennikowi; domyślała się, kiedy to nastąpi, i wmówiła w łatwowiernego jasnowidza, kiedy powinien wypuścić następną strzałę Teleforce. Wróciła spokojnie do Fourways, miała dużo czasu. Wiedziała, że Sanders jest sam, ale gdyby jakimś cudem ją przyłapał, w swej zarozumiałości była przekonana, że zdoła go namówić, aby ją chronił.

Do domu dostała się zewnętrznymi schodami prowadzącymi do pokoju Samuela Constable'a. Pozostało jej teraz jedynie sięgnąć z górnego piętra jeden z walających się tam piecyków elektrycznych i zaczekać w ukryciu na odpowiedni moment. Było mało prawdopodobne, aby Sanders siedział przy łóżku pani Constable przez całą noc; i oczywiście nie siedział.

Pani Constable, chociaż oszołomiona proszkiem, próbowała walczyć. Ale dla Vicky Keen nie przedstawiało to żadnych trudności: widzieliście, jak sobie poczyniała ze swoją macochą. Sam więc akt mordu nie sprawił jej specjalnych kłopotów. Wyciągnęła swoją ofiarę z wanny; wytarła ją i ubrała w nocną koszulę, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że stoi przed nią nowy problem. Dotąd nie zdradziła się najmniejszym nawet szmerem — ale co będzie z wodą spływającą przez rury ściekowe, którą ktoś znajdujący się o piętro niżej najprawdopodobniej usłyszy?

Nie było innej rady, musiała sprawdzić. Zeszła główną klatką schodową do hallu, a stamtąd przez drzwi od kuchni do oranżerii i zajrzała do pokoju stołowego jako „widmo astralne”

Pennika. Ta cała „astralna” historia nie ma teraz znaczenia! — H. M. machnął ręką na nieme pytanie malujące się w oczach Sandersa. — Ona wcale nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył Pennika — w każdym bądź razie jeszcze nie wtedy.

Jednakże doktor go zobaczył. Nie zwrócił specjalnej uwagi na szum spływającej wody, ale podskoczył, kiedy za szybą mignęła mu twarz Pennika. Zrozumiała, że musi działać bardzo szybko. Było pewne, że Sanders pójdzie na górę, aby sprawdzić, co się dzieje z Miną Constable. Gdyby wtedy znalazł jej trupa, cała sprawa byłaby przegrano. Nie chodziło już o wytłumaczenie obecności Vicky w tym domu, na co znalazłaby może jakiś sprytny wykręt. Ale wszystkie jej rekwizyty rozrzucone były w wielu miejscach: świece w łazience, dodatkowy elektryczny piecyk włączony w kontakt, mokra wanna i przepalony bezpiecznik. Jeżeli ciało zostanie odnalezione, zanim ona pozbędzie się wszystkich dowodów zbrodni, cały mit Teleforce prysnie jak bańka mydlana.

Cóż, dała sobie z tym radę. Nie zdradziła się najmniejszym szmerem: widzieliście, jaki ma lekki chód, mogą się zresztą założyć, że zdjęła pantofle. Kiedy Sanders zobaczył ją przez oszklone drzwi oranżerii, na palcach podbiegła do okna, otworzyła je, wydostała się przez nie i poszła na górę zewnętrznymi schodami przez balkon do pokoju — podczas kiedy Sanders przeszukiwał oranżerię. Wepchnęła ciało pani Constable pod łóżko, ubrała się w jej szlafrok, ułożyła w łóżku w takiej pozie, jaką przybierała zawsze Mina — z głową osłoniętą rogiem poduszki.

Gdyby, nawet Sanders chciał zapalić światło, nic by z tego nie wyszło, bo bezpiecznik wysiadł. Ale liczyła na to, że ulga, jaką odczuje, gdy usłyszy równy oddech śpiącej kobiety, podziała na niego uspokajająco, że nie będzie już sprawdzał niczego dokładnie i nie zajrzy do łazienki. Miała rację.

Przerwę, jaka nastąpiła w działaniach, kiedy Sanders siedział na schodach, spędziła bardzo spokojnie. Widzicie, to wszystko sprawiało jej właściwie wielką przyjemność: było podniecające i prowadziło do wymarzonego celu... Kiedy usłyszała, że doktor zeszedł na dół, szybko położyła Minę na łóżku i wkręciła

zapasowy bezpiecznik w miejsce przepalonego. Następnie otworzyła drzwi do łazienki, które Sanders zamknął od strony pokoju, weszła do środka, zasunęła zasuwkę od wewnątrz i wyniosła wszystkie swoje rekwizyty przez pokój Sama.

Właściwie dopiero jej następny czyn ujawnił całą brutalną zuchwałość tego przedsięwzięcia. Sam do tego nie doszedłem, ale można to było wywnioskować z przekleństw, jakimi nas obrzuciła, kiedy przeszkodziliśmy jej w wykończeniu macochy...

— Dosyć... — przerwał nerwowo Sanders.

— Niech pan dalej mówi, sir — Masters spojrzał porozumiewawczo na H. M. — Wydaje mi się, że wiem, co pan miał na myśli.

— Ta dziewczyna przez całą noc pozostała w, domu, w, którym popełniła zbrodnię! Kiedy doktor znalazł panią Constable martwą, trzeba było wiele spraw załatwić, a nie mógł się przecież rozdziwić. Jeden człowiek na ten cały przekłety bałagan! Należało zatelefonować. Musiał wezwać policję i nie wydawało się prawdopodobne, że policja zdąży przed ranem. Chciał się choć trochę przespać, był bardzo zmęczony. Tak więc miała czas na naprawienie wszystkich drobnych zaniedbań. W pewnym momencie prześliznęła się z powrotem do otwartej już sypialni Miny i zamknęła na zasuwkę drzwi łazienki od strony pokoju.

Następnie odniosła przepalony piecyk elektryczny do nieużywanego pokoju na ostatnim piętrze. To była gra w chowanego; i bawiła się znakomicie! O wpół do szóstej rano wymknęła się z domu, zabierając ze sobą swoją zgrabną walizeczkę. Złapała na szosie wczesny autobus do Guildford, a stamtąd pociąg do Londynu. O normalnej porze zjawiała się w biurze — świeża i dystygowana — kot wracający z wyprawy na myszy, anioł z obrazu. To wszystko.

Taka była moja ocena jej charakteru, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy we wtorek. Ale pozostała jeszcze do wyjaśnienia rola Pennika. Może pracowali razem? Na pozór oczywiście, a jednak nie mogłem w to uwierzyć. Bo kiedy zobaczyłem go w poniedziałek wieczorem w restauracji hotelu „Corinthian”,

zorientowałem się, z jakim typem człowieka mam do czynienia. Istnieje takie zjawisko psychologiczne jak „subiektywna prawda”, panowie. I niech mnie diabli wezmą, jeżeli Pennik nie jest okazem człowieka wierzącego głęboko w to, co mówi. Masters odniósł podobne wrażenie, no i ty, synu, także. Jestem przekonany, że każdy przeciętnie inteligentny człowiek po pięciominutowej rozmowie z Pennikiem nie uwierzy, że mógłby wziąć on udział w jakimkolwiek spisku. Powtarzałem wam już kilkakrotnie, że Pennik to kot chodzący własnymi drogami. Powiedziałem wam również, że w pewnym sensie jest on absolutnie uczciwy.

W hotelu „Corinthian” potknąłem się umyślnie koło ich stolika, żeby sobie tego pana dobrze obejrzeć. Zwróciłem uwagę na małe, niebieskie półksiężycy u nasady jego paznokci, które, jak doktor Sanders może potwierdzić, świadczą o domieszce krwi murzyńskiej. Ale to miało minimalne znaczenie, bo nadal nie wiedziałem, co siedzi wewnątrz tego człowieka. Musiałem go jakoś załamać.

Istniał jeden sposób: sposób, który pani Constable zasugerowała mi w niedzielę, pamiętacie? Gdybym tak mógł go na miesiąc, dwa zamknąć w celi? Tak. Ale jak to zrobić?

I na to również istniał sposób: rozpoczęcie tak hałaśliwej reklamy, aby przeciętny Brytyjczyk wyrwał się ze swojej przysłowiowej flegmy i zaklął: „Do diabła, z rozsądkiem: wsadźcie go do ciupy!” Tak więc stary krętacz — tłumaczył H. M. zacierając ręce z głębokim wyrazem zadowolenia na twarzy — zaczął znów kręcić. Wcale nie upadłem na głowę, inspektorze. Naprawdę!

Jeszcze nie rozumiecie? Przecież wszystko już było widoczne, jak na dłoni, kiedy siedzieliśmy przy wtorkowym lunchu z Victorią Keen i Pennikiem. Dręczyło mnie wtedy jedno pytanie: dlaczego? Byłem przekonany, że córka Joe’ego Keena prowadziła jakąś „gierkę”. Byłem również przekonany, że w praktycznym znaczeniu tego słowa Pennik nie prowadził żadnych „gierek”. Ale czy pracowali razem, czy też nie, dlaczego, dlaczego córka Joe’ego Keena miałyby zabić panią Constable? Na pewno nie tylko po to, żeby ugruntować wiarę w

Teleforce?

Znacie odpowiedź. Mina Constable mogła zdemaskować Pennika. A co więcej, zrobiłaby to na pewno. Wielokrotnie była już bliska załamania i lada chwila wygadałaby wszystko, widzieliście to sami. Gdyby następna osoba umarła i Pennik powtórnie zapisałby to na swój rachunek, pani Constable z wielkim hukiem rozwaliby tę całą blagę! Tak więc Victoria musiała ją zabić, zanim Pennik znów „uderzył”. Nazwisko prawdziwej ofiary było dla mnie tak jasne, jak gdyby je ktoś głośno wymówił przy stole. Pamiętacie, jak ostro i zdecydowanie Vicky przerwała rozmowę, kiedy Masters zaczął zadawać pytania na temat nazwiska zamierzonej ofiary i Pennik w znakomitym nastroju był o krok od wygadania się? Miałem rację. Znalazłem nową Frau Frankenstein.

Myślałem, że mamy już ich oboje w ręku. Rozumiecie? Pozwólmy Pennikowi jechać do Paryża i wygłosić przemówienie przez radio. Pozwólmy Victorii Keen skorzystać z pomocy Teleforce i przyłapać ją na gorącym uczynku ze wszystkimi dowodami winy, których inaczej nie moglibyśmy uzyskać. Nie wolno również dopuścić Pennika do rozprawy śledczej. Niech nasz uczciwy sąd wyda werdykt przeciwko niemu; a natychmiast po przemówieniu w radiu aresztować go, załamać psychicznie, zmusić do powiedzenia całej prawdy; i za jednym strzałem mamy ich oboje w ręku. Ale...

— Ja się wtrąciłem — Sanders był wyraźnie zażenowany. — I rzuciłem Pennikowi wyzwanie.

— Myślałem, że cię zamorduję, synu — podjął H. M. i z ukosa spojrzął na młodego człowieka. — Victoria była nie mniej wściekła niż ja. Bo nic by jej z tego nie przyszło, gdyby Pennik dał się sprowokować i powiedział: Sanders umrze. Robiła więc, co mogła, żeby do tego nie dopuścić. Nerwowe napięcie tej dziewczyny udzieliło się nam wszystkim...

Wiedziała, że musi odciągnąć uwagę Pennika od naszego doktora. Modliłem się wprost, żeby jej się to tylko udało. Oczywiście, moglibyśmy rozbić mit Teleforce, gdyby Pennik powiedział: Sanders umrze, a Sanders żyłby sobie spokojnie nadal, ale to nie pomogłoby nam złapać rzeczywistego

mordercy. Musiałem więc szybko zaatakować z innej strony. Przede wszystkim, wiedziałem już, że piecyki miały jakiś związek z tą sprawą i trzeba było znaleźć na to dowody. Ale same piecyki — to za mało. Nie mogłem przecież powiedzieć: słuchajcie! Ten piecyk nie działa; i to dowodzi, że został użyty do zabijania ludzi! Album z wycinkami mógł nas dalej zaprowadzić. Dałbym głowę za to, że pani Constable schowała go i że córka Joe’ego Keena nie miała o tym pojęcia; po prostu złożyła razem kawałki łamigłówki na podstawie tego, co Mina wygadała przez sen. Zresztą słyszeliście, jak się tym chwaliła. Kiedy jednak pomyślałem o elektryczności, przyszło mi nagle do głowy, że szafka z bezpiecznikami stanowi znakomite miejsce do ukrycia albumu. Ale w tym wypadku Vicky wiedziałaby o tym. Zgadza się. Wiedziała: ale nie ruszyła go, bo nie był to dowód przeciwko niej — i prawdę mówiąc, nam też niewiele ten album pomógł.

Pozostała więc ostatnia deska ratunku: sąd przysięgłych. Gdyby oni wydali zaocznie werdykt przeciwko Pennikowi! Chodziło mi o to, żeby aresztować go dopiero po jego przemówieniu w radiu paryskim.

Istniała obawa, że Pennik przyjdzie na rozprawę. Już nieraz się tym odgrażał. Wprawdzie wiedział, że nie zostanie wpuszczony na salę, ale mógł spróbować. W tym wypadku trzeba by go aresztować na miejscu — wyjątkowo złe posunięcie. Bo całe śledztwo przy zamkniętych drzwiach polegało na tym, że gdybyśmy uzyskali Orzeczenie po naszej myśli, Victoria Keen nie miałaby pojęcia o aresztowaniu Pennika. Prasa nie dostałaby żadnych informacji na ten temat; a nawet przetrzymalibyśmy sąd przysięgłych do momentu, w którym panowie ławnicy, bez żadnej szkody, mogliby rozpowiadać na prawo i lewo o rozprawie.

Cóż, Pennik zjawił się na śledztwie i otrzymaliśmy orzeczenie po naszej myśli. Na początku wpadł w szał, a później się załamał. Zaprowadziliśmy go z Mastersem do małego pokoju...

— Do którego — przerwał gorzko Sanders — mnie nie wpuszczono.

— Nie, synu. Byłeś zbyt niebezpieczny i mogłeś wszystko

popsuć. Nie uwierzyłbyś przecież, gdybyśmy powiedzieli ci coś złego o tej dziewczynie, dopóki sam nie przekonałeś się na własne oczy. Cała sprawa wisiała na włosku aż do momentu, w którym wydobyliśmy prawdę z Pennika. Wyjaśniłem mu, że ostatecznie wydarzenia zostały zaaranżowane przeze mnie i jeżeli wyzna mi prawdę, to odkręcę wszystko i wydobędę go z mamra. Uwierzył mi. Opowiedział nam historię całego swojego życia. Teleforce to tylko fetysz i zabobon, który odziedziczył po swoim dziadku z plemienia Bantu.

Tak, teraz przechodzimy do bardzo istotnego momentu: chciałbym, żebyś to sobie dobrze wbił do głowy, synku — perorował H. M., w zapale zaznaczając takt palcem. — Z naukowego punktu widzenia nawet jego odczytywanie myśli było błagą. Opierało się na informacjach zebranych poprzednio lub uzyskanych niepostrzeżenie od samego „pacjenta”. Na przykład, od komisarza z Grovetop wyciągnął sporo wiadomości na temat Mastersa. Ale Pennik nie uważa tego za oszustwo. Na tym polega cała sprawa. Obiektywnie rzecz biorąc, Pennik posiada wybitny umysł, olbrzymią zdolność penetracji, co mu niezmiernie ułatwia odczytywanie myśli. Z samej mimiki twarzy potrafi Wydedukować, czy myśli ofiary skupiły się na poważnych sprawach, czy błahostkach. Wszystko to pomaga mu przeświecić człowieka prawie na wylot. A jeżeli posiada do tego jeszcze trochę informacji, to leżysz, bracie. Słyszeliśmy, jak Sanders się zdenerwował, kiedy Pennik powiedział mu, że myślał o popiersiu Listera ustawionym w Instytucie Harrisa. Spokojnie, synu, sprawa jest całkiem prosta. Wygadałeś się kiedyś przed Chase’em — a on to, oczywiście, puścił dalej — że kiedy starasz się uciec od jakichś problemów, koncentrujesz myśli na popiersiu Listera.

Najprawdopodobniej zapomniałeś już o tym. Ale mówiłem przecież wam, na czym polega talent Pennika. Zorientował się, że starasz się uciec myślami — jeden zero dla niego — wykorzystał niewinną paplaninę Chase’a, strzelił... i trafił. Wielu ludziom napędziłoby to cholernego straciła.

Kłopot polegał na tym, że Pennik stopniowo sam uwierzył w swoje nadzwyczajne możliwości. Uwierzył, że zwykły dar

intuicji, który posiadają czasem nawet dzieci i idioci, stanowi z naukowego punktu widzenia wielką potęgę, którą można traktować na równi z czarną magią plemienia Buntu, bowiem, jak twierdzi, obie one wywodzą się z jednego źródła. Kiedy doprowadzono go do wściekłości, sięgnął do nauk dziadka-czarownika i tak jak on rzucił zaklęcie czy też urok na swojego wroga. Człowiek umarł — czy potrzeba jeszcze lepszego dowodu? Uważał, że ostatnia bariera została pokonana — H. M. podrapał się w nieogolony podbródek.

Dałem wam obraz faceta, którego miałem załamać i wyciągnąć z niego prawdę. Ostrożnie i z wielką dokładnością wytłumaczyłem mu, jak umarli Sam i Mina Constable. Kiedy powiedziałem, kim naprawdę jest Victoria Keen, nie uwierzył mi i przez chwilę wyglądało, że mam do czynienia z szaleńcem. Widocznie odziedziczone po dziadku zdolności zawiodły w tym konkretnym wypadku. Nie potrafił odczytać myśli tej dziewczyny. Był w niej ślepo, bezkrytycznie zakochany. Przyznał się, że zamierza wypróbować jeszcze tego wieczoru swoją „potęgę” na Cynthii Keen. Kiedy wreszcie wyciągnąłem z niego tę groźną tajemnicę — która była akurat tak samo niebezpieczna jak kufel piwa dla Mastersa — ucieszyłem się, jakby mnie kto na sto koni wsadził, bo wygrana była po naszej stronie.

Powiedziałem mu: „Dobra, nie wierzy mi pan. Nie wierzy pan, że ta dziewczyna robi z pana głupca. Nie wierzy pan, że zamierza zabić swoją macochę przy pomocy prądu elektrycznego. W porządku: proszę nam trochę pomóc, a sam się pan przekona. Proszę jechać do Paryża i wygłosić swoje przemówienie. Wszystko załatwię tak, że nie będzie żadnych przeszkód. No i zobaczy pan, co się stanie.”

Pennik zgodził się. Przyjechał na lotnisko z policjantem W' cywili; poza nami nikt nie wiedział, że był pod aresztem. Bardzo błady wsiadł do samolotu na oczach tłumu ludzi i pod ostrzałem kamer reporterskich. O to mi właśnie chodziło, żeby wyjechał, zanim zdoła wygadać się przed Victoria Keen... Ale wiedziałem również, że nigdy nie zdobędzie się na wygłoszenie tego przemówienia. Po prostu nie mógł. Jego duma została

zniszczona i, kiedy mówił ze mną, płakał jak dziecko.

Teraz już wiemy, co się stało. Poleciał do Paryża, ale myśl o Victorii doprowadzała go po prostu do szału. Urwał się towarzyszącemu mu policjantowi i zniknął. Nim ktokolwiek się zorientował, Pennik powrócił awionetką do Londynu. Musiał być świadkiem dalszych wypadków. Musiał rozwiązać swoje ostatnie wątpliwości...

Nadinspektor gwizdnął cichutko.

— Ale, ale — przerwał. — Pan nas ostrzegał, że on to może zrobić. Muszę przyznać, że specjalnie się nie zdziwiłem, jak wpadł na nas, kiedy byliśmy gotowi przydybać tę młodą damę — Masters uśmiechnął się z satysfakcją — przy wydatnej pomocy jej macochy.

Doktor Sanders spojrział na niego z goryczą. — Tak, ale mnie to zdziwiło. Kiedy zobaczyłem Pennika wchodzącego po schodach prowadzących na balkon, byłem przekonany, że poluje na mnie. Czy wiedzieliście, że ma nóż?

— Ja wiedziałem — odparł ponuro nadinspektor. — Przez cały czas, kiedy staliśmy na tym cholernym balkonie, trzymałem go tak mocno za ramiona, że nie mógł się poruszyć. Ten nóż nie był przeznaczony dla pana, tylko dla panny Keen. Rozwiązałyby całą sprawę na miejscu: beczał jak dziecko, ale przy tym chciał ją zadźgać! Nie mam współczucia dla tego dżentelmena, sir, chociaż wiem, że pan się nad nim lituje...

— Spokojnie, synu, bez nerwów! — łagodził H. M.

— Nie, ani trochę go nie żałuję — ciągnął z zawziętym błyskiem w oczach Masters. — Chciał być panem i władcą nas wszystkich, tak jak królował nad swoim szczepem, kiedy zjawiał się co pewien czas w rodzinnym buszu. Opowiadał nam, jak z chaty dziadka-czarownika rządził nimi wszystkimi! Pennik i jego gumowe maski!

— Gumowe maski? — zdziwił się Sanders.

Sir Henry zaczął gwałtownie drapać się po łysej głowie. Popatrzył z zainteresowaniem w sufit, a kiedy zwrócił się do doktora, głos miał słodki jak syrop na kaszel.

— Hmm, kopia jego własnej twarzy wykonana z ciemnopomalowanej gumy. Fetysz. No, taka maska, którą noszą

czarownicy z różnych szczepów afrykańskich. Większa niż normalna twarz, z gumy, tak że można ją naciągać we wszystkich kierunkach i w ten sposób nadawać bardziej przerażający wygląd. Czy wiecie, na czym polega tego rodzaju fetysyzm? Jestem zbyt zmęczony, aby o tej porze wygłaszać prelekcje na temat podobieństw pomiędzy różnymi religiami. Ale główne zasady są te same zarówno wśród dzikusów afrykańskich, jak i w Europie, kiedy w wiekach średnich palono na stosach heretyków. Tak, moi drodzy. Sekta Vaudois⁸ powstała w początkach dwunastego wieku i od niej to prawdopodobnie pochodzi słowo Voodoo.⁹ Nie wiem, czy pamiętacie, ale Mina Constable powiedziała, że Pennik mało nie wyskoczył ze skóry, kiedy na statku jakiś profesor nazwał go monsieur Vaudois. Pennik miał kilka takich masek, a jedną nosił zawsze przy sobie. Victoria Keen — co za sprytna dziewczyna — wy błagała albo po prostu skradła mu ją. To mogło bardzo się przydać, jeżeli chciałaby w jakimś momencie „wywołać” zjawisko astralne Pennika...

Szary świt przedostawał się przez nie osłonięte okna. Masters od dłuższego już czasu przyglądał się z nieukrywaniem rozbawieniem przeciwległej ścianie. Energicznym ruchem podniósł do ust szklaneczkę napełnioną trunkiem i wychylił ją jednym haustem. Zachichotał. Powoli chichot jego przeszedł w głośny i nieopanowany wybuch śmiechu.

— Jak Boga kocham... — wysapał klepiąc się po udach.

Sir Henry zerknął na niego sponad okularów.

— Tak? Co w tym śmiesznego, inspektorze?

— Przypomniał mi się właśnie ten starszy facet z pociągu: no ten, który zaproponował, żeby wsadzić Pennika do pudła obitego cyną — tak, jak to robimy z radem. Teleforce! Ale ludziska najedli się strachu! I promienie śmierci, które w

8 Vaudois, czyli Waldensi — ugrupowanie religijno-społeczne powstałe we Francji w XII wieku w walce z nadużyciami hierarchii kościelnej, prześladowane i pomawiane o koczowniczość z mocą szatańską.

9 Voodoo — zabobon i uprawianie czarnej magii rozpowszechnione na Wyspach Antylskich oraz wśród ludności kreolskiej i murzyńskiej Stanów Zjednoczonych. (Przyp. tłum.)

powietrzu trafiają w bombowce! I... i wszystko dlatego, że piecyk elektryczny wpadł do wanny...

— Myśli pan, że to takie śmieszne?

— A pan tak nie myśli, sir?

— Nie — zaprzeczył poważnie H. M. — A jak pan sądzi, dlaczego dopuściliśmy do tego hałasu w radiu, telewizji, gazetach?

— Nie bardzo rozumiem?

— Dlatego, że chcieliśmy dać społeczeństwu lekcję zdrowego rozsądku. Dzisiaj pęknie balon. Dowiedzą się, że groźny Teleforce to stek nonsensów, a pseudonaukowe teorie nadają się do kosza na śmieci. Taki był plan całej akcji. Prasa rozpisuje się na temat Teleforce i kto posiada jego tajemnicę. I następnym razem, kiedy zaczną się szerzyć panikarskie wieści, kiedy zaczną bełkotać o superbombie, która zniszczy całą wyspę brytyjską, lub o Londynie spowitym jedną wielką chmurą gazu trującego — spojrzą na swój domek z ogródkiem, mrukną z ironią: Teleforce i poczują się bezpieczni.

Dobrze wiemy, co robimy, synu. Nie wolno ulegać hysterii szerzonej przez alarmistów. Jak dotąd jeszcze Brytania z trójzębem w dłoni nadal króluje na naszych monetach. Jak dotąd nie używają esperanto w Billingsgate.¹⁰ Kiedy usłyszycie o supersamolotach, supergazie czy o naszej absolutnej bezbronności, pomyślcie o Teleforce. Tendencja dawania wiary wszystkiemu zmienia ludzkie twarze w potworne maski. Maski, większe od twarzy ich właścicieli, bo jest to tylko guma, którą można rozciągać na wszystkie strony. Większość z tego to Voodoo, a jak wiecie, niewiele u nas jest miejsca na wszelkiego rodzaju przesady.

Sir Henry ociężale wstał z fotela, sapnął z wysiłku i podreptał do okna. Pierwsze promienie słoneczne oświetliły jego łysinę i uparty podbródek, kiedy tak stał i spoglądał w zamyśleniu poprzez rzekę na panoramę Londynu.

¹⁰ Billingsgate — targ rybny w Londynie, słynny w Anglii z niewybrednego słownictwa przekupek. (Przyp. tłum.)

Carter Dickson (vel John Dickson Carr, autor wydanej przed kilkoma laty „Tabakierki cesarza” w serii „Jamnik”) należy do klasyków współczesnej powieści kryminalnej.

Akcja „Ostrzegam czytelnika” rozgrywa się w czasie weekendu w wiejskiej rezydencji pod Londynem. Nadinspektor Masters i ekscentryczny sir Henry Merrival rozwiązują zagadkę tajemniczego morderstwa, zapowiedzianego przez jasnowidza.

